

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA SOBOTA

- KryszaK nie siada do wigilii • Wajrak nie karmi uchodźcy • Łętowska uczy prawa
- Gebert pije z ludobójcami • Matczak świętuje bez ateistów • Mickiewicz imprezuje w Odessie • Putin udaje Dostojewskiego



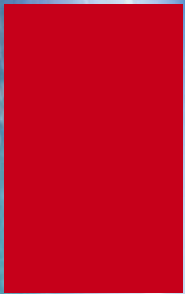
WYSOKIE OBCASY

Anna Dymna:
Szczęście mam od kotów



ALE HISTORIA

Jarosław Wałęsa
O mamie i tacie



GAZETA
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

**Fizycy
o Bogu**
Niewykluczone,
że istnieje

Sobota-poniedziałek,
24-26 grudnia 2022 | Redaktor
prowadzący **Marek Markowski**
Cena gazety **9,99 zł** (w tym 8% VAT)
nr 299.10187, 1 | Nakład 145 tys.
+ 294 tys. prenumerat cyfrowych



*Niech wszystkim dziś zaświeci gwiazda nadziei!
Polakom życzymy spokoju, naszym braciom Ukraińcom
siły i wytrwałości, światu miłości i solidarności.*

Wesołych świąt!

REDAKCJA „WYBORCZEJ”



Kupuj wygodnie
na skiteam.pl

Sprzęt narciarski i snowboardowy

Marki premium.
Szeroki asortyment.
Najnowsze kolekcje.
Profesjonalna obsługa.



Wybrany asortyment zimowy od **30% do 50% taniej!**

KONKURS NAJWYŻSZY PARAGON
WYGRAJ 5-DNIOWY WYJAZD DO TYROLU
DLA DWÓCH OSÓB



5 Tyrolskich Lodowców. Im wyżej, tym lepiej.
Kaunertal | Pitztal | Sölden | Stubai | Hintertux



Poleć regulamin promocji "Najwyższy paragon" oraz

WARSZAWA: ul. KOR 36/38 | **WARSZAWA:** ul. Toruńska 107b
POZNAN: ul. Bułgarska 117a | **WROCŁAW:** CH Arkady Wrocławskie

KATOWICE - NOWA LOKALIZACJA
ul. Sportowa 20 (200m od CH Silesia)

REKLAMA

ZAPRASZAMY 7 DNI W TYGODNIU

Poniedziałek - Sobota 10:00 - 21:00 | Wszystkie Niedziele 11:00 - 18:00



SPYDER

KOLEKCJA 2022/2023

JUŻ DOSTĘPNA
W NASZYCH SKLEPACH

Wybierz **6 lub 20 RAT RRSO 0%** bez dodatkowych kosztów

Oferta 6 rat 0% obowiązuje przy zakupach do 2 000 zł. Oferta 20 rat 0% obowiązuje przy zakupach powyżej 2 000 zł. Rat udziela Santander Consumer Bank.

ZRÓB ZAKUPY ZA MINIMUM 2 000 ZŁ I ODBIERZ
DWA DARMOWE JEDNODNIOWE SKIPASSY
NA JEDEN Z 5 TYROLSKICH LODOWCÓW

5 Tyrolskich Lodowców. Im wyżej, tym lepiej.
Kaunertal | Pitztal | Sölden | Stubai | Hintertux



5 Tyrolskich
lodowców
Im wyżej tym lepiej

Darmowy skipass znajdziesz na skiteam.pl/regulaminy



Wypożyczalnia



Centrum testowe



Serwis



Bootfitting



Skaner stóp 3D

Agnieszka
KublikZaproście ich
do stołu

By powiedzieć im prawdę i by jej od nich wysłuchać. Od święta warto.

Tradycja powiada, że dodatkowy talerz dla nie-spodziewanego gościa to symbol pamięci o bliskich, którzy nie mogą świąt spędzać razem z nami, oraz otwartości i gościnności rodziny wobec każdego, kto się może pojawić, a jak stanie w drzwiach, powinien być przyjęty jak brat. A jeśli nikt nie zastuka, zawsze można kogoś zaprosić.

Mateusz Morawiecki mógłby zaprosić na wigilijną wieczerzę białoruskich opozycjonistów i przeprosić ich, że to, co im robi Łukaszenka, uznał za „polityczne złoto dla nas”.

Jarosław Kaczyński – rodzinę, która zamarza na granicy z Białorusią. Może by jej powiedział, że mu przykro, iż przed wyborami, które dały mu zwycięstwo, rzucił, że uchodźcy mają „różnego rodzaju pasożyty, pierwotniaki, które nie są groźne w organizmach tych ludzi, mogą tutaj być groźne”.

Andrzej Duda – parę gejów, którym nad oplatkiem by wyjaśnił, czy wierzy w swoje słowa, że „próbuję się nam, proszę państwa, wmówić, że to ludzie, a to jest po prostu ideologia”.

Zbigniew Ziobro – sędziego Igora Tuleję, by wyłożyć mu, że „w sposób oczywisty złamał literę prawa” i że „za złamanie normy karnej musi się liczyć z pociągnięciem do odpowiedzialności karnej”.

Jacek Kurski – Marka Belkę, by dowiedzieć się, co go czeka jako alternate executive direc-

tora szwajcarsko-polskiej konstyтуanty w Banku Światowym w Waszyngtonie. Profesor by mu opowiedział, że „Bank jest forum rywalizacji między Stanami Zjednoczonymi i Europą, a przede wszystkim między Chinami i Indiami. W każdej prawie sprawie jest dyskusja polityczna. Przedstawiciele tych konstyтуant muszą brać w nich udział. Do tego potrzeba nie tylko wyczucia dyplomatycznego, ale też głębokiej znajomości spraw ekonomicznych i rozwoju gospodarczego”.

Danuta Holecza – Tuska, by mu prosto w oczy powiedzieć, że jest zdrajcą Polski, bo latami dbał o interesy Niemiec, więc i Putina, że wszystko, co czyni, robi „für Deutschland”.

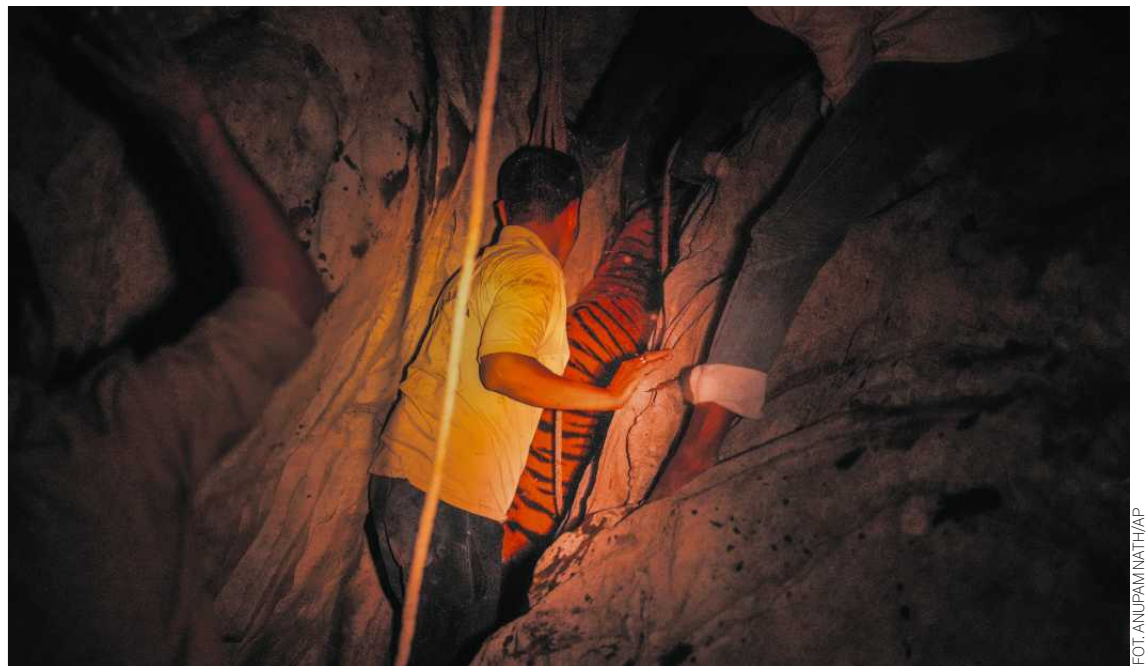
A Adam Glapiński – sąsiada, z notesem i długopisem, który mu wyłoży, że ceny masła i chleba rosną naprawdę, tak jak podają „niektóre stacje TV niezwiązane z kapitałem polskim”, i że chociaż prezes NBP w sklepach w jego okolicy nie widzi drożyzny, to w sklepach jego sąsiadów bochenek zwykłego chleba kosztuje od 3,50 zł do 4,40 zł, masło dobija do 9-10, olej bywa już nawet po 15 zł. ●

Andrzej rysuje



Indie

Czy podziękuje ludzkim głosem



FOT. ANUPAMNATH/AP

Do 900-tysięcznego Guwahati zapuścił się tygrys bengalski. O płynącym Brahmaputrą drapieżnika donosili pasażerowie promów, spacerowicze i kajakarze. Utknął w skałach na brzegu wyspy świątynnej, skąd ewakuowano kapłanów Sziwy, pielgrzymów i turystów. Upłynęło sześć godzin, nim udało się uwolnić kota. Pochodzi z parku narodowego Orang, zapewne porwał go nurt przy wodopoju. Prąd mógł go nieść nawet 150 kilometrów.

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na

wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU**
i bądź na bieżąco
przez 3 dni (24-26.12) *

APAW22

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w dniach 24-26.12

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl

Hodowla bioróżnorodności
Bronię karpia na wigilii

FOT. PATRYK OGÓRZALEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ta ryba bowiem pochodzi z najbardziej wyjątkowego ekosystemu, jaki istnieje w Europie. Nie jest to środowisko naturalne, bo stworzone przez człowieka, ale można je uznać za ekosystem kulturowy, który działa od ponad 700 lat.

Stawy karpiove są głównym siedliskiem lęgowym rzadkich gatunków ptaków: podgorzałki, helmiatki, bąka, bączka, ślepowrona, rybitwy białowąsej i wielu innych, które są liczniejsze, jak gęgawa, labędz niemy, perkoz rdzawoszyi.

Ogromna bioróżnorodność stawów przewyższa inne naturalne ekosystemy wodne. Większość obejmuje Natura 2000. Ale bez inwestycji nie da się utrzymać tego ekosystemu. Konieczne są kosztowne remonty stawów i umacnianie niszczących grobli, aby lęgi ptaków nie znikły wskutek spadku poziomu wody.

Największy kompleks stawowy w Polsce znajduje się w Dolinie Baryczy. To w większości jedno przedsiębiorstwo, które mogłoby być przekształco-

ne w kolejny park narodowy. Gdyby powstał, jego administracja stanęłaby przed specyficznym wyzwaniem – musiałaby dbać o hodowlę ryb, bo bez tego bioróżnorodność w stawach błyskawicznie zniknie. Na szczęście rybacy stawowi są skarbnicą wiedzy o tym ekosystemie, bo obserwują go od wielu lat. A każdy rok jest inny, trzeba znać lokalne uwarunkowania i delikatnie modyfikować kanony hodowli ustalone ponad 150 lat temu.

Karp na wigilijnym stole to wyjątkowa ryba. Bez niej byłibyśmy zubożeni nie tylko o tradycję, ale też o uniikatowy ekosystem utrzymywany przez pokolenia rybaków stawowych.

Dr Jacek Betleja
Więcej na Wyborcza.pl/nauka

Cytat dnia

*Naprawdę żałuję
zdziesiątkowania
populacji rekinów.
Nadal się ich boję, nie
że mogą mnie pożreć,
ale dlatego, że mogą
być na mnie wściekle*



STEVEN SPIELBERG

o słynnych „Szczękach”, które umocniły mit rekina ludojada

Liczba dnia
Po Odrze wykończą Wisłę?

110

• na tyle dni zostanie zatrzymany przepływ wody w Wiśle podczas remontu stopnia wodnego we Włocławku, na który ogłosiła przetarg państwowa agencja Wody Polskie. Kolejne 45 dni przepływ będzie bardzo ograniczony. Te ryby, które nie zdążą uciec ze strefy przybrzeżnej, uduszą się albo zostaną zjedzone przez drapieżniki. Zginą też małże. Kilka lat temu 30 podobnych zatrzymań przepływu zabiło 4 mln ryb.

Dobre prawo pod choinkę

Czego jako prawniczka życzę rodakom

Łętowska

Aby prawo w Polsce bardziej przypominało wygodną, dobrze skrojoną marynarkę z przyjaznego tweedu, niezawodnie chroniącą przed zimnem i prezentującą się przyzwyczajeniu, nawet gdy znoszona, bo mocno używana. A nie – jak to u nas – sztywną, paradną szatę, niewygodną, niefunkcjonalną, uszytą byle jak, z tandetnych materiałów, która za skłamanym blichтром i fałszywą elegancją skrywa łaty, partactwo krawcy i sprzedawcy, którzy nam ją wcisnęli, kłamliwie zapewniając o nieistniejących zaletach.

Aby ci, którzy znają się na rzeczy i umieją trzeźwo doradzić, jak taką marynarkę uszyć lub gdzie ją kupić, nie byli traktowani jak prorokini Kasandra: co prawda trafnie prorokowała, ale – z wyroku bogów – nikt nie wierzył jej przepowiedniom.

Aby więc jej uwierzone i aby partaczę i oszuści

nie mogli grasować dalej bezkarnie.

Aby nie uchwalano ustaw metodą strzału w ciemno, bo „a nuż się uda, w ogóle to na pewno będzie wspaniale”.

Aby – jak tego wymaga konstytucja – prawo z góry wyznaczało granice dla władzy – i tej politycznej, i tej ekonomicznej. I żeby w rzeczywistości o naszych prawach nie decydowała arbitralna czy wybiórczo stosowana siła którejśkolwiek i jakiegokolwiek władzy.

Aby sędziowie rozumieli i czuli – nie tylko na swojej skórze, ale też w swoim sumieniu – co sprawiedliwe, przyzwoite, zgodne z prawami człowieka i konstytucją.

Aby umieli ważyć, oceniać, uzasadniać.

Aby mieli odwagę przekonywać o swych racjach wątpliwych i w swoich szeregach, i publiczność: tak, aby widziano, że w sądach rzeczywiście wymierza się sprawiedliwość.

Aby nie wrzucano argumentów ze świata polityki do dyskursu o prawie i aby me-

dia publiczne nie były tubą takiego skłamanego dyskursu.

Aby dziennikarze umieli rozpoznać taką redukcję prawa do roli służebnego instrumentu doraźnej polityki i aby umieli o tym nam mówić.

Aby prawo było nie tylko tekstem, ale też czynem.

Aby umowy międzynarodowe były nie tylko odświętną deklaracją, ale też codziennym obowiązkiem dla wszystkich służb, formacji, funkcjonariuszy i we wszystkich okolicznościach: także w lasach i na bagnach.

Aby prokuratorzy dobrze widzieli na oboje oczu i nie tylko to, co pokaże palec, w każdym okolicznościach służby.

Aby policja nie była silna wobec słabych i słaba wobec silnych.

Aby władza, funkcjonariusze państwa i partii nie szydzili, nie wyśmiewali i nie poniżali Innym dlatego, że są inni.

Aby Inni dostali od prawa to, co im obiecują prawa człowieka, umowy międzynarodowe, konstytucja: szacunek i równość traktowania. ●

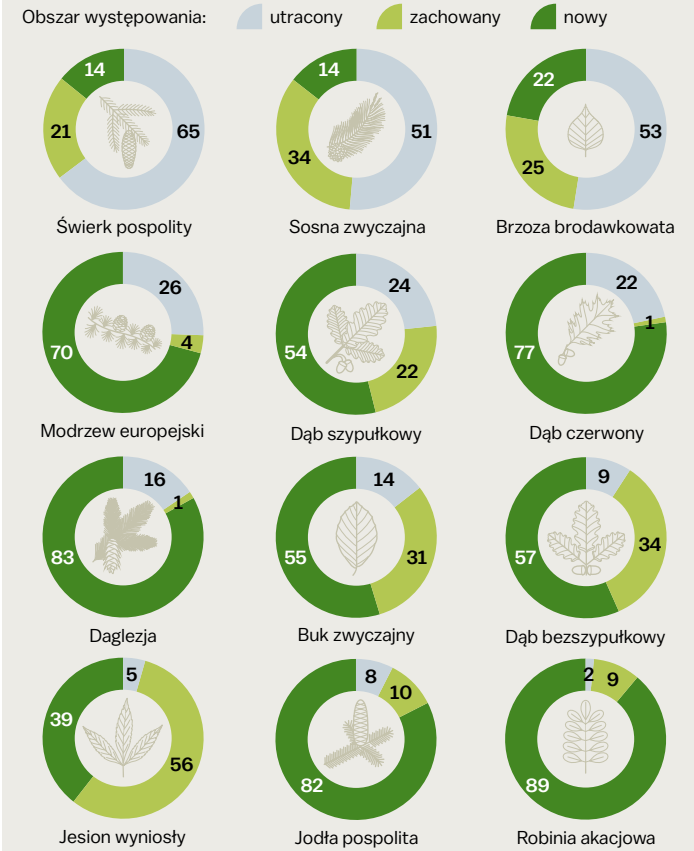
Prof. Ewa Łętowska

Wykres dnia

Czy to ostatnie święta z choinką

Zmiany zasięgu występowania drzew w Europie

Zmiana zasięgu danego gatunku do 2070 r. w porównaniu z zasięgiem w 2018 r. (w proc.)



Świerk i sosna – pospolite dziś w naszych lasach gatunki – w związku ze zmianą klimatu będą miały coraz trudniej. Czy kolejne pokolenia świąteczne choinki zastąpią stroikami z buka?

Sprawdź ► BIQdata.pl

Ocalone pamiętki, zachowana pamięć

Wielka zbiórka pamiętek jenieckich,

związanych z pobytem żołnierzy w obozach jenieckich Wehrmachtu i NKWD oraz w obozach internowania w państwach neutralnych podczas II wojny światowej.

Zbiórka organizowana jest przez Centralne Muzeum Jeńców Wojennych – jedyną w Polsce, a nawet w Europie placówkę zajmującą się kompleksowo problematyką jeniecką. Muzeum czeka na przedmioty używane lub wytworzone w niewoli, dokumenty, korespondencję, rysunki, fotografie, ubrania itp. Dary zostaną zabezpieczone i zinwentaryzowane, dzięki czemu zyskają długowieczność i będą stanowić świadectwo jenieckiej historii dostępne przyszłym pokoleniom.

Osoby zainteresowane przekazaniem pamiętek, proszone są o kontakt telefoniczny, mailowy, listowny lub osobisty. Każda propozycja daru zostanie rozważona w możliwie krótkim czasie. Po zdigitalizowaniu obiektów, darczyńcy otrzymają albumy z wizerunkami pamiętek wraz z ich zapisem cyfrowym.

Za zbiórkę odpowiedzialny jest Dział Zbiorów i Konserwacji Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych, ul. Muzealna 4, 48-316 Łambinowice, tel./fax +48 77 434 34 75, e-mail: zbiorokapamiatek@cmjw.pl



www.cmjw.pl

CENTRALNE
MUZEUM
JEŃCÓW
WOJENNYCH

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

SAMORZĄD
Województwa Opolskiego

ZNAK DZIEDZICTWA
EUROPEJSKIEGO



Boże Narodzenie nie jest dla przyjemności

NIE JESTEŚMY AKUMULATORAMI

Ateistyczne święta to samooszukiwanie się człowieka zagubionego

Czy potrafimy jeszcze świętować? Ależ to podchwytliwe i wieloznaczne pytanie! Świętować religijnie czy ateistycznie? Tradycyjnie czy na swój własny sposób? Razem czy osobno? Co to w ogóle znaczy „świętować”?

Z drżącym sercem biorę się do tego świątecznego eseju, bo stoi przede mną dylemat: napisać przyjemnie, w stylu „Listów do M.”, czy może zdestabilizować pachnący pierniczkami nastrój i napisać drażniaco, w stylu „Opowieści wigilijnej”? „Listów do M.” w święta wszędzie pełno, „Opowieści wigilijnych” mało, bo się słabo klikają. Zatem wybór prosty – nie będę woził drewna do lasu.

Będzie to esej o tzw. ateistycznych świętach. Stały się one tak popularne, że dorobiły się poradników. Na portalu „Living on my own” czytamy: „Jeżeli ateści czy inne osoby świeckie postanowią obchodzić Boże Narodzenie, mogą to robić:

1. Na swój sposób, tworząc i kultywując unikalną rodzinną tradycję;
2. Względnie tradycyjnie, zapożyczając formę z tradycji chrześcijańskiej, ale bez treści, tj. posilkując się elementami wizualnymi, dźwiękowymi, kulinarnymi itd., jednak bez odczytywania Biblii, modlenia się i odwoływania do sfery sakralnej;
3. Wspólnie z wierzącą rodziną, której chcą towarzyszyć. Podobnie uczestniczą w chrzcinach, komunii, ślubach czy pogrzebach, po prostu nie modlą się wraz z innymi”.

Nie mam nic do ateistów. Problem w tym, że tak, jak powyżej opisano, wyglądają współcześnie Święta coraz większej liczby katolików. Oni też zdają się zapożyczać formę z tradycji chrześcijańskiej, ale bez treści. Święta bez rzeczywistego świętowania to więc problem o wiele szerszy. I tu czas na główny element drażniący: ateistyczne święta to samooszukiwanie się człowieka zagubionego w sekularnym do cna świecie. To nędzna proteza prawdziwego świętowania, które prawdopodobnie nie jest już możliwe. A uczy nas tego nie papież Franciszek, ale guru wyzwolonych lewicowych umysłów Byung-Chul Han, którego eseje wydaje w Polsce Krytyka Polityczna. Widać to jednak, gdy tego urodzonego w Korei, niemiec-

kiego filozofa, słusznie nazywanego nową gwiazdą humanistyki, doczyta się do końca.

W wprowadzeniu do zbioru esejów Hana „Społeczeństwo zmęczenia” Rafał Pokrywka pisze, że Han łączy idee, na które natknąć się można zarówno po progresywnej, jak i konserwatywnej stronie. Do pierwszej grupy należy krytyka neoliberalizmu i kapitalizmu z ich promocją produktywności i „amoku optymalizacji”, a także potępienie inwigilacji oraz postulowanie wspólnoty – charakterystyczne elementy myśli lewicowej. Są jednak w myśli Hana obecne i inne elementy: obrona społecznych hierarchii, ukazanie wagi rytuału i świętowania. Te ostatnie, pisze Pokrywka, mogą budzić „podejrzliwość o retropijny zwrot ku przeszłości”. I budzą – do tego stopnia, że do polskiego zbioru esejów Hana nie trafił jego najbardziej konserwatywny zbiór esejów, czyli „Zniknięcie rytuałów”. Przypadek? Nie sądzę.

W „Społeczeństwie zmęczenia” Han skupia się na problemie pracy, alienacji i wypalenia. Pokazuje, że kult produktywności zamienia się w kult eksploatacji, a ta wchodzi na wyższy poziom wyrafinowania – już nie tylko eksploatacji jednego (pracownika) przez drugiego (kapitalistę), ale na poziom autoeksploatacji. O niej piszą takie konserwy jak na przykład Matczak, próbując ukazać je w bardziej przyjaznym świetle jako samodoskonalenie się. W odpowiedzi na problem przepracowania głosi się postulat przerwy i odpoczynku. O tym Han pisze w eseju „Czas święta. Świętowanie w czasie sprofanowanym”. Bo czyż święto nie jest doskonałą okazją do przerwy, odpoczynku, naładowania baterii?

Otóż nie, bo człowiek według Hana nie jest akumulatorem. I tu niemiecki filozof zaczyna myśli postępowej robić problemy. Pisze, że święto nie jest po prostu przerwą od pracy. Gdyby tak było, byłoby jej dalszym ciągiem – planowym elementem procesu, który ma zwiększyć produktywność. Wszak człowiek wypoczęty będzie pracował jeszcze wydajniej. A nie o to w świętowaniu chodzi. Człowiek nie jest koniem, któremu trzeba od czasu do cza-

su zapewnić przerwę, żeby nie padł. W świętowaniu chodzi o coś więcej i tu pojawiają się nieco pominięte przez lewicowych tłumaczy Hana świąteczne rytuały.

Święto jest wspólnotowym doświadczeniem religijnym, mówi Han. Stąd się wzięło i taki jest jego głęboki sens, który oczywiście współcześnie się zatracza. Cech święta religijnego Han szuka w etymologii „religii” – w czasownikach „ligare” i „religare” (wiązać, łączyć), czyli w łączności z bóstwem, ale także z innymi, a więc w doświadczeniu wspólnoty. Szuka ich w czasowniku „relegare”, oznaczającym „badać”, „zauważyć” czy „kontemplować”. Dlatego święto jest dla Hana przeciwieństwem życia aktywnego (vita activa), po drugiej stronie leży jednak nie relaks czy przyjemność, ale życie kontemplatywne (vita contemplativa). Doświadczenie Święta ma tworzyć więc wspólnotę zgromadzoną wokół wspólnych symboli oraz zmusić do zatrzymania, do uważności, skupienia na czymś ważnym. „To właśnie niemożność zatrzymania się w kontemplacji tworzy siły odśrodkowe, które powodują ogólny pośpiech i rozproszenie”.

Pisze Han, że skupienie się na ważnych, wspólnych symbolach tworzy wspólnotę bez komunikacji. Tymczasem chorobą współczesnego świata, która uwidacznia się w czasie świąt świeckich, jest komunikacja bez wspólnoty. „Dzisiejszy kryzys wspólnoty to kryzys oddźwięku. Cyfrowe kanały komunikacji wypełnione są studniami pełnymi echa, w których słyszymy głównie nasze własne głosy. Lajki, znajomi i followersi nie zapewnią nam oddźwięku; wzmacniają jedynie echo naszego własnego »ja«”.

Widać to w popularnym współcześnie sposobie świętowania – w Wigilii Wi-Fi. Niby wszyscy są w jednym miejscu, ale każdy, za pomocą telefonu, gdzie indziej. Mnóstwo komunikacji tu się odbywa, zero wspólnoty się tworzy. Problem bowiem w tym, że kiedy Święta stają się po prostu przerwą od pracy czy nauki, trzeba tę lukę czymś wypełnić. I tu uwidacznia się problem podstawowy – wszyscy wiedzą, że chcą pracować mniej, niewielu wie, co z wy-

gospodarowanym w ten sposób czasem zrobić.

Najłatwiejszym sposobem jego wypełnienia jest konsumpcja, niekoniecznie konsumpcja rzeczy. Progresywne myślenie o pracy i świętowaniu jest głęboko niekonsekwentne. Nie dostrzega, że skrócenie czasu pracy nic nie daje, jeśli nie ma pomysłu, jak wartościowo wypełnić czas wolny, którego jest więcej. Bo, jak pisze Han, jeśli ten czas pozostaje nie zorganizowany przez rytuały, staje się czasem konsumpcji – nie tylko karpia czy pierogów, ale przede wszystkim emocji. „W konsumowaniu emocji nie odnosimy się do rzeczy, ale do siebie. Tym, czego szukamy, jest emocjonalna autentyczność. Konsumpcja emocji wzmacnia więc narcystyczną relację do samych siebie”. Ostatecznie ta konsumpcja, dokonywana głównie przez media społecznościowe, prowadzi do wypalenia. Jak praca.

Konsumpcja emocji to na przykład binge-watching – nalogowe oglądanie seriali na Netflixie. To scrollowa-



**Święto jest
przeciwieństwem życia
aktywnego (vita activa),
po drugiej stronie leży
jednak nie relaks
czy przyjemność,
ale życie kontemplatywne
(vita contemplativa)**

nie smartfona: oglądanie postów na Facebooku czy Instagramie, ciągle przewijanie filmików na TikToku. Idea „rolki”, którą znamy z mediów społecznościowych, dobrze oddaje nieskończoność tej konsumpcji. Przewijasz i przewijasz, a dopływ nowych treści i dopaminy nigdy się nie kończy. Kotek, dziecko, śmieszny skecz, wypadek, wywiad z celebrytą, kotek, dziecko, aligator, śmieszny skecz, teleturniej. I tak w kółko, aż oglądający zamieni się w zom-

MARCIN
MATCZAK*



FOT. ŁUKASZ GIZA / AGENCJA WYBORCZA.PL

bi z niebieską, naświetloną ekranem twarzą. Nie ma przerwy, nie ma ciszy. A to, co święte, mówi Han, wymaga milczenia: „Cisza daje początek słuchaniu. Towarzyszy jej szczególnie chłonność, głęboka kontemplacyjna uważność. Dzisiejszy przymus komunikowania się sprawia, że nie możemy zamknąć ani oczu, ani ust. To desakralizuje życie”.

W sieci konsumuje się treść, która jest pozbawiona jakiegokolwiek struktury. Nie jest żadną opowieścią o świecie, ale zbiorem atomów czasu, nieuporządkowanym przez wspólny sens, przez opowieść, która może zakończyć się jakimkolwiek morałem, jakąś interpretacją z tego zbioru wyprowadzoną. A jak nie ma porządku i sensu, jest chaos, niepokój i ciężar psychiczny, które prowadzą do wypalenia tak jak bezsensowna praca. Han: „Czas atomizowany jest czasem nieciągłym. Nie ma nic, co by wiązało zdarzenia ze sobą i w ten sposób znajdowało związek, trwanie. Zmysły są więc konfrontowane z tym, co niespodziewane i nagle, co z kolei wywołuje rozproszone uczucie niepokoju”.

Zatem święto jako przerwa od pracy, którą wypełnia się konsumpcją, dzisiaj głównie konsumpcją emocji, to duży problem. Społeczeństwo odchodzące od religii, ku czemu ma milion dobrze uzasadnionych powodów, napotyka go coraz wyraźniej – nie wie, jak świętować w świecie bez religii, w jaki sposób zastępczo realizować funkcje, których ona już realizować nie może. Jakże dokładnie są te funkcje prawdziwego świętowania?

Świąteczne rytuały religijne są z zasady wspólnotowe – w teorii przynajmniej skupione na wspólnym rozważaniu istotnych dla wspólnoty symboli. Nie jest nim konsumpcja pozytywnych emocji, na przykład wynikająca z oglądania pełnej ładnych fi-

gurek świątecznej szopki. Nie jest nią także konsumpcja emocji złych, na przykład nienawiści do innych, której można było nieraz doświadczyć w kościołach przy okazji świątecznych szopek czy wielkanocnych grobów, zamieniających się w ideologiczne ołtarze (vide Groby Pańskie w gdańskiej parafii św. Brygidy za czasów księdza Jankowskiego).

Poważna kontemplacja symboli bożonarodzeniowych nie prowadzi też do emocji łatwych. Katolicki adwent jest symbolem oczekiwania eschatologicznego – na koniec świata, choćby miał to być koniec naszego świata indywidualnego. Gdyby przedstawić adwent w formie znanego memu z dwoma psami: jednym wielkim i silnym, drugim słabym i małym, adwent byłby w odbiorze społecznym żalonym odpowiednikiem rozmyślań nad Heideggerem i jego byciem-ku-śmierci. A przecież jest dokładnie tym samym – choć Heideggerem da się zablasygnąć w towarzystwie skuteczniej niż chodzeniem na roraty. To oczywiście wina zdziennienia religii, której często dopuszcza się Kościół hierarchiczny. A my na to zdziennienie przystajemy, bo chęci do myślenia o własnym końcu w nas nie ma. Píše Han w „Społeczeństwie paliatywnym”, że każdą myśl o śmierci i bólu współczesny człowiek od siebie odsuwa, by nie utrudniać żywiołowej konsumpcji, do której one nie pasują: umarli napotykać bowiem istotne przeszkody w kontynuowaniu konsumpcji.

Także post poprzedzający Święta religijne jest ważnym symbolem. Ma – przez doświadczenie braku – uwypuklić wartość bycia. Han píše, że takich doświadczeń współcześnie nam brakuje. Zawahanie się, oczekiwanie, deficyt – te zjawiska usuwamy z na-

Zawahanie, oczekiwanie, deficyt – te zjawiska usuwamy z naszego życia

szego życia, bo także one utrudniają konsumpcję. Czas to pieniądz, nie można więc go roztrwonić na czekanie.

Symbolika żłobu jest także mało przyjemna. Betlejemską grota, którą zwykliśmy przedstawiać artystycznie jak coś w rodzaju luksusowego namiotu z sziszą, znane go z wakacji all-inclusive w Hurghadzie, była zapewne bardziej podobna do chlewu. Idea Boga, jak píše Jordan Peterson, jest tak powszechna, ponieważ ludziom potrzebna jest idea najwyższego ideału, choćby po to, aby umieć mierzyć od niej odstępstwa. Czy od kolejnej porcji sernika nie jest ciekawsza refleksja, dlaczego Boże Narodzenie, które symbolizuje wejście ideału w ludzką historię, wcielenie doskonałości w niedoskonałość, musiało prowadzić do jego zbrukania? Dlaczego ten ideał musiał sięgnąć gnoju?

Han nie daje odpowiedzi, co w świecie upadku wspólnych symboli mamy wspólnie kontemplować. A my kontemplujemy chętniej salatkę warzywną w majonezie niż żłób. Nie daje odpowiedzi, jak w tym świecie wyznaczać cele, choć mówi, że są one konieczne. Bez nich święto zamienia się w czas cierpienia na „niedzielną depresję”, o której pisał także Viktor Frankl, autor „Człowieka w poszukiwaniu sensu”. Nie mówi Han także, jak dokładnie mamy budować wspólnotę. Prywatne rytuały nie zapewniają poczucia wspólnoty właśnie dlatego, że są prywatne. Picie kawy, czytanie książek, chodzenie na spacerzy to miłe rutyny, nie wspólnotowe rytuały. Mówi za to Han, że święto wymaga piękna – a ono także wymaga pracy. Ponownie więc święto nie jest po prostu przerwą od codziennego wysiłku, ale całkiem innym jakościowo czasem niż czas zwykły.

Wiemy to dzięki religijnej, nie ateistycznej idei święta. Może więc jesteśmy wszyscy sierotami po religii? Popyt na świąteczne, wspólnotowe rytuały jest wśród nas spory, ale wraz z upadkiem religii podażą nie ma, więc próbujemy te rytuały nieudolnie zastąpić: kuligiem, ogniskiem i wspólnym patrzeniem w ogień, które od biedy tworzy jakąś wspólnotę bez komunikacji. Ale nawet te zastępcze rytuały znikają – z mojej obserwacji wynika, że brakuje chętnych nawet do wspólnego śpiewania kolęd, jednych z niewielu polskich pieśni, w których ludzie znają więcej niż pierwszą zwrotkę. Zaś unikatowe, rodzinne tradycje, jak sama nazwa wskazuje, są unikatowe, nie tworzą zatem wspólnoty szerszej. A więc znów atomizacja i to okropne, neoliberalne,

indywidualne realizowanie swoich celów. Sfera sacrum się kurczy, sfera profanum rozszerza. Jej znakiem rozpoznawczym jest polityka, która dociera już wszędzie, dzieląc stół wigilijny aż do sianka pod obrusem.

Wreszcie píše Han o przekleństwie transparentności, które też dopada nas w Święta. Ekspozycja, „produkcja samego siebie” jako przedstawianie siebie światu, promowanie się – to wszystko przynoszą świąteczne media społecznościowe. Han bardzo ostro porównuje tę potrzebę autoprezentacji do pornografii. Tak jak pornografia jest anomalią, bo to seks całkowicie odsłonięty, bez elementu tajemnicy, zakrycia, tak anomalią jest życie bez tajemnicy, bez nieznanego.

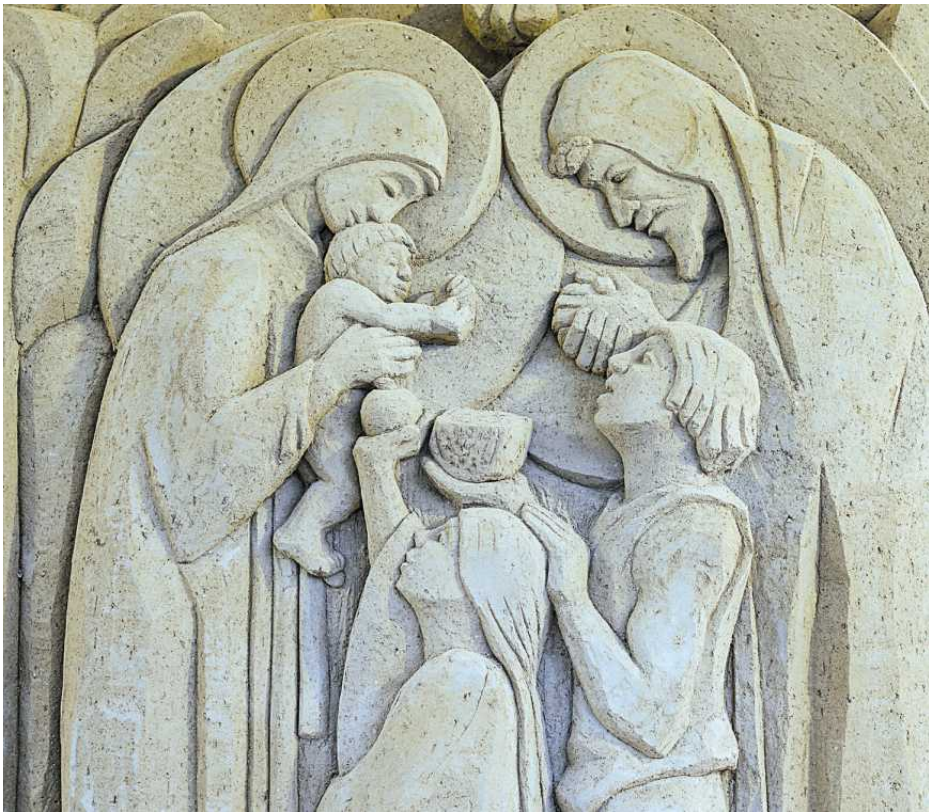
Pornografia autoprodukcji i autopromocji jest widoczna najbardziej w tym, co ludzie robią na TikToku – stosunkowo nowym, przerażającym medium. Niewiele tam kreatywnej treści. Wiele ciągłej prezentacji siebie jako kogoś, kto powtarza słowa innych, imitując ruchem ust piosenkę, którą skomponował ktoś inny. To niewola „tego samego”, jak píše Han, w której człowiek nie ma żadnych szans na dążenie do oryginalności. TikTok jest niesłychanie dołujący w tym ślepy naśladownictwie, które służy wyłącznie autopromocji. Ale popularność zjawisk popkultury to zawsze odbicie głębszych zmian, które w nas zachodzą.

Han píše, że ciągle prezentowanie się innym jest bardziej szkodliwe i wypalające niż praca. „Każdy wytwarza siebie, aby zwrócić na siebie uwagę. Przymus wytwarzania siebie wyraża się w przymusie komunikacji i niesie ze sobą przymus dobrego przedstawienia. Przedstawienie różni się od pracy. W przypadku pracy ego nie musi zajmować centralnego miejsca. W przypadku przedstawienia ego odnosi się do samego siebie. Nie tylko produkuje jakiś przedmiot, ale także produkuje siebie. Narcystyczny podmiot performansu eksploatuje siebie dobrowolnie i z pasją aż do załamania. Optymalizuje się na śmierć. Jego upadek nazywamy depresją lub wypaleniem”.

Święta w ujęciu religijnym nie pasują do społeczeństwa transparentności, bo z założenia mają w sobie tajemnicę. A tajemnica jest przeciwieństwem przejrzystości. Ludzie kpiący z religii nie dostrzegają tego – dla nich wszystko jest przejrzyste, a co jest zaślониęte, wymaga odsłonięcia. Narzędziem odsłaniania tajemnicy ma być rozum – ten sam, który tyle razy już ludzkość zawiódł i który wyjaśniał nieznanne przez najdziwniejsze, później wytrwale dekonstruowane konstrukcje. Jak pisał Dean Koontz, „bezmysłne przyjęcie irracjonalności jest po prostu szaleństwem. Ale przyjęcie racjonalności przy jednoczesnym odrzucaniu istnienia jakiegokolwiek tajemnicy życia i jego sensu – to nie mniejsza forma szaleństwa niż gorliwe oddanie się nieracjonalności”.

Może jest więc filozofia Hana szansą na zasypanie kolejnego rowu dzielącego Polaków – na wierzących, którzy zarzucają niewierzącym płytkość, i niewierzą-

FOT. BARTOSZ BAŃKA / AGENCJA WYBORCZA.PL



cych, którzy zarzucają wierzącym zabobon i zacofanie. W świetle tego, co pisze Han, wstydzenie się świątecznego zabobonu samo może być zabobonem. Święto zasługuje bowiem na głębszą refleksję, na zatrzymanie i skupienie na czymś innym niż bezmyślne konsumowanie przyjemnych bodźców. Skoro w Święta chodzi o to, by siebie nawzajem zauważyć, to może te świąteczne zabobony odpowiednio realizowane nam taką uważność ułatwią.

Niekoniecznie przez rytuał oglądania „Kevina samego w domu” czy „Znachora”, choć łagodna nostalgia, z którą podchodzimy do tych niezmiennych punktów świątecznego programu, jest najlepszym dowodem, że za stałością rytuałów jakoś tęsknimy. Może przez rytuały, które obejmują nie tylko nasze oczy czy uszy, ale również całe nasze ciało. Pisze Han, że prawdziwe rytuały zmuszają do zaangażowania w świecie. Oznacza to na przykład, że wspólne budowanie karmnika dla sikorek jest lepsze niż wspólne czytanie o sikorkach.

Czy jest Byung-Chul Han konserwatywnym koniem trojańskim, którego Krytyka Polityczna wprowadziła do polskiego postępowego myślenia? Nieważne. Ważne, jak bardzo pomaga zrozumieć tragizm naszego położenia. Zatopieni w konsumpcji, bez szans na pełną uważności kontemplację (ni by czego?), skazani na pornografię autoprezentacji, bez rytuałów i prawdziwego świętowania pozostaniemy ludźmi komunikującymi się z samym sobą w mediach społecznościowych, które są jak studnie: odbija się w nich echo naszego własnego głosu. I tak powoli będziemy się przekształcać w społeczeństwo TikToka – ludzi z własnymi, wyizolowanymi kanałami prezentowania się światu, w ramach których będziemy nieudolnie ruszać ustami do tekstów, które

w danej chwili są najbardziej popularne. Bez wspólnoty, bez głębi myślenia, bez tajemnicy, bez ciszy, bez sacrum.

Biedne, wypalone maszyny do pracowania w dni robocze i do konsumowania w Święta. ●

***Marcin Matczak**

• profesor nauk społecznych, zajmuje się filozofią prawa, teorią konwencji społecznych, filozofią języka i teorią interpretacji. Wykłada na UW.

*Wykorzystane cytaty pochodzą z książek Byung-Chul Hana „The Disappearance of Rituals. A Topology of the Present” oraz „The Scent of Time: A Philosophical Essay on the Art of Lingerinɡ” (tłum. autora)

„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości”.

Nowa książka Marcina Matczaka już w księgarniach



PODARUJMY MAZURKOWI ŻYCIE NA ŚWIĘTA

Dostał na imię Mazurek, bo podobno na ubój przyjechał z Mazur. Handlarz mówi, że pracował w szkółce, woził na swoim grzbiecie najmłodszych adeptów jeździectwa. Pracował też w bryczce. Ale teraz przyszła zima, klientów mniej, pasza droga, właściciel uznał, że nie będzie go dłużej trzymał, bo potrzebuje pieniędzy. Musi przecież kupić prezenty na święta... Nikt z korzystających z Mazurka nie chciał go kupić, może dlatego, że pokastuje, ale czemu kaszle nie wiadomo, nikt go nie badał. Skoro idzie na rzeź to szkoda wydawać pieniędzy.



Wezwany handlarz przyjechał, dobili targu, zostawił pieniądze, a zabrał konia. Stanął Mazurek uwiązany w ciemnej, ponurej oborze i czeka na swój ostatni transport. Handlarz trzymać go nie będzie, bo jest już wystarczająco tłusty.

Szanowni Państwo, koń waży 410 kilo, cena za kilogram to 14 zł, koszt transportu to kolejne 1600 zł. Razem to 7340 zł. Udało się wpłacić zadatek za niego i do 29 grudnia trzeba spłacić całą kwotę.

Są Święta, czas jest trudny, każdy ma pilne wydatki ale Mazurek nie ma czasu na czekanie na lepszy okres. Jeśli ma żyć, pomoc jest potrzebna natychmiast. Prosimy o ratunek.

Jeśli możesz i chcesz, bardzo prosimy dokonać drobnej wpłaty z tytułem "Ratuję MAZURKA"

Numer konta 23 1020 4027 0000 1102 1692 6564

Fundacja BENEK ul. Orzechowa 15, 63-004 Szewce

www.fundacjabenek.pl tel: Michał Bednarek 506 349 596

Wyślij SMS o treści POMAGAM na numer 7977 / koszt tapety 11,07 zł

BARDZO DZIĘKUJEMY ZA KAŻDĄ POMOC

KRS0000794938 - Podaruj zwierzętom 1% podatku

Działamy w oparciu o wolontariat od 12 lat, nie zatrudniamy pracowników.



SKARŻYŃSKI Z ZAGRANICY

**Dusisz się?
Dawaj w długą**

No tak, trzeba wyjechać, koniecznie wyjechać, tylko jeszcze nie teraz, ale już za chwilę. Całe życie może tak przelecieć.

Stanisław Skarżyński

M ijąją właśnie cztery lata, od kiedy wsiedliśmy z K. i psami do rozklekotanej toyoty yaris i pojechaliśmy żyć ponad 1,5 tys. kilometrów dalej. Byliśmy przerażeni, zadłużeni po uszy, reszta naszego, pozał się Boże, dobytku zmieściła się na jednej palcie. Wóz albo przewóz, nie było żadnego planu B.

A my i tak mieliśmy łatwo. Mamy wykształcenie, jesteśmy biali, nieźle znamy angielski i mieliśmy w ogóle taką możliwość, żeby się zadłużyć, starczyło nam tupetu, żeby zamieszkać w samym pępku świata, a nie dzielnicy dla początkujących imigrantów. Tak wjechaliśmy tym rzęchem z kierownicą po złej stronie wprost do klasy średniej. Takiej – przewiniemy opowieść o cztery lata do przodu – co to może w grudniu, kiedy jest ciemno, pojechać na tydzień na urlop. Nie wziąć urlopu z jednej pracy, żeby wyrobić więcej godzin w innej, tylko tak naprawdę – na urlop.

Siedziałem więc w słońcu i czytałem różne rzeczy, których cały rok nie miałem czasu przeczytać. Najbardziej został ze mną wywiad Matyldy Damięckiej dla „Newsweeka”, w którym aktorka, improwizatorka i grafik (@girlwhofellonearth) opowiada o tym, jak ją polski hejt przyniósł tak, że przestała rysować. A jednak deklaruje: „Mój kochany kraju, choć będziesz mną gardził i uważał za obywatela półkwi, nie wygonisz mnie. To jest moje miejsce, mój dom. A ja zostanę, ot, choćby po to, żeby cię uwierać jak kamycek w bucie”.

Wielką Brytanię w tym czasie ścigały mrozy i emisja na Netflixie dokumentu, w którym Sussexowie – księżna Meghan i książę Harry – tłumaczyli decyzję o rezygnacji z ról w brytyjskiej rodzinie królewskiej i wyjeździe do Ameryki. Jeśli ktoś miał wątpliwości, czy przesadzają, to rozwiął je Jeremy Clarkson, który w „The Sun” deklarował nienawiść do Meghan „na poziomie komórkowym” i fantazjował o obrzucaniu nagiej księżnej fekaliami. Uderz w stół, a tępe nożyce się odezwą.

Nie będę Matyldy namawiał, by poszła w ślady Meghan i wyjechała, skoro Polska pluje jej w twarz. Jeśli Matylda widzi w trwaniu w Polsce wartość, to jest przecież jej sprawa. Może tylko zasugerowałbym jej, że skoro już tak chce iść w ślady Sokratesa, to niech przejmie również jego metaforę – jako giez, co nie dawał spokoju gnuśniejącemu miastu, Ateńczyk miał nieco więcej świeżego powietrza niż Polka jako żwir w skarpecie polskiej.

Z mojej perspektywy wywiad Matyldy i opowieść Sussexów pokazuje jednak doskonale problem, który w ciągu ostatnich kilku dekad narósł w polskim myśleniu o wyborach emigracyjnych. Meghan i Harry ujmują sprawę według klucza racjonalnego wyboru: próbowaliśmy tak, próbowaliśmy siak, zrobiło się okropnie, wręcz niebezpiecznie, więc wyjechaliśmy. U Matyldy tymczasem emigracja jako racjonalny wybór właściwie nie istnieje, bo jest ten dyskurs w Polsce całkowicie zdominowany przez kwestie etyczne – Matylda podaje, jeden po drugim, doskonale racjonalne argumenty za wyjazdem, by wszystkie je utracić decyzją etyczną: zostają, bo to uważam za słuszne.

Oczywiście jest to Matyldy prawo, ale kusi, by wyciągnąć dyskurs o emigracji z tych tak rozetycyzowanych torów.

Emigracja jako wybór etyczny rozpościera się między pozostaniem w Polsce, niełatwą, ale etycznie słuszną decyzją, a wyjazdem, który jest formą zła, gdyż – na przykład – wyjeżdżając, zostawia się kolejny skrawek Polski przesowowi Kaczyńskiemu i jego orkom: popelnia się grzech pogłębienia dziury, którą jest Polska.

To narracja nie tyle chybiona, co postawiona na głowie. Przecież to nie wyjeżdżający robią z Polski duszące bagno, od ponad trzydziestu lat to kolejne prawicowe rządy celowo tak urządzają Polskę, żeby była nie do zniesienia dla tych, którzy się nie zmieszczą w rzeczywistości rozpisywanej przez pana i plebana z pominięciem całej reszty. Patrząc wstecz, z perspektywy schyłku roku 2022, widać wyraźnie, że Polska wpadła w sidła w roku 1993, kiedy to nie prawa człowieka, ale władze Kościoła katolickiego dyktowały świeżej demokracji nowelizację prawa aborcyjnego. Zarówno emigracja talentu, jak i PiS są tylko konsekwencjami pójścia III RP z klerem do łóżka.

Ale jest jeszcze druga strona tej monety: przekonanie, że emigracja jest tą łatwą decyzją. To piramidalna bzdura, do tego obraźliwa dla milionów ludzi, którzy zostawili za sobą rodziny i przyjaciół, wymienili doświadczenie z Polski po przeokrutnie niskim kursie i wyrabiają całe lata dodatkowych okrażeń. Nas wyjazd cofnął w życiu o dekadę, żyjemy teraz, jakbyśmy niedawno skończyli studia, a nie dobijali do czterdziestki.

Nie umiem już spojrzeć wstecz tak, by prześledzić trajektorię swojego życia bez decyzji o wyjeździe. Może bym się jeszcze nie powiesił, ale dusiłbym się pewnie dalej, tak jak Matylda Damięcka, i tak jak ona powtarzał, że się nie poddam, że trzeba zostać i nie oddawać pola. Albo mówił: „No tak, trzeba wyjechać, koniecznie wyjechać, tylko jeszcze nie teraz, ale już za chwilę”. Całe życie może tak przelecieć, więc na nowy rok wszystkim duszącym się życząc odwagi, żeby poszukać świeższego powietrza. ●

• Uchodźca w Puszczy Białowieskiej,
gdzieś przy granicy białoruskiej
FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL



Obudził mnie Lolek, machając ogonem, że czas go wypuścić. Dziękuję losowi, że mieszkamy w większym domu z ogrodem, nie muszę się ubierać. Otwieram mu drzwi, wracam do łóżka. Ale tym razem postanowiłem nie wracać, zaparzyłem kawę, zadzwoniła kumpela-sąsiadka: – Masz może pożyczyć cztery jajka – zapytała. – Mam gości, chcę im zrobić szakszulkę. – Mam, wpadaj – odpowiedziałem i wróciłem do picia kawy, która nabrała mocy. Ścieram pomidora, dodaję oliwę i odrobinę soli, rozsmarowuję to na toście. Tak nauczyła mnie Nuria. Potem kładę na tym plasterki sera. Nie zdążyłem tego ugryźć, gdy znów telefon. Kumpela, ale inna, z Białowieży.

– Adam, mam chłopaka – powiedziała drżącym głosem.

– Jakiego?

– No chłopaka. Mam w samochodzie chłopaka, z lasu mi wyszedł prosto pod samochód, jak wracałam z Hajnówki, z zakupów. Nie wiem, co mam robić, jest przemoknięty, przerażony i tylko wodę pije.

– Czekaj, czekaj, daj mi chwilę – straciłem pewność siebie. Ona ma w samochodzie uchodźcę, jedzie z Hajnówki do Białowieży, a w Białowieży już jest strefa, kontrolują każdy samochód, złapią ją, jego zabiorą i wywalą na Białoruś. Teremiski, gdzie mieszkam, nie są w strefie.

Rozłączam się i dzwonię do tej, która przed chwilą prosiła o jajka.

– Czy ty nie zrozumiałeś, po co te jajka? Też mam głodnych gości. Czterech. U mnie nie ma miejsca – odpowiada, a mi świat wiruje, bo wiem, co mam zrobić, ale się tego boję.

Opowieść wigilijna

KOMPAS
ŻYCIA

Co bym zrobił, gdyby coś takiego mi się przytrafiło?
Może poszedłbym kogoś zabić, a może bym uciekał



ADAM WAJRAK

MAPA ZAMIAST SMARTFONA

Kryzys humanitarny, a raczej okrutny i bezsensowny cyrk, wykreowany przez reżim Łukaszenki z jednej strony, a z drugiej przez PiS-owski rząd, który dla chwilowych, politycznych korzyści wypowiedział wojnę głodnym i zziębniętym ludziom w lesie. Cyrk, który trwa pomimo murów i zapewnień premierów i ministrów, dopiero się rozkręcał.

W dawnej szkole, obok, która zwykle jest placówką przyrodniczą prowadzoną przez ludzi z Domu Przyrody i Kultury, powstało czasowe centrum pomocy i magazyn. Tu docierały kolejne transporty ciepłej odzieży, spiwory i zupy w słoikach. Stąd ruszali aktywiści na ratunek ludziom w lesie, ale nie chodziłem do lasu ratować ludzi. Byłem obok. Doraadzałem jakie rzeczy kupować w teren, a miastowym - jak się po tym terenie poruszać. – Zapomnijcie o telefonach. Musicie mieć mapę i kompas, bez tego nie ruszajcie do lasu, a północ zawsze jest u góry mapy – mówiłem tym wszystkim mieszczuchom, którzy przyjechali tu z misją, ale w ich oczach widziałem zaufanie do smartfonów i niechęć do mapy i kompasu. – Szkoda, że nikt nie był w harcerstwie, harcerstwo jest naprawdę potrzebne – kłamię pod nosem, jak na dziad ersa przystało.

Mój plecak ze sprzętem fotograficznym stał się jednak cięższy. Doszły apteczka, folie ratunkowe, pakiety rozgrzewające, więcej batonów i zawsze termos z ciepłą, słodką herbatą. Wyobrażałem sobie to tak: spotkam ich w lesie, kobiety i dzieci o czarnych włosach i migdałowych oczach, i uratuję dzięki batonom i herbacie. Ale mijały kolejne dni, kilometry przemierzałem za sóweczkami i żubrami, a uchodźców w centralnej części Puszczy nie było. A nawet po nich śladu.

I nagle w trakcie śniadania okazało się, że zobaczę chłopaka, jak to lubią straszyc prawicowe media, „w wieku poborowym”, czyli takiego, który najbardziej jest przerażający.

– Wiesz go do mnie – mówię tej jadącej do Białowieży. – A później się zobaczy...

Gdy wyszło na jaw, że nasze chłopaki i dziewczyny ze Straży Granicznej, ludzie, którym ufaliśmy, przyjaciele i sąsiedzi, łapią i wywożą, narażając ich życie i zdrowie, wiele podlaskich domów zamieniło się w kryjówki. Dla Kurdów, jezydów, Syryjczyków, Jemeńczyków i Afgańczyków. Kryjówkami stały się domy przyjezdnych, ale też podlaskich babulek, z których wiele wie doskonale, co to są złe czasy. I myślę, że wszyscy się bali, tak jak zawsze obcego, bo propaganda sączy do mózgu i nawet jak się przed nią broniś, to coś zostaje.

ŁAPCZYWE PICIE WODY

Był środek dnia. Przyjaciele z Warszawy, Kryśka lekarka i Piotr dziennikarz, zaslonili wjazd na podwórko samochodem. Kumpela podjechała pod bramę. Wyszedł z auta chłopak. – Go to home, to home now! – krzyknąłem, nie wiem po co, bo wiedział, co ma robić, wbiegł do domu błyskawicznie, a ja za nim. Tak poznałem Salima, młodego Kurda, w przemoczonym, śmierdzącym dymem i zgnilizną ubraniu, sportowych butach, kiedyś były białe, z małym plecaczkiem. Powtarzał po angielsku: – Pić, pić, pić.

Jest coś niebywałego w tym, że w środku Europy nie na żadnej pustyni, ale po lasach błąka się tylu spragnionych ludzi. Woda, czysta, pitna, jest najcenniejsza i najszybciej im się kończy. Tej z lasu nie mogą się napić, bo kończą z biegunkami i odwodnieniem. Pomagałem Syryjczykowi, który omal nie umarł między suchymi świerkami, zasrany, zarzygany, bo napił się wody z lasu. Był z Aleppo. Miasta tak samo bombardowanego przez Putina jak cała Ukraina, z której właśnie wtedy każdego dnia tysiące uchodźców przekraczało granicę bez żadnego problemu. Syryjczyk bał się polskich służb, szpitala, bał się, że wywiozą go za druty i tam umrze.

Salim pił łapczywie wodę, a później delikatny jarzynowy rosół. Łamanym angielskim przedstawił się i spytał, czy może podładować telefon. Połączył się z mamą i siostrą, na ekranie pojawiły się kobiety, starsza i młodsza, obie bardzo piękne. Nie miały zakrytych twarzy, kręconych włosów, nie było w nich nic, co kojarzyłoby się z islamem. Nie wiem, jak długo się nie widzieli, ale chyba długo. One płakały, on płakał. A potem ta młodsza, ze łzami w oczach, zapytała, czy mogę mu pomóc. – Jedyne, co mogę obiecać, że dopóki jest u mnie, to jest bezpieczny – powiedziałem, choć nie byłem tego pewien.

– Pomóż mi iść dalej – błagał, kiedy skończył rozmawiać i ze swojego plecaka wyciągnął podrabiane perfumy, jedyną rzecz, jaką miał. Poza nią jeszcze słoik po nutelli. Z ubrania sypały się igły i liście.

– Nigdzie nie idziesz. Musisz się wykąpać i zmienić ubranie – powiedziałem. Dałem mu ręcznik. Ktoś ze szkoły przyniósł suche ciuchy, brudne wywalilem do śmieci.

Posadziłem go przy stole w kącie, by nikt go nie zobaczył przez okno. Zabrałem się do zmywania naczyń, bo działa to na mnie kojąco. A on, ubrany w płaszcz i czapkę, siedział. Patrzyłem na niego i myślałem, że wygląda jak elegancki turysta. Mógłby być z Włoch, może z Hiszpanii, o właśnie, z Hiszpanii! Trochę nawet podobny do Alberto, doktoranta Nurii. Może by go nauczyć paru zdań po hiszpańsku i przeszedłby te wszystkie checkpointy i patrole. Uśmiechnąłem się do tej myśli, a po chwili posmutniałem. Gdy na niego popatrzyłem, jak siedzi w kącie, żeby nie było go widać, to zrobiło mi się ścisaką smutno.

To przez tę historię z dzieciństwa.

DZIEWCZYNIKA Z KORYTARZA

Babcia ukrywała żydowską dziewczynkę w mieszkaniu na Żoliborzu. Nie było piwnicy, stodoły, strychu, żadnej kryjówki. Zwykle, trzypokojowe, niewielkie urzędnicze mieszkanie, a dziewczynka nigdzie się nie chowała, wręcz przeciwnie, siedziała ubrana w płaszczyk i czapkę w przedpokoju, tuż przy drzwiach. Siedziała ubrana tam cały czas, a gdyby ktoś wszedł, Polak czy Niemiec, to miała oświadczyć, że weszła przez przypadek i właśnie wychodzi.

FOT. ADAM WAJRAK



Potem dziewczynkę zabrała jej mama, może dlatego, że dziadek, który wrócił z niewoli, pobity i schorowany, wszystkiego się bał, a może znalazło się lepsze miejsce. Babcia dostała od nich wazonik, na pamiątkę. Nie wiem, jak miały na imię, ale wiem, że nie przeżyły wojny. Wazonik ocalał, stoi u nas na kredensie. Babcia do końca życia nienawidziła dzwoneczków. Dopóki żyła, nie mieliśmy dzwoneczka do drzwi.

Dostałem informację, że wszędzie są patrole, więc robimy z Salimem obiad. Zabrałem się do krojenia czosnku i cebuli do sosu, którego główną i podstawową częścią będą śmietana, gorgonzola oraz szpinak. Tym sosem poleje się makaron i syczący, pożywny obiad gotowy. Ja pichciłem, on opowiadał. Ma 22 lata, jest Kurdem z Iraku, u nich wojna albo gangi, albo Państwo Islamskie, albo Turcy strzelają lub bombardują. Ciągłe ktoś zabija, nie da się żyć. Mnie było głupio, bo o Kurdach mówiliśmy „nasi sojusznicy”, podziwialiśmy, jak walczyli z islamistami, porównywaliśmy do Polaków, bo przecież nie mają państwa jak my w czasie zaborów. A potem milczeliśmy, gdy reżim Erdogan zaczął ich mordować, a gdy pojawili się na naszej granicy, pukali do drzwi, to uznaliśmy ich za „broń biologiczną Łukaszenki”. Straż Graniczna na rozkaz oszalałego rządu zrobiła z nich zaszczute zwierzęta. Nie myślałem, że dożyję czasów, gdy w wolnej Polsce ktoś rzuci wojsko przeciwko cywilom.

Salim opowiadał. Przed sześcioma miesiącami dotarł do Europy, rodzina się złożyła na podróż, ma krewnych w Europie. Białorusini przerzucali ich raz na Łotwę, raz na Litwę, raz do Polski. Sześć razy był przepychany w jedną albo drugą stronę. O powrocie nie było mowy, Białorusini nie pozwalają. Jak raz

dotrzesz na granicę, nie możesz się wycofać. Kiedy pytam go o białoruskie służby, robi się ponury i mówi tylko, że przystawili mu broń do głowy i kazali iść. – To są bardzo źli ludzie – powiedział, a ja zobaczyłem, że widział tam rzeczy, o których na razie nie chce mówić.

Rozłożyłem makaron na talerze. Jemy. Salim zrobił się pogodny i nawet gadatliwy. – Bardzo dobre to jest, bardzo dobre – mówi – ale wiesz, my w Kurdystanie jemy kurczaka z ryżem.

- Ile masz rodzeństwa? – pyta.
- Mam młodszą siostrę
- A twoja żona?
- Jest jedynaczką.

– Och tak, wy, Europejczycy nie macie dużych rodzin, ja mam ośmiu braci i cztery siostry. To znaczy, miałem, bo dwoje już zabili – powiedział i strasznie spoważniał, ale na parę sekund, bo potem zaraz dodał: – Wiesz, bardzo dobre to jest, ale my w Kurdystanie jemy kurczaka z ryżem.

Zatkało mnie. To, jak to powiedział, tak zupełnie naturalnie, wyrwało mu się tak bezwiednie, tak mimochodem o tym zabitym rodzeństwie, że trafiło mnie w samo serce. To jedno zdanie, a właściwie pół zdania poruszyło jak żadna dotąd opowieść o Państwie Islamskim, Turkach i gangach. Co bym zrobił, gdyby coś takiego mi się przytrafiło? Może poszedłbym kogoś zabić, a może uciekał. Jak najdalej od przekłętego miejsca. Byłem bezradny. A kiedy kolejny raz powiedział: „Bardzo to dobre, ale wiesz, my w Kurdystanie jemy kurczaka z ryżem”, wiedziałem, co dla niego zrobić.

Nie kupuję mięsa, to znaczy, staram się nie kupować. To wszystko przez ten „vegan džihad” ludzi z Domu Przyrody i Kultury, a wcześniej Obozu dla

Znajoma prosi
o pomoc,
bo ma
w samochodzie
uchodźcę
– wiem, co zrobić,
ale się tego boję

Puszczy. Są wspaniale radykalni. Jak zjem parówkę, to patrzą z porażającym wyrzutem. No to wymyśliłem, że jak coś mięsnego zrobi mi mama albo Pani Ela, nasza sąsiadka, to jem przez szacunek dla nich, do tych zabitych już zwierząt i żeby nic nie zmarnować. Ale staram się nie kupować. Ale wtedy pomyślałem: pieprzyć to. Kupię tego cholernego kurczaka, zrobimy z ryżem. Za dużo przeszedł, niech sobie zje. Może go złapią i znów wywalą na Białoruś, będzie się błąkał, może tu umrze, więc pieprzyć to niekupowanie mięsa, niech sobie zje tego cholernego kurczaka z tym ryżem. Jak w Kurdystanie, gdy akurat nie lecą im na głowę bomby.

KOP W TYŁEK

Następnego dnia przyjechała telewizja. W programie „Dzień dobry TVN”, na żywo, Kryśka lekarka, dwoje młodych ludzi, Maja i Maciej, i ja mieliśmy opowiedzieć o tym wszystkim, co się dzieje. Transmisja była z mojego podwórka

– Czy spotykałeś uchodźców? – pyta mnie dziennikarka.

– Tak, spotykałem. W lesie spotkałem młodego Kurda – kłamię, ale przecież tylko trochę.

Kurd nie jest w lesie, tylko na naszym strychu, tuż pod ich nosem, ale przecież nie muszą tego wiedzieć. Tak będzie dla wszystkich lepiej. Rano, przed ich przyjazdem, powiedziałem tylko schowanemu na strychu Salimowi, żeby nigdzie się nie ruszał, nie podchodził do okna, nie zapalał świateł. Gdy zapalił w nocy, musiałem go strofować. Mieszkam tu wiele lat i wiem, że ludzie na wsi rejestrują najmniejszą

zmianę w otoczeniu, a u nas światło na strychu rzadko się pali. Gdy uporałem się z telewizją, zrobiłem mu dwie kanapki i z kolegą pojechaliliśmy na zakupy do Hajnówki. Nie wiedziałem, jak długo będzie musiał ze mną zostać. Kupiłem mnóstwo rzeczy, dla nas dwóch. Kupiłem mu nawet szczoteczkę do zębów, no i pierś z kurczaka. Ale gdy wróciliśmy, okazało się, że patrole i punkty kontrolne, których zwykle było pełno w okolicy, zniknęły. Salim mógł iść dalej, właściwie musiał, bo taka okazja mogła się nie powtórzyć. Dałem mu sto złotych, żeby poczuł się pewnie w tej podróży w nieznane. Do kieszeni wcisnąłem mu też pełnomocnictwo mówiące, że go reprezentuję, na wypadek gdyby go złapali. Ludzie ze szkoły obok mówili, że większość tych pełnomocnictw nic nie znaczy, że funkcjonariusze drą je na oczach proszących o azyl ludzi, ale czasami przecież zdarzają się cuda. Uściskaliśmy się, sprzedałem mu kopa w tyłek, na szczęście.

– Adam, jesteś moim bratem – powiedział, oczy zrobiły się nam wilgotne. – Dasz radę, dasz radę – tyle miałem mu do powiedzenia, nic lepszego nie przychodziło mi do głowy.

I poszedł sobie, a potem chyba i pojechał. Wiem, że dotarł tam, gdzie chciał, i że jest szczęśliwym człowiekiem. A to, jak dotarł, to kolejna opowieść – o dobrych ludziach, którą kiedyś będzie można opowiedzieć, a może nie, co bardziej prawdopodobne. Bo o tych dobrych można będzie opowiedzieć dopiero za wiele lat albo nigdy. Dlatego to, co się tu dzieje, jest potwornie duszące.

Salim odszedł, a ja zostałem z nierozpakowaną szczoteczką do zębów i piersią z kurczaka. O szczoteczce pomyślałem, że się przyda, a pierś kurczaka wrzuciłem do zamrażarki i zapomniałem.

POLICJA POD DOMEM

Na początku listopada pojechałem do Nurii, do zupełnie innego świata, do Sewilli. Nasze życie dzielimy między Teremiski, gdzie mieszkamy z Lolkiem, Kraków, gdzie Nuria pracuje, i Sewillę, w której opiekuje się wiekową i schorowaną mamą. To było mi potrzebne – tęskniłem, chciałem się przytulić, skończyć książkę o Arktyce. Docierały wieści o chłopaku, którego pogranicznicy poszczuli psami i miał pogryzioną głowę. Przychodziły też dobre, że części dzieci z Michałowa i ich rodzin, wypchniętych z Polski, udało się przedostać na Zachód.

Było mi dobrze. Jadłem oliwki, pisałem o Arktyce, chodziłem fotografować króliki do pobliskiego parku, bo Hiszpania jest ojczyzną królików. Albo patrzyłem na szybujące na niebie orzelki, które w Polsce są rzadkością. A potem wróciłem ze słonecznej Sewilli w grudzień. Beźśnieżny, szaro-czarno-brązowy, z krótkim dniem i długą nocą, z intensywną zielenią mchów na szarych pniach puszczańskich drzew. Promienie słońca nie przebijały się przez stałowe chmury, które codziennie wydawały się takie same, jakby ktoś je przymocował na stałe. Dzień zaczynał się szaro i wilgotno, a później robiło się ciemno, czarno i wilgotno. To mi nie przeszkadza. Lubię taką nienachalność listopada i grudnia. Przynosi mi spokój.

Ale 24 grudnia, w dzień Wigilii, ten spokój zburzył mój wewnętrzny Polak ze swoją polskością. Naszedł mnie z olbrzymią mocą już rano, kazał gotować i się krzątać. Byłem wobec niego bezbronny. Może dlatego, że za oknem tak samo, może dlatego, że w radiu co chwila christmas songi. Może przez to, co wokół. Nie opierałem się temu Polakowi, im starszy jestem, tym mniej z nim walczę, może nawet coraz bardziej lubię. Rano zrobiłem postny barszcz na zakwasie z grzybami, a gdy szarówka zamieniła się w ciemność, nakryłem stół w kuchni białym, ceratowym obrusem, wsunąłem sianka ze stodoły. Postawiłem świerkową gałązkę w słoiku, zamiastkę choinki i opłatek na małym talerzu. Podzieliłem się z Lolkiem. W naszej rodzinie zawsze dzielimy się opłatkiem ze zwierzętami i nie ważne, czy to chomik, papuzka falista czy pies. Taka tradycja. Z nakryciami na stole wyszło dziwnie. Nie wiem, dlaczego postawiłem trzy, chyba z rozpędu, może podświadomie. Z drugiej strony, dlaczego nie dwa? Pasowało do miejsca i tych czasów.

Popatrzyłem na to wszystko bardzo zadowolony, ale Polak jątrzył dalej: – Zmyj podłogę! Co to za święta bez umytej podłogi? – i się znów poddałem. Kiedy złóte linoleum w kuchni lśniło, ktoś zapukał. Jarek, nasz sąsiad. Lubię go i szanuję. Jest miejscowy, stąd, z Teremisek, od pokoleń, czyta książki, zna las. Nie ściemnia jak wielu miejscowych, którzy las widzą z samochodu na trasie Hajnówka – Białowieża i powtarzają bzdury, że kornik zje puszcze, że żubry na martwych świerkach łamią nogi. Jarek ma swo-

je zdanie, czasami inne niż ja, ale też przyjmuje argumenty i nie gada, jakby wykuł propagandową broszurkę Lasów Państwowych.

- Najlepszego, sąsiad.
- Najlepszego – odpowiedziałem.
- Trzeba coś wypić z okazji świąt – zaproponował, zgodziłem się, bo w sumie dla czego nie.
- Tylko chodźmy na werandę, bo w kuchni morko.

Butelkę całkiem przyzwoitego bimbru akurat miałem w kredensie na werandzie. Nie było co zwlekać. Połałem.

Telewizja spytała, czy widziałem uchodźcę.

Nie powiedziałem, że właśnie siedzi na moim strychu

- No to zdrowie, zdrowych i wesolych.
- Zdrowych i spokojnych.
- Sluchaj no, a ci uchodźcy to jacy oni są? – zapytał po którymś wypitym.
- W porządku, biedni, przestraszeni ludzie – połałem pod krawędź.
- I trzeba im pomagać? – w głosie Jarka słysząc było niepewność.
- Pewnie! Jak można głodnemu i wyziębionemu nie pomóc? W lesie kobiety z dziećmi siedzą, a zresztą co, facetowi, jak głodny i ledwo żyje, to nie trzeba? Umrzeć tam mają?
- Racja! No tak, pewnie, że trzeba!
- Znów wychylił się, a wtedy zapytał, pamiętam to dokładnie.
- I to jest legalne?
- Pomaganie ludziom zawsze jest legalne.
- I nie ma z tego problemów?
- Ja pomagam i jak widzisz, nie mam problemów.

A sekundę po tym wycedziłem przez zęby twarde i okrutne: „O kurwa”, Jarek dodał: „O, ja pierdołę”, a może na odwrót, bo za płotem, tuż przed bramą, naprzeciwko werandy, stała policyjna suka. Nie tam jakiś zwykły radiowóz, tylko bus, co w nim i z dziesięciu się zmieści. Mrugała niebieskimi kogutami, rozświetlała pół Teremisek. Wysypali się z niej policjanci w kamizelkach taktycznych, z latarkami w rękach i świecili po domu, po bramie, po płocie, po werandzie. Wiedziałem, co się dzieje. Bardzo dobrze wiedziałem. Dziewięć dni wcześniej policja weszła do bazy Klubu Inteligencji Katolickiej w Gródku, malej, przygranicznej miejscowości leżącej daleko na północ od Puszczy. Zrobiła rewizję, skonfiskowała komputery. Siedzieli do piątej rano. Takie nękanie i zastraszanie za to, że kikowcy pomagali ludziom w lesie, więc nie miałem wątpliwości. Teraz do mnie wjeżdżają albo pomyliły im się domy i chcą wjechać do szkoły, ale tak czy inaczej to ciąg dalszy i to wszystko będzie dotyczyć mnie. Tylko że ja zastraszyć się nie dam. „Wjechać do domu dziennikarza »Gazety Wyborczej« to jednak gruba sprawa, nawet w pisowskim państwie” – pomyślałem i poczułem się pewniej, czując za sobą całą moc „Gazety”, choć zaraz sobie przypomniałem, że do mojego redakcyjnego kolegi z Zielonej Góry weszli i zabrali mu laptop. Zabiorą mi komputer i za pół roku oddadzą zepsuty. Nici z książki o Arktyce. Nigdy jej nie skończę. I to mnie wkurzyło! O nie! Za długo ją piszę. Nakręcony włożyłem gumofilce, otworzyłem drzwi i ruszyłem stawiać czoło aparatowi przemocy. Za mną nieśmiało z werandy wychylił się Jarek. Idę do tych policjantów, twardo, pewnym krokiem, no dobra, po bimbrze, ale bądźmy szczerzy, no kto mógł się spodziewać rewizji w wigilijny wieczór? Idę do nich i już chcę być bardzo stanowczy i już mam powiedzieć: „No, kurwa, mam nadzieję, że macie nakaz”, już sobie wyobrażam, jak oni mi przetrząsają dom, a ja dzwonię do naszych naczelnych, adwokatów bardzo znanych, jak stawiam na nogi całe Biu-

ro Rzecznika Praw Obywatelskich i Helsińską Fundację Praw Człowieka, bo robię raban na całą Polskę i pół Europy. Tak sobie wyobrażam to wszystko, a jeden z tych policjantów podchodzi bliżej do płotu i mówi spokojnym głosem:

- Przepraszam, czy tu jest centrum rehabilitacji?
- Przepraszam, co?
- Czy tu jest... centrum rehabilitacji, centrum rehabilitacji zwierząt?
- Jest, to znaczy było – odpowiadam, czuję, jak schodzi ze mnie całe napięcie jak z przebitej w wielu miejscach dętki – ale o co chodzi?
- Sowę mamy. Samochód, co jechał przed nami, potracił sowę. Nie mogliśmy jej zostawić.

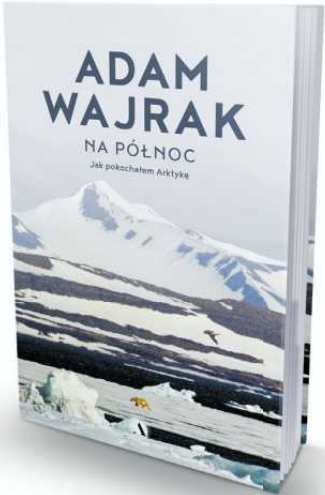
W głowie zaczęło mi się rozjaśniać. Przez wiele lat prowadziliśmy z Nurią centrum rehabilitacji zwierząt. Ratowaliśmy bociany, kuny, wydry, myszolowy, kruki, jeże i jerzyki, i sowy też. To były czasy partyzanckie, amatorskie, bo w okolicy nikt takiej pomocy zwierzakom nie udzielał, a ludzie uznali, że skoro jestem „panem, co pisze o zwierzętach w gazecie” i gada o nich w telewizji, to też powinienem im pomagać, jak wpadną w kłopoty. Napisaliśmy o tym książkę „Kuna za kaloryferem”. Później powstały na Podlasiu naprawdę profesjonalne centra rehabilitacji zwierząt, a my naszą amatorską działalność skończyliśmy. Choć nie do końca. Informacja o tym, że w naszym domu jest centrum rehabilitacji, tkwi wciąż w zakamarkach internetu i czasami centrum odżywa. Najczęściej odsyłam do profesjonalnych centrów, ale gdy to niemożliwe, to staram się pomagać doraźnie, na miejscu. Przecież nie odeślę tych policjantów z sową, bo gdzie niby mają szukać pomocy w wigilijny wieczór?

- Ale po co te koguty? – stałem się już tak bardziej pewny siebie.
- Szukaliśmy jakiegoś dzwonka, ale go nie ma, no tak że chcieliśmy, żeby ktoś do nas wyszedł – policjant był trochę skonfundowany.
- Niech pan ją pokaże – powiedziałem.
- Na siedzeniu policyjnego busa leżał piękny puszczyk, szarej odmiany. Puszczyki często polują przy drogach i często kończy się to potrąceniem. Ten wodził oczyma za ludźmi, więc nie miał poważnego wylewu lub innego uszkodzenia, co często takim ptakom się zdarza i oznacza wyrok śmierci. Tylko w jednej z łap miał niedowład. Nie potrafił nią chwycić mojego palca, choć sowy mają zwykle bardzo silne łapy. Nimi przecież zabijają. Zanieśliśmy puszczyka na werandę, policjanci odjechali. Tylko zaraz się zmartwiłem, bo dotarło do mnie, że nie mam czym go karmić. Jeżeli przeżyje noc, powinien coś zjeść, a gdzie ja kupię w święta choć kawałek mięsa? Wszystko zamknięte. Ale po chwili odetchnąłem z ulgą i uśmiechnąłem się sam do siebie. Przypomniałem sobie, że przecież w zamrażarce leży pierś z kurczaka. Ta, która została po Salimie, której nie przyrządziłem z ryżem...



Puszczyka dzięki radom i pomocy wielu przyjaciół udało się wyleczyć i po dwóch tygodniach wypuścić całkowicie sprawnego. Imię Salim nie jest prawdziwym imieniem mojego bohatera. Pożyczyłem je na potrzeby tego tekstu od pewnego kurdyjskiego pisarza. ●

Podróż w czasie do miejsc i istot, których już nie ma, chłopackie przygody i kawał wiedzy przyrodniczej – **„Na północ. Jak pokochałem Arktykę”**, czyli pierwsza część arktycznej trylogii Adama Wajraka, już dostępne w księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl



PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK

JUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT



• Jedno z pierwszych zdjęć nadesłanych przez teleskop Webba – Filary Stworzenia w Mgławicy Orzeł w konstelacji Węża, ok. 6,5 tys. lat świetlnych od Ziemi – kolumny zimnego wodoru, podświetlone promieniowaniem emitowanym przez rodzące się gorące i młode gwiazdy

FOT. NASA, ESA, CSA, STSC, JOSEPH DEPASQUALE (STSC), ANTON M. KOEKEMOER (STSC), ALYSSA PAGAN (STSC)

Świadectwo fizyka

56 GŁOSÓW ZABOGIEM

Gdyby wartość stosunku siły elektrostatycznej do grawitacyjnej była nieco większa, niż jest, we wnętrzach gwiazd nie mógłby powstać węgiel niezbędny do ziemskiego życia

MAREK ABRAMOWICZ

Fizyka jest dziś o wiele bliżej uznania istnienia Boga jako aktywnego elementu obiektywnej rzeczywistości, niż była w wieku XIX. Dokonane bowiem w XX i XXI wieku przełomowe odkrycia, zwłaszcza dotyczące względnej natury czasu i przestrzeni, kosmologii Wielkiego Wybuchu oraz kwantowej nieoznaczoności, znacznie nadważyły (niektórzy twierdzą, że całkowicie zakwestionowały) status materializmu i ateizmu jako oczywistego paradygmatu nauk przyrodniczych, który obowiązywał w wieku XIX. Fizycy deklarują dziś, i to wcale nie rzadko, przekonania podobne do platońskich, dopuszczając istnienie duchowych, niematerialnych aspektów rzeczywistości. Rzecz jasna takie przekonania nie są tożsame z wiarą w istnienie Boga, ale bez wątpienia są jawnie sprzeczne ze światopoglądem stricte materialistycznym.

Sir Roger Penrose, laureat Nobla z fizyki w 2020 roku, jest zapewne najbardziej rozpoznawalnym platonikiem pośród współczesnych fizyków. Jego tysiącstronicowa „Droga do rzeczywistości”, będąca wyczerpującym opisem współczesnej fizyki, rozpoczyna się od sugestii, że najgłębszą istotę rzeczywistości stanowi spłot trzech autonomicznych światów: materii, idei oraz umysłu. Podobny koncept rozważał Platon, a jego współczesną wersję – Karl Popper. Zdaniem Penrose’a w ten sposób najpełniej zrozumieć można świat materii, który badają fizycy.

W wywiadzie dla „Spectatora” 19 grudnia 2020 roku zdeklarował się sir Roger jako agnostyk, podkreślając, że „na pewno” nie jest ateistą. Penrose postrzega metafizyczne splątania fizyki jako fundamentalne tajemnice istnienia – równie intrygujące i głębokie jak szczegółowe problemy nauki. Ufa, że nauka się z niektórymi upora, ale kończy mocnym i szczerym „nie wiem”: „Czy wierzę w istnienie czegoś, co wymyka się poznaniu naukowemu? Cóż, trudno to wiedzieć na pewno. Czym jest nauka? Gdzie są jej granice? Czy fenomen świadomości jest pozanaukowy? Wolę się nad tym zbytnio nie zastanawiać. Z pewnością wykracza to poza naukę, jaką mamy dzisiaj”. Gdy kilka lat temu Penrose i Krzysztof Meissner – jeden z trzech, obok Daniela An i Pawła Nurowskiego, współpracowników wymienionych przez sir Rogera w noblowskim wykładzie – pracowali nad pewnym trudnym rachunkiem, zamknęli się na kilka dni w klasztorze w Czerwińsku, szukając tam spokoju i inspiracji. Wykład Meissnera „Fizyka a wiara” na YouTube obejrzało już 1,2 mln widzów.

Fizyka nigdy, żadnym argumentem nie wykłużyła możliwości Bożej egzystencji, toteż żaden z solidnych fizyków deklarujących się jako ateista nie twierdzi, iż współczesna nauka dowiodła nieistnienia Boga. Rzeczy mają się tak: stwierdzenie „Boga nie ma” jest fundamentem ateizmu – poważnego, godnego szacunku światopoglądu o starożytnej

proweniencji, wyznawanego także przez niektórych najprzenikliwszych myślicieli w dziejach. Można się z nim zgadzać lub nie. Natomiast stwierdzenie „odkrycia współczesnej fizyki sugerują, a nawet dowodzą, że Boga nie ma” jest hucpiarską bzdurą.

Dlaczego ludzie rozsądni i bardzo kompetentni w innych niż fizyka dziedzinach gotowi są publicznie głosić tę modną bzdurę? Dlaczego nie są świadomi, że robią z siebie komicznie napuszonych bufonów? Pouczając bowiem innych, i to na ogół tonem wyniosłej arogancji, o jakoby dowiedzionym przez naukę nieistnieniu Boga, nie dostrzegają, że w najbardziej podstawowym sensie jest dokładnie przeciwnie: fizyka nie dowiodła ani nieistnienia, ani istnienia Boga, ale jej monumentalne odkrycia XX i XXI wieku całkiem zasadnie zmuszają, aby się nad kwestią pozamaterialnych aspektów rzeczywistości wnikliwie zastanawiać.

**Zdaniem niektórych fizyków
kwantowych badających splątanie
i teleportację fotonów rzeczywisty
świat ukazuje zjawiska,
które można interpretować jako
zależne od naszej wolnej woli
i świadomości, obu autonomicznych
względem świata materii**

Oto trzy główne (ale daleko nie jedyne) powody, które zdaniem wielu poważnych fizyków sugerują konieczność rozważania widocznego w realnym świecie, niemożliwego do zaprzeczenia splątania fizyki z metafizyką:

1. Wbrew temu, co większość materialistów twierdziła przez tysiąclecia, materia nie jest wieczna. Nasz Wszechświat powstał w Wielkim Wybuchu 13,8 mld lat temu.

2. Wbrew powszechnemu wśród ateistów przekonaniu o zasadniczym i oczywistym braku jakiegokolwiek celowości w prawach natury bardzo dokładne i różnorodne dane dotyczące rzeczywistego Wszechświata pokazały, że brak celowości w prawach natury wcale nie jest „oczywisty”. Przeciwnie: stwierdziliśmy, że fundamentalne stałe fizyki (prędkość światła, stała grawitacji, stała Plancka, masa elektronu etc.) są bardzo finiezyjnie wyregulowane „antropicznie” – to znaczy mają wartości dokładnie takie, aby gwarantowały nasze istnienie. Problem polega na tym, iż fizyka dopusz-

cza, aby te stałe miały inne wartości. Nie tłumaczy natomiast, dlaczego są one właśnie takie, jakie są. Ale gdyby wartości stałych były choć trochę inne, to we Wszechświecie nie mogłoby powstać życie. Na przykład, gdyby wartość stosunku siły elektrostatycznej do grawitacyjnej była nieco mniejsza, niż jest, to gwiazdy żyłyby o wiele krócej niż kilka miliardów lat, a więc za krótko, by życie mogło się rozwinąć na krążących wokół planetach. Gdyby była większa, we wnętrzach gwiazd nie mógłby powstać węgiel niezbędny dla ziemskiego życia. Dokładność wyregulowania musi być lepsza niż około 0,1 proc., aby możliwe było powstanie gatunku *Homo sapiens*.

Wszechświat jest więc bardzo wyjątkowy, gdyż wyraźnie zdaje się sprzyjać naszemu istnieniu. Fizyka tę naszą zdumiewającą wyjątkowość coraz dokładniej opisuje, znajdując jej nowe przejawy, ale nie potrafi wytłumaczyć, co jest jej przyczyną.

3. Wbrew temu, co sądzą materialiści, zdaniem niektórych fizyków kwantowych badających splątanie i teleportację fotonów i innych cząstek elementarnych rzeczywisty świat ukazuje zjawiska, które można interpretować jako zależne od naszej wolnej woli i naszej świadomości, obu autonomicznych względem świata materii. Anton Zeilinger, tegoroczny laureat Nobla, omawiając wyniki swoich eksperymentów dotyczących kwantowego splątania, stwierdza wprost: „Będziemy się chyba musieli pożegnać z naiwnym realizmem, zgodnie z którym świat istnieje sam z siebie, bez naszego udziału i niezależnie od naszych obserwacji”.

Te fascynujące odkrycia są tematem poważnych uniwersyteckich debat. W czwartek, 3 listopada 2022 roku uczestniczyłem w prawie trzygodzinnej dyskusji zorganizowanej w auli głównego gmachu Uniwersytetu w Uppsali przez Szwedzkie Stowarzyszenie Oksfordzkie (Oxford University Society Sweden). Nasze Stowarzyszenie zrzesza pracujących w Szwecji absolwentów Oksfordu oraz członków (fellows) oksfordzkich kolegów. Należę do niego jako Linacre College Old Fellow oraz emerytowany profesor fizyki teoretycznej na Uniwersytecie w Göteborgu.

Nazwa – Wielka Debatą w Uppsali – żartobliwie nawiązywała do słynnej Wielkiej Debaty (The Great Debate), która odbyła się 30 czerwca 1860 r. w oksfordzkim Muzeum Historii Naturalnej i dotyczyła teorii powstawania gatunków, ogłoszonej przez Darwina zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Debatowali Thomas Huxley, biolog, specjalista anatomii porównawczej (nazywany buldogiem Darwina), oraz Samuel Wilberforce, biskup Oksfordu. Pamiętane są także inne Wielkie Debaty, na przykład dotycząca natury mgławic spiralnych i rozmiaru Wszechświata debata Shapley – Curtis, która odbyła się 26 kwietnia 1920 w waszyngtońskim Smithsonian Museum of Natural History.

Teraz, w Uppsali, debatowali profesor Alister McGrath, teolog z Oksfordu, który jest wierzącym chrześcijaninem, oraz profesor Ulf Danielsson, fizyk teoretyk z Uniwersytetu w Uppsali, który jest ateistą (a może agnostykiem ze skłonnością do ateizmu). Obaj należą do światowej czołówki ekspertów w swych dziedzinach i znani są z popularyzacji nauki jako autorzy bestsellerowych książek. Profesor McGrath opisuje związki pomiędzy religią a wiedzą. Studiował w Oksfordzie biologię molekularną, a następnie teologię. Profesor Danielsson doktoryzował się w Princeton. Zajmuje się teorią strun, kosmologią, ciemną materią i ciemną energią. Jest członkiem Szwedzkiej Królewskiej Akademii Nauk oraz sekretarzem Komitetu Noblowskiego Fizyki.

Sześć pytań wyznaczało ramy debaty: Czy Bóg istnieje? Jak się to wszystko zaczęło? Czy umiemy przewidywać przyszłość? Co jest w środku czarnej dziury? Czy we Wszechświecie są inne prócz naszej inteligentne cywilizacje? Czy sztuczna inteligencja okaże się od nas mądrzejsza? Najbardziej fundamentalne z tych pytań: czy Bóg istnieje? – to zapewne najważniejsze pytanie egzystencjalne w naszym kręgu kulturowym, zadawane stale w każdym pokoleniu od zarania cywilizacji. Zmagają się z nim wszyscy bez wyjątku, choćby nawet tylko intuicyjnie, choćby nawet w sposób nie całkiem intelektualnie uświadomiony.

McGrath wierzy, że jedynie Bóg nadaje sens osobowej egzystencji – jego własnej egzystencji oksfordzkiego teologa oraz egzystencji wszystkich innych ludzi. Bóg jest niezbędny, aby rozumieć głos sumienia – czyli źródło bezkompromisowej pewności w odróżnianiu dobra i zła. Istnienie Boga pozwala na przezwyciężenie eschato-



Fundamentalne stałe fizyki – prędkość światła, stała grawitacji, stała Plancka, masa elektronu – mają wartości dokładnie takie, aby gwarantowały nasze istnienie

logicznego lęku w obliczu nieludzkiej nieskończoności Wszechświata, skonfrontowanej z nieuchronnym końcem ziemskiego, doczesnego życia.

Danielsson twierdzi, że nie doznaje podobnych lęków. Przeciwnie – akceptuje jako oczywiste ogrom, prawa i urządzenie materialnego Wszechświata, którego częścią się czuje. Należy do Wszechświata w taki sam naturalny sposób jak cała materia – Ziemia z jej fauną i florą, inne planety, czarne dziury, gwiazdy i galaktyki, ciemna energia. Jest tworem Wszechświata i jednocześnie jego częścią: wie, że atomy węgla oraz innych ciężkich pierwiastków budujących jego ciało powstały miliardy lat temu we wnętrzach gwiazd. Nie widzi potrzeby, aby do tego majestatycznego obrazu samoorganizujących się struktur materialnych dodawać mistykę. Życie i śmierć niechybna traktuje jako naturalne, częściej myśląc o obowiązkach za życia niż o nicości po śmierci (takie godne szacunku ateistyczne credo pięknie streścił Władysław Broniewski w „Żywiołach”: „Trzeba iść i budować miasta, bo dla żywych odwrotu nie ma, bo za nami śmiercią narasta wieczność ślepa, noc głuchoniema”).

Profesorowie przyjęli wstępne założenie, że skoro nie ma dowodów, ani empirycznych, ani racjonalnych, na istnienie lub na nieistnienie Boga, jego uznanie lub odrzucenie jest zawsze następstwem indywidualnej, subiektywnej wiary – wiary albo

ateistycznej, albo religijnej. Dlatego nie omawiali historycznych „dowodów”, lecz opisali osobiste poszukiwania oraz impresje, skupiając się właśnie na tych dwóch metafizycznych problemach fizyki: 1. materia nie jest wieczna, 2. Wszechświat jest antropicznie wyregulowany.

Z religijnego punktu widzenia te metafizyczne splątania fizyki nie przedstawiają żadnych trudności. Przeciwnie: jeśli Bóg istnieje, to Wszechświat powinien ukazywać właśnie takie splątania! McGrath nie twierdził jednak triumfalnie, że ponieważ splątania rzeczywiście obserwujemy, to fizyka dostarczyła już niepodważalnego dowodu na Boże istnienie. Bo choć stwierdzone obserwacyjnie antropiczne wyregulowanie rzeczywistego Wszechświata jest całkowicie zgodne z hipotezą istnienia Boga, to przecież biorąc rzecz ściśle od strony logiki, tej hipotezy nie dowodzi: z implikacji „jeśli A, to B” nie wynika przecież, że jeśli stwierdzamy B, to musi zachodzić A. Zatem, choć fizyka współczesna odkryła we Wszechświecie zjawiska wprost zdumiewająco zgodne z hipotezą istnienia Boga, to faktu Bożej egzystencji nie udowodniła. To pozostaje domeną wiary. To stanowisko typowe dla poważnych uczonych reprezentujących oświeconą wiarę. Podobne można znaleźć, na przykład, w esejach i książkach Michała Hellera – księdza i kompetentnego fizyka. Oraz, co ważne, laureatem nagrody Templetona, przyznawanej za badanie związków religii i wiedzy.

Danielsson z ateistycznego punktu widzenia standardowo tłumaczył, że przynajmniej te dwa metafizyczne splątania fizyki – materia nie jest wieczna, Wszechświat jest antropicznie wyregulowany – można wyjaśnić na gruncie materializmu, przyjmując hipotezę wieloświata (multiverse). Różne wersje tej hipotezy mają jedną, fundamentalną cechę wspólną. Zakładają, że oprócz naszego Wszechświata istnieje nieskończenie wiele innych z naszym rozłącznych – wszystkie razem tworzą wieloświat. Choć poszczególne wszechświaty mogą się rodzić i umierać, wieloświat trwa bez czasowego początku i końca: materia jest zatem wieczna.

Obserwowaną przez nas antropiczną wyjątkowość naszego Wszechświata hipoteza multiverse tłumaczy jako pozorną. Wyjaśnię, jak rozumiał to Dennis Sciama, jeden z najbardziej charyzmatycznych fizyków XX wieku. Sciama stworzył w Cambridge w latach 60. legendarny zespół, badający głównie matematyczne podstawy teorii względności Einsteina oraz jej zastosowania w kosmologii i astrofizyce. Doktorantami Sciamy byli m.in. John Barrow, Brandon Carter, George Ellis, Stephen Hawking i Martin Rees.

Sciama i Rees dowiedli w roku 1965, że bardzo odległe (czyli stare) kwazary są liczniejsze niż bliskie (czyli młode). To epokowe odkrycie udowodniło, że Wszechświat podlega ewolucji, jako że dawniej był inny, niż jest teraz. W kosmologii spowodowało to zmianę paradygmatu: odrzucenie teorii Stannu Stacjonarnego i przyjęcie teorii Wielkiego Wybuchu. Najdonioślejsze odkrycia zespołu Sciamy (uzyskane dzięki wprowadzeniu nowatorskich metod matematycznych do badania teorii Einsteina) dotyczyły zadziwiających własności czarnych dziur. Penrose, który należał do kręgu Sciamy (i zadeptykował mu swą monumentalną książkę), dowiódł – za co dostał Nobla – że z teorii Einsteina wynika, iż podczas katastrofalnego grawitacyjnego zapadania się materii powstaje osobliwość, podobna do opisanej wcześniej osobliwości Hawkinga-Ellisa, która była początkiem Wszechświata. Sciama i jego chłopcy z Cambridge (większość wtedy nie skończyła trzydziestki) sprawili, że czarne dziury stały się powszechnie znane, przeniknęły do wysokiej i do masowej kultury.

• „Czwarty dzień Stworzenia”, drzeworyt Juliusa Schnorra von Carolsfelda, 1860

FOT. AKG-IMAGES/EAST NEWS

Przez 15 lat pracowałem w zespole Sciamy - najpierw w Austin w Teksasie a później w Oksfordzie i Trieście. W Trieście przez kilka lat dzieliłem trzyosobową pracownię ze Sciamą i włoskim fizykiem Nicolò Dallaportą, którego Primo Levi, serdeczny przyjaciel Dallaporty, uczynił bohaterem jednego z 21 rozdziałów swej słynnej książki „Układ Okresowy”. Obu, Dallaportę i Sciame, bardzo interesowały filozoficzne aspekty fizyki. Przysłuchiwałem się wielokrotnie ich pięknym, wyrafinowanym rozmowom, w naszej wspólnej pracowni, z której mieliśmy bezpośredni widok na rozległy park założony przez arcyksięcia Ferdinanda Maksymiliana Habsburga - Parco di Miramare.

Rozmowy ze Sciamą oraz z kolegami z jego kręgu ukształtowały moje poglądy na temat metafizycznych aspektów fizyki. A miałem się od kogo uczyć! Aż trzech doktorantów Sciamy dostało Nagrodę Templetona, przyznawaną za badanie związków religii i wiedzy: George Ellis w roku 2004, John Barrow w 2006 oraz Martin Rees w 2011. Ta prestiżowa nagroda wręczana w pałacu Buckingham została ustanowiona w roku 1972. Jej finansowa wartość przewyższa Nobla. Wśród jej laureatów jest aż sześciu noblistów, w tym fizyk Frank Wilczek z MIT.

Z trzech laureatów Templetona należących do kręgu Sciamy Rees jest twardym ateistą, Barrow był praktykującym anglikaninem (zmarł w roku 2020), a George Ellis jest głęboko wierzącym kwakrem. Z Ellisem opublikowałem kilka artykułów na temat czarnych dziur oraz zamówiony przez redakcję „Nature” esej „The elusive anthropic principle”, poświęcony poglądom współczesnych fizyków na zagadkę antropicznego wyregulowania Wszechświata. (Z Georgem Ellisem napisałem też kilka fachowych prac dotyczących konkretnych problemów związanych z Einsteinowskim opisem oddziaływania materii i promieniowania w bardzo silnych polach grawitacyjnych).

Sciama mocno podkreślał, że każda możliwa kombinacja stałych fizyki musi koniecznie być realizowana w jakimś indywidualnym wszechświecie należącym do wieloświatu. Rzecz jasna niektóre kombinacje dopuszczają powstanie życia, świadomości i inteligencji, inne to wykluczają. My, ludzie, istniejemy w pewnym konkretnym Wszechświecie – tym mianowicie, w którym wartości wszystkich stałych fizyki mają przypadkiem akurat takie wartości, które dopuszczają istnienie gatunku *Homo sapiens*. Tę właśnie zupełnie przypadkową, bezcelową kombinację postrzegamy jako antropiczne wyregulowanie. Nasze istnienie jest jednak ontologicznie konieczne, ponieważ w wieloświecie taki przypadkowy, pozornie antropicznie wyregulowany, sprzyjający życiu „nasz wszechświat” na pewno musi istnieć – jako że w ogóle wszystkie logicznie możliwe wszechświaty istnieją tam koniecznie. Nasz byt jest więc bytem koniecznym, gwarantowanym przez naturę wieloświatu: Bóg nie jest potrzebny jako przyczyna naszego istnienia. Rzecz jasna nasze istnienie akurat w tym konkretnym Wszechświecie jest wynikiem statystycznego przypadku; nie ma więc ani celu, ani sensu. Taki obraz pięknie się zgadza ze światopoglądem ateistycznym.

Brandon Carter zauważył, że pytanie, dlaczego obserwujemy antropiczne wyregulowanie, ma zaskakującą odpowiedź: bo w niewyregulowanym wszechświecie, nie dopuszczającym inteligentnego życia, nie ma nikogo, kto mógłby niewyregulowanie stwierdzić. Tę konstatację zwykle nazywa się „słabą zasadą antropiczną”. Carter jest jednym z najbardziej cenionych znawców matematycznych podstaw teorii Einsteina. Poznałem niezwykle przymioty jego przenikliwego umysłu współpracując z nim oraz Jean-Pierre Lasotą nad wyrażeniem teorii Einsteina w języku tak zwanej geometrii optycznej. Wielu uważa, iż jego najważniejsze osiągnięcie, dokonane w roku 1973 wspólnie z Jamesem Bardeenem i Stephenem Hawkingiem, dotyczyło czterech praw mechaniki czarnych dziur. Doprowadziło, dzięki kluczowej kontrybucji Jakoba Bekensteina oraz rozmowy Hawkinga z Jakowem Zeldowiczem w Moskwie, do wielkiego odkrycia Hawkinga, że czarne dziury promieniują.

Dla każdego powinno być jasne, że w zgodzie z ateistyczną doktryną, po pierwsze – ani nasz Wszechświat, ani żaden inny nie może być wyróżniony oraz po drugie – muszą istnieć wszystkie potencjalnie możliwe wszechświaty. Jakikolwiek bowiem wyróżnienie lub wykluczenie musiałoby oznaczać wybór dokonany przez byt od wieloświatu odrębny, względem niego zewnętrzny i jednocześnie mający o nim pełną wiedzę – czyli przez Boga. Każda ateistyczna wersja wieloświatu implikuje więc, że ponieważ Boga nie ma, to wszystkie logicznie niesprzeczne wszechświaty muszą istnieć koniecznie. Nie sposób nie zauważyć, że to koresponduje z moralną intuicją Fiodora Dostojewskiego, tak ujętą przez Iwana Karamazowa: „jeśli Boga nie ma, wszystko jest dozwolone”. Podkreślmy: zasada wszystko, co jest logicznie niesprzeczne, musi istnieć koniecznie w wieloświecie, wynika z wymagania, aby doktrynę ateizmu pogodzić z obserwowanym wyregulowaniem – nie z praw fizyki, choć nie jest z nimi sprzeczna.

Zasada ta prowadzi do paradoksów wystawiających na śmieszność ideę ateistycznego wieloświatu. Bowiem jeśli możliwe jest wszystko, to – na przykład – istnieć muszą wszechświaty, w których mieszkają krasnoludki, jako że istnienie krasnoludków nie przeczy logice. Dumnie i często powtarzana ateistyczna mantra „my nie wierzymy w Boga, podobnie jak nie wierzymy w krasnoludki” świadczy o niekompetencji tych, którzy ją głoszą. Zgodnie z ateistyczną wersją wieloświatu mamy bowiem: {Boga nie ma} => {istnieje wieloświat} => {w wieloświecie istnieją wszystkie (!) logicznie niesprzeczne wszechświaty} => {w jednym z nich muszą mieszkać krasnoludki}. Ja natomiast, jako wierzący w prawdziwego Boga, który stworzył jeden świat, nie muszę wierzyć w istnie-

nie krasnoludków: bowiem ostrzem brzytwy Ockhama mogę odciąć je od Istnienia jako byty niekonieczne.

Idea ateistycznego wieloświatu jest niekompatybilna z nakazem brzytwy Ockhama, mnoży bowiem byty wprost absurdalnie rozrzutnie, ad infinitum. Policzmy: hipoteza, że boska egzystencja jest przyczyną obserwowanego wyregulowania naszego Wszechświata, wymaga istnienia tylko dwóch bytów – bytu naszego Wszechświata i bytu Boga. Natomiast hipoteza wieloświatu w wersji ateistycznej postuluje istnienie bytu naszego Wszechświata oraz nieskończenie wielu bytów innych wszechświatów.

Najpoważniejszy problem, dotyczący każdej bez wyjątku wersji wieloświatu, polega jednak na czymś daleko bardziej serio niż krasnoludki. Wielu fizyków zauważa, sine ira et studio, że hipoteza wieloświatu jest fundamentalnie pozanaukowa, gdyż – podobnie jak w przypadku pozanaukowej hipotezy istnienia Boga – nie można dowieść ani jej prawdziwości, ani jej fałszywości. Fakt, iż teoria strun (sugerująca wieloświat) jest trudna, matematycznie piękna i pełna majestatu, nie przesądza sprawy. Wizje Pseudo-Dionizego Areopagity dotyczące hierarchii anielskich także są trudne do zrozumienia, piękne i jeszcze pełniejsze majestatu. Zarówno w pierwszym przypadku (wieloświat), jak i w drugim (Bóg) jedynym uzasadnieniem jest osobista wiara, to znaczy subiektywne przekonanie, że przecież tak być musi, bo to jest oczywiste. Ale „oczywiste” znaczy tutaj „zgodne z moim widzimisię”. Jeśli ktoś się powołuje wyłącznie na „oczywistą oczywistość”, to zawsze ma myśli swoje prywatne widzimisię, czy rzecz dotyczy metafizyki, czy polityki.

Oto stosowna przypowieść:

– Dennisie – zagaiłem pewnego dnia na spacerze w Parco di Miramare — zgadzasz się przecież, że hipoteza, iż Bóg stworzył świat, jest logicznie dozwolona. W takim razie w tym twoim wieloświecie, wśród tych twoich wielu wszechświatów powinny być także takie, które zostały stworzone przez Boga.

Dennis nie okazał najmniejszego zaniepokojenia i od razu się zgodził: – Tak, każdy logicznie dopuszczalny wszechświat istnieje w wieloświecie. Niektóre są więc stworzone przez boga lub bogów.

– A skąd czerpiesz pewność, że to właśnie nasz Wszechświat nie jest akurat tym stworzonym przez Boga?

Dennis zatrzymał się gwałtownie, wyrażnie zdziwiony: – Ty chyba żartujesz...

„Ty chyba żartujesz” jest, po odciedzeniu erystycznej ornamentyki, wszystkim, co zostaje z intelektualnej zawartości ateistycznych argumentów krytykujących wyjaśnienia powodów, dla których wierzący sądzą, że widzą w sobie i świecie możliwe oznaki Bożej obecności. Ale tylko nieliczni ateści szczerze przyznają, iż ich ateizm ma źródło w osobistych wyborach światopoglądowych, a nie w obiektywnej wiedzy. Wśród takich rzeczowych, obiektywnych ateistów chcę wymienić na pierwszym miejscu Steve’na Weinberga i Martina Reesa.

Weinberg był wybitnym fizykiem, noblistą z roku 1979. Po wyjeździe z Princeton zo-

stał profesorem na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Teksaskiego w Austin, gdzie ja także wtedy przez dwa lata pracowałem. Weinberg nigdy nie twierdził, że fizyka dowodzi słuszności idei wieloświatu. Przyznawał, iż akceptacja tej idei jest w jego przypadku sprawą osobistych preferencji: „Najbardziej odpowiada mi wyjaśnienie, że Wielki Wybuch, w którym powstał nasz Wszechświat, był zdarzeniem typowym w wiecznie trwającym wieloświecie – nie miał celu ani sensu. Nie trzeba zatem się zmagać z pytaniem Leibniza o przyczynę istnienia naszego Wszechświata. Nie ma takiej przyczyny. Istnienie Wszechświata jest zupełnie pozbawione sensu”. Podkreślam kluczową frazę: „najbardziej odpowiada mi”.

Martin Rees (przypominam: wybitny uczony, prezydent Royal Society, twardy ateista) ujął meritum w wywiadzie dla „Guardiana” z 6 kwietnia 2011, w którym skrytykował rewelacje ateistycznego kaznodziei Richarda Dawkinsa: „Zajmowanie się nauką uświadomiło mi, że zrozumienie nawet najprostszych spraw jest zwykle bardzo trudne. To powoduje moją podejrzliwość wobec ludzi, którzy wierzą, że osiągnęli coś więcej niż tylko niepełne, metaforyczne zrozumienie jakichkolwiek głębokich aspektów rzeczywistości”. Nazwał Dawkinsa zawodowym ateistą i dodał, ostrzegając przed merytoryczną nierzetelnością wynikającą z ideologicznego zaślepienia: „Sądzę, że wszyscy jesteśmy zaniepokojeni fanatyzmem i fundamentalizmem oraz że potrzebujemy wszelkich sojuszników, których możemy zmobilizować przeciw takim postawom”.

Rees poruszył jeszcze jeden temat: są ateści, którzy krytykują wiarę w Boga, wyszydzając metaforyczne opisy Bożych atrybutów. Podał jako przykład swego dobrego kolegę z Cambridge, Stephena Hawkinga, odmawiając mu (słusznie) teologicznych kompetencji – niemniej sztycherza postawa Hawkinga jest dość powszechna. Tę postawę można przeciwstawić stanowisku wielu innych fizyków. Na przykład Kepler, Newton i Einstein wierzyli w Boga szczerze i głęboko, ale każdy zupełnie inaczej. Inaczej także z powodu Bożych atrybutów, które rozumeli swoiście. Kepler był zafascynowany atrybutem Trójcy. Widział „obraz i podobieństwo” Trójcy Świętej w kosmicznym porządku świata. Świat musi być skończoną kulą, twierdził w przypływie mistycznego wizjonerstwa (które zwiódło go na manowce), bo tylko taka kula ma dokładnie trzy atrybuty – środek, wnętrze i powierzchnię). Newton był zdecydowanym przeciwnikiem koncepcji Trójjedyne-go Boga, ale także, jak Kepler, wierzył w Boga osobowego. Einstein, który często mówił o Bogu, widział go podobnie jak Spinoza – wierzył, że Bóg i regularnie harmonijny świat przez Boga stworzony stanowią jedno. Natomiast nie wierzył, aby Bóg zajmował się losem i uczynkami ludzkości.

Acz z trzecim z metafizycznych problemów fizyki, wymienionych na początku artykułu? Debatający w Uppsali profesorowie poświęcili mu najmniej czasu, choć poruszyli kwestię najnowszych odkryć optyki kwantowej, za które Alain Aspect, John Clauser oraz Anton Zeilinger dostali tegorocznego Nobla. Chodzi o eks-

perymenty ze splątanymi fotonami, które dowiodły naruszenia nierówności Bella, co się każe zastanawiać nad pytaniem o rolę naszej wolnej woli oraz naszej świadomości w kształtowaniu świata materii. Anton Zeilinger mówi wręcz o konieczności porzucenia postawy naiwnego realizmu, zgodnie z którą świat istnieje sam z siebie, bez naszego udziału i niezależnie od naszych obserwacji.

Zrządzeniem losu dzień wcześniej przeżyłem profesorskie wzruszenie właśnie a propos nierówności Bella. W przeddzień debaty w Uppsali miałem w sztokholmskiej Nordita standardowy wykład seminaryjny.

Mówilem o pracy opublikowanej wspólnie z Michałem Bejgerem, Andrzejem Udalskim i Mackiem Wielgusem kilka tygodni wcześniej w „The Astrophysical Journal Letters” (szerzej o tej pracy w przyszłotygodniowej, sylwestrowej „Wolnej Sobocie”). Wymyśliłiśmy, jak obserwacyjnie udowodnić, że w ciemnej materii w naszej Galaktyce nie ma małych, pierwotnych czarnych dziur, które powstały tuż po Wielkim Wybuchu.

Temat przyciągnął sporą publiczność, ale jeszcze większa zaczęła się gromadzić pod koniec przedłużającej się dyskusji. Tłum studentów i najmłodszych asystentów wydziału fizyki uczestniczących w cyklu spotkań, jakie sami sobie zorganizowali w ramach nieobowiązkowego samokształcenia, aby się nauczyć, punkt po punkcie, matematycznych podstaw prac, które doprowadziły do tegorocznego Nobla. Młoda Szwedka, pięknie skupiona i poważna, wyprowadzała na tablicy nierówność Bella, a obecni w auli zadawali jej drobniagowe pytania. Wszyscy chcieli wszystko dokładnie zrozumieć. I wszyscy zrozumieli. Wzruszyły mnie ich młodzieńcze entuzjazm oraz wierność zasadzie, że tylko bezkompromisowo solidna praca może przynieść rezultaty w studiowaniu fizyki.

Wzorem debat oksfordzkich po debacie w Uppsali głosowaliśmy nad pytaniem podsumowującym jej wynik. Brzmiało: Czy twoim zdaniem istnieją poważne powody na to, by uznać, że Bóg istnieje? Odpowiedzi „tak” było 56, prawie trzykrotnie więcej niż „nie” – tych było tylko 20. Wynik na pozór zaskakujący, ponieważ Szwedzi są powszechnie uważani za społeczeństwo bardzo zlaicyzowane. Ale ja nie byłem zaskoczony: wszyscy głosujący należeli do wykształconych elit, a wielu było fizykami z solidnego uniwersytetu: Uppsala zajmuje 78. miejsce na liście szanghajskiej.

Po debacie można było zostać w paradnym hallu uniwersytetu na typowej szwedzkiej kolacji, jakie zwykle kończą podobne wydarzenia – elegancko podanej, skromnej, z banalnie standardową listą win: Champagne, Bourgoigne, Bordeaux. Rzecz jasna, jak to zawsze tutaj, wszyscy płacili prywatnie, podobnie jak za bilety na udział w debacie. Wcale nie mało, ale studenci mieli znaczną zniżkę. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Marek Abramowicz

• astrofizyk, pracuje na Uniwersytecie w Göteborgu, w Centrum Kopernika PAN w Warszawie i na Uniwersytecie Śląskim w Opawie.

W artykule cytuję kilka fragmentów przygotowanej do druku przez Wydawnictwo Literackie mojej książki **„Metafizyczne przygody roztargnionego profesora”**. Dziękuję redakcji wydawnictwa za zgodę na publikację tych fragmentów już teraz. Książka ukaże się zapewne jesienią 2023 r.

PRZEZ 13 MILIARDÓW LAT NAS NIE BYŁO

Coś było gwiazdą, potem pyłem, następnie stało się tobą i mną

Z **JANEM ŚWIERKOWSKIM***
ROZMAWIA **NATALIA WALOCH**

Po co dziś badamy kosmos?

– Zaczniemy lepiej od tego, że robiliśmy to w pewnym sensie wadliwie. Technologię i naukę mają ci, którzy mają pieniądze. Gdy jako dziecko myślałaś „astronauta”, widziałas gościa w białym kombinezonie NASA, który wbija w Księżyc amerykańską flagę. I jeśli byłaś dzieciakiem w Inowrocławiu, to nie myślałaś o byciu astronautą nawet w kategorii marzenia, bo było to zbyt odległe. Kosmos był amerykański. Albo radziecki. A dziś jest Elona Muska.

Pamiętasz głośny film „Nie patrz w górę” sprzed roku? O tym, jak para naukowców odkrywa, że w Ziemię wkrótce uderzy kometa? On dobrze pokazuje, że jeśli lećmy w kosmos, to głównie po to, żeby tam coś znaleźć: jakieś złoża, możliwości ekonomiczne, coś eksploatować. Trąci Dzikim Zachodem, prawda? Lem dawno temu powiedział, że nie szukamy w kosmosie niczego nowego, lecz naszych luster. Według niego kosmos traktujemy tak, jak byśmy próbowali rozszerzyć Ziemię do jego granic, bo nie chcemy niczego więcej niż tylko rozszerzenia naszego świata. Nie chcemy poznać czegoś nowego, chcemy po prostu być więksi. Wcześniej robiliśmy to na Ziemi, przez ostatnie stulecia tak naprawdę przecież rozszerzaliśmy Europę i Amerykę do granic świata.

Ty jako astronom masz kosmos, mimo że nie masz pieniędzy, żeby polecieć rakieta na orbitę.

– W astronomii znalazłem więcej filozofii niż na studiach filozoficznych, i to takiej, która naprawdę pozwala spojrzeć na nas z dystansem. Astronomia jest niezwykła, bo pozwala poszukiwać między ludźmi połączeń nieopartych na żadnych kryteriach administracyjnych, niemających nic wspólnego z tym, że mieszkamy na jednym terenie. Kosmos dobrze ustawia wartości i stosunki między ludźmi, daje nam „kosmiczną perspektywę”: musimy znaleźć między sobą wspólny mianownik i trzymać się razem.

Nie ma co ukrywać, że nasze szanse przeżycia jako gatunku w dłuższej perspektywie są raczej małe w zderzeniu z ogromem gwiazd, czarnych dziur, zderzeń galaktyk czy nawet wielkoskalowymi efektami na Ziemi. Tym, co daje nam jakąś szansę, jest nauka. Tylko rozwijając pozazmysłowe narzędzia rozumienia świata, możemy jakoś sobie poradzić.

Co przez to rozumiesz?

– Cała nasza historia bierze się z poznania zmysłowego: ludzie coś widzieli, zapamiętywali to i potem to zapisywało się w kulturze. Aż sto lat temu w nauce dokonał się wielki przewrót zapoczątkowany przez pierwszych fizyków kwantowych, którzy oznajmili nam, że świat nie jest taki, jak mówią nam

zmysły, nie ma nic wspólnego z logiką, jaką latami wykształciliśmy. Współczesna nauka polega w dużej mierze na wyrabianiu sobie wyobrażeń na temat mikroświata cząstek elementarnych, który jest kompletnie inny od newtonowskiego świata, w którym przywykliśmy żyć.

Na Expo w Dubaju zrobiłeś instalację, która miała pokazywać przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. W odniesieniu do przeszłości piszesz o przednowoczesnym wyobrażeniu harmonii między człowiekiem a przyrodą. Dziś ta harmonia brzmi dość archaicznie, zważywszy, ile popsuiliśmy.

– Zwróć uwagę, że sformułowanie o harmonii między człowiekiem a naturą stwierdza, że człowiek nie jest naturą. Podobnie mówimy przecież o kosmosie, który jest „tam”, a my jesteśmy „tutaj”. Zauważ, że tworzymy rezerwaty przyrody tutaj, na Ziemi, chronimy jeziora czy puszcze, a słyszałaś, żebyśmy tak traktowali Księżyc, być może najbardziej niezwykły i wart ochrony „rezerwat”? Nie, chcemy tam po prostu zrobić stację benzynową.

Lema zapytano kiedyś, czy chciałby polecieć w kosmos. Odparkł: „Przecież jestem w kosmosie”.

– Otóż to. Postrzegamy ludzkość i Ziemię jako coś odrębnego. Lubię mówić, że szukam kosmosu w sobie, i to nie w tym oczywistym filozoficznym czy pseudonaukowym newage’owym sensie, że każdy człowiek jest mikrokosmosem. Chodzi mi o nasze kosmiczne pochodzenie, o to, że ciężkie pierwiastki, które mamy w ciele, np. żelazo, są produktami gwiazd: coś było gwiazdą, potem pyłem, następnie stało się tobą i mną. I tu znów przywołam Lema, który w jednym z opowiadań pisał o cywilizacji, która nie mogła przestać się śmiać, kiedy usłyszała o ziemskich wierzeniach religijnych skupionych na oplakiwaniu zmarłych i smutku po tak zwanej przedniej śmierci, a nie na oplakiwaniu tylnej śmierci, czyli tego czasu, kiedy byliśmy martwi przed swoimi rodzinami.

Filozofia mówi też o tym, że to wielkie nic po twojej śmierci jest takie samo jak nic przed twoimi narodzinami, więc nie ma się czego bać.

– Z szerszej perspektywy nasze życie jest czymś „nienaturalnym”, przecież przez większość czasu z tych 13 miliardów lat z groszami trwania wszechświata ludzkość nie istniała. Ten moment, kiedy żyjemy, to ledwie błysk, chociaż bardzo ciekawy, przeciwstawiający się na tę krótką chwilę działaniu entropii. Filozofię w wielu przypadkach należałoby przepisać od nowa, uwzględniając to, co fizycy, kosmologowie i astronomowie ustalili w ostatnich stu latach.

Wróćmy do pozazmysłowego rozumienia świata, w którym żyjemy.

– W ekspozycji na Expo umieściliśmy m.in. Mikołaja Kopernika, bo on jest świetnym przykładem, jak trudno przebić się przez wyobraźnię ludzi i swoją własną, a co za tym idzie – paradygmaty naukowe i kulturowe. Wszystko dookoła mówi ci, że jest tak i tak, a na kartce papieru w obliczeniach wychodzi ci inaczej. Jednocześnie powstaje społeczny opór przed zmianą, który opisywał Kuhn w „Strukturze rewolucji naukowych”. Współcześni naukowcy wciąż pokonują takie bariery, ciągle pojawia się konieczność reinterpretacji rzeczywistości, budowania nowych wyobrażeń. Ale nasze mózgi nie lubią zmiany, są nawykłe do pewnych przekonań, które wyrabiamy sobie latami. A żeby zrozumieć świat, kosmos, naukę, często trzeba zrobić nawet nie update systemu, ale po prostu całkiem zmienić oprogramowanie.

Żeby na przykład uniknąć katastrofy klimatycznej?

– Ona jest fenomenalnym przykładem na to, jak nasz mózg nie radzi sobie z zagadnieniami naukowymi, jeśli dotyczą innej skali niż nasza, w tym przypadku większego odcinka czasu. Nasz sposób widzenia świata jest bardzo newtonowski: jeśli dotknę mocniej talerza, to on się przesunie, więc nie radzimy sobie ze zjawiskami, które nie przynoszą natychmiastowego efektu.

Łatwiej byłoby nam zareagować na informację, że za rok uderzy w nas kometa, niż że za 30 lat nie będzie wody?

– Zbывamy takie informacje, mówiąc, że to nas nie dotyczy, a w ogóle to nie wiadomo przecież, jak to będzie. I to jest naturalne, tak działa nasz mózg. Jaskiniowcy nie



FOT. JANSWIERKOWSKI/DOMENA PUBLICZNA

*Jan Świerkowski

• kurator, astronom, futurolog i artysta. Założyciel i dyrektor artystyczny międzynarodowego kolektywu art & science Instytut B61, którego projekty miały premierę na takich imprezach jak Europejska Stolica Kultury Wrocław 2016, Dubai Expo 2020, Berlin Science Week 2022 czy Europejska Stolica Nauki Lejda 2022. Kurator i scenarzysta ufundowanego grantem Komisji Europejskiej projektu artystyczno-naukowego Cosmic Underground, kurator wystawy „Understanding Universe” w polskim pawilonie na Dubai Expo 2020

myśleli, co będzie za 30 lat, nie mamy wielkich zdolności postrzegania i rozumienia dużych odcinków czasu. Jak mówimy „miliardy miliardów lat”, to z tego robi się wiersz, a nie konkret.

Chwila, chwila, ale jednak większość osób myje zęby po to, żeby nie być szczerbatymi za 30 lat. Zatem coś tam jednak do nas trafia.

– Dzieci nie myją. Musisz je nauczyć, bo nie rozumieją, że to nawyk, który pociąga za sobą konkretny efekt. A jeśli chodzi o katastrofę klimatyczną, nie mamy kogo naśladować, więc mówimy: „Naukowcy przecież są rozumni, coś wymyślą”. Jak jesteś dzieckiem, to rodzice ci mówią, co robić, i ty za tym idziesz. Dziś w ważnych sprawach mówią do nas naukowcy, tylko że my im na to odpowiadamy: „I co z tego? Mam inne informacje”.

Nie chodzi o to, że naukowcy mają mieć moc nakazywania nam czegośkolwiek, niechym w technokracji, ale dobrze by było, gdybyśmy ich czasem słuchali, bo w pewnych sprawach po prostu wiedzą lepiej.

Pandemia pokazała, jak olbrzymi jest kryzys zaufania do naukowców.

– Uważam, że nie ma kryzysu, bo my dopiero zaczynamy kształtować komunikację między naukowcami a resztą świata w dobie powszechnego dostępu do wiedzy. W czasach przed internetem komunikowanie nie było takie proste, więc zachowywały się głównie informacje eksperckie, a nie to, co ludzie między sobą mówili, ale tak naprawdę zabobon i pseudonauka miały się świetnie. Z nastaniem nowych technologii okazało się, że nie mamy żadnych mechanizmów obronnych, które ochroniłyby społeczeństwa przed dezinformacją.

Dużo mówimy o tym, jak dzisiejsze technologie niszczą więzi międzyludzkie, podsycają polaryzację i stanowią pożywkę dla fake newsów. Masz przykłady na to, że postęp technologiczny może mieć pozytywny wpływ na ludzką mentalność?

– Dobrym przykładem jest Overview Effect obserwowany u osób, które zobaczyły Ziemię z kosmosu. Astronauci, którzy po raz pierwszy widzą glob jako całość, doznają zmiany kognitywnej. W szkole uczymy się widzieć Ziemię jako terytorium podzielone na kraje: tu Rosja, tam Stany Zjednoczone, a tam Francja, każdy ma swój kawalek. Mało tego, przecież tak właśnie, od liniiki, podzieliiliśmy Afrykę! Z kosmosu widać, że to jedność, bez czerwonych, żółtych i niebieskich państw.

Tylko to dotyczy garstki wybrańców. Mogą potem o tym wzruszająco opowiadać w wywiadach, ale 99 procent ludzi tego nie doświadczy.

– Ale zauważ, że wszyscy, którzy żyli podczas pierwszego lotu na Księżyc, do dziś pamiętają, gdzie wtedy byli i co robili. I że

pierwsze loty w kosmos oraz pierwsze zdjęcia Ziemi z orbity zbiegają się w czasie z powstaniem wielu organizacji ekologicznych na rzecz planety, zasobów wody, ochrony przyrody. Dlaczego dziś nie łapiemy zmian klimatycznych? Bo brak nam całościowego oglądu.

Powoli coś zaczyna do nas docierać. Jeśli w styczniu w Polsce może być śnieżycą z piorunami, której nigdy wcześniej nie widzieliśmy, to jednak lampka się zapala. – Właśnie o tym mówię: póki czegoś sami nie zaobserwujemy, trudno nam to pojąć. To właśnie zmysłowe, newtonowskie rozumienie świata. Na razie rozumiemy tyle, że coś się dzieje, bo zimą nie ma śniegu albo jest bardzo krótko, ale to nie znaczy, że zdajemy sobie sprawę z powagi sytuacji, w jakiej jesteśmy jako Ziemianie.

I dlatego pytam cię, co robić, żeby świat zaczął słuchać naukowców. Przez ponad dwa lata pandemii wszyscy widzieliśmy, jak umierają ludzie, a jednak i tak rozlała się fala teorii spiskowych, np. że COVID to sposób Billa Gatesa na depopulację ludzkości.

czyżi całkiem demokratycznie w tym sensie, że wszystkie opinie uznajemy za równorzędne.

To jak się uporać z tą sprzecznością?

– Od blisko 10 lat mieszkam w Portugalii, w której prawie 90 proc. społeczeństwa się zaszczepiło. W pandemii w portugalskiej telewizji obok lekarzy występował etyk, który tłumaczył ludziom,

snej edukacji, która pozwalałaby nam rozmawiać od samego początku w sposób obejmujący interes planety, a nie tylko narodo-
wy, i potrzebujemy sposobów na eliminowanie pseudonauki z życia codziennego.

Kwestionowanie zmian klimatycznych jest dziś równie niebezpieczne dla

ludzkości jak wybuch III wojny światowej.

A jeśli mówimy o naukowcach jako jednost-

kich, że trzeba rezygnować z różnych wygodnych rzeczy: latania samolotem, intensywnego ogrzewania, nieograniczonego używania urządzeń elektrycznych, kupowania ciuchów czy jedzenia mięsa?

Chodzi ci o nieprzystępny dla laika żargon naukowy czy o coś szerszego?

– O cały sposób myślenia, system metafor, skojarzeń, które nie wywodzą się ze świata newtonowskiego. Z tej różnicy języków, a właściwie systemów kognitywnych, zdałem sobie sprawę na studiach astronomicznych. Jak już złapałem tę fascynację kosmosem, bardzo chciałem się tym dzielić z mamą i tatą. I to jest moment, gdy robisz się bardzo samotna, bo badasz ten kosmos, zaczynasz łapać, że pewne rzeczy wyglądają inaczej, niż się potocznie uważa, ale wracasz do domu, mówisz tę fantastyczną rzecz z wykładu o ewolucji gwiazd mamie i widzisz, że na niej to nie robi żadnego wrażenia, choć oczekiwałaś, że to wywróci jej życie do góry nogami. Dlatego zacząłem szukać innych form wyrazu oraz pracować nad tym, żeby naukę ogarniać nie tylko rozumowo, ale też czuć ją przez skórę, za pomocą zmysłów.

Może to niemożliwe, bo nauka jest stokroć trudniejsza niż sto lat temu?

– Dzisiejsza nauka nie jest w oczywisty sposób przyczynowo-skutkowa. Światło przez szmat czasu było dla nas jak linia, która się odbija po prostu pod pewnym kątem od ściany. To było do ogarnięcia. Dziś światło jest zarówno falą, jak i materią – ale co to znaczy? Zobacz, nie mamy żadnego aparatu, żeby wyobrazić sobie tak podstawową rzecz w naszym życiu jak światło! Fizycy kwantowi nie mają odpowiedniego języka, żeby nam to w prosty sposób objaśnić. A kto nie chciałby wiedzieć, czym jest światło? Jeśli więc chcemy podejmować decyzje dotyczące całych społeczeństw oraz ludzkości demokratycznie, a jednocześnie mądrze, to jakoś trzeba się porozumieć w tych podstawowych sprawach.

Dlaczego do objaśniania nauki nadaje się sztuka?

– Artyści mają tendencję do bawienia się, twórczego przerabiania, poszukiwania nowych ścieżek, które często nie są w oczywisty sposób użytkowe. Nie możemy całego świata zamienić w dobrze zaprojektowany produkt, poddać wszystkiego ocenie konsumenckiej i user experience. Próbowaliśmy już tak budować miasta: pojawiły się samochody, więc zbudowaliśmy drogi i skończyliśmy w miastach pełnych betonu. A kto ma się zajmować stroną etyczną, np. modyfikacji genetycznych? Oczywiście filozofowie i etycy, ale dlaczego nie artyści? Instalacje, happeningi, prowokacje, performance'y, spektakle immersyjne to idealne środki do mówienia o nauce.

Spektakl immersyjny, czyli?

– Spektakl, który nie odbywa się w teatrze, nie ma klarownego podziału, że tu są aktorzy, a tu publiczność, nawet ram spektaklu nie ma. Przyjeżdża po ciebie autobus i dokądś wiezie, a ty nie wiesz, czy spektakl już się zaczął, czy ta osoba, która sprawdza bilet, to bileter, czy aktor. Dzięki spektaklom immersyjnym ludzie mogą wejść w świat wyobraźni naukowej, nowej logiki, którą od stu lat odkrywamy dzięki fizyce kwantowej i która mówi nam, że świat wygląda

Tworzymy
rezerwaty przyrody
tutaj, na Ziemi,
chronimy jeziora
czy puszcze,
a co z Księżycem,
być może najbardziej
niezwykłym
„rezerwatem”?
Chcemy tam po prostu
zrobić stację benzynową

– To, jak zachowywali się ludzie, zależało w dużej mierze od tego, jak reagowało państwo, czy dawało obywatelom pewność, że to, co robi, ma sens. Obserwowałem, co się działo w Polsce, i byłem dumny z tego, jak na początku zdyscyplinowani byli Polacy. Ale kiedy pojawia się zakaz wchodzenia do lasu, ludzie pukają się w czoło. To świetnie pokazuje złą drogę komunikowania się z ludźmi, braku szacunku dla inteligencji jednostki. Ludzie chcą wiedzieć, chcą rozumieć. Dlatego nie można mówić: „Teraz będzie tak i kropka”.

A z drugiej strony oczywiście nie może być tak, że gdy przychodzi do stanowienia prawa, równorzędne z naukowymi są pseudonaukowe poglądy. Gdy chodzi o zdrowie i życie, nie możemy podejmować de-

dlaczego pewne wybory – choćby noszenie maseczki – są dobre. W ten sposób uczono społeczeństwo, że jesteśmy kolektywem, że starsze osoby są częścią tej wspólnoty i należy je chronić. Problemem polskiego społeczeństwa jest to, że nie czujemy się kolektywem, nie rozumiemy, że jesteśmy od siebie nawzajem zależni.

Mamy teraz wysyp różnych teorii spiskowych, od płaskiej Ziemi, przez antyszczipionkowców, po denialistów kryzysu klimatycznego. Co świat naukowy może zrobić, żeby to powstrzymać?

– Świat naukowy bez narzędzi, które powinno dać mu silne państwo, w naszym przypadku też Unia Europejska, tak naprawdę niewiele może. Potrzebujemy nowocze-

nych, to kluczowe jest to, żeby informowanie o nauce było ciekawsze, i to jest przedmiotem mojego doktoratu.

Z astronomii?

– Z kulturoznawstwa, a konkretnie z art and science. W skrócie, jestem ekspertem od tego, jak na podstawie naukowego poznania świata można budować sztukę i jak przez sztukę komunikować naukę.

Największym problemem, który stoi na drodze dialogu naukowców ze społeczeństwem, jest to, że mówimy różnymi językami. Jeśli naukowcy to kilka procent społeczeństwa i w dodatku nie mówią tym samym językiem co społeczeństwo, to jak mają przekonać ludzi do swoich idei i pomysłów? W tym tych niepopularnych, czyli ta-



FOT. SHUTTERSTOCK

inaczej, niż widzimy, że jak dwie rzeczy się zderzą, to niekoniecznie się od siebie odbijają, być może się zlepią i powstanie coś zupełnie nowego.

W twoich spektaklach z cyklu Instytut B61 o chemii, fizyce, astronomii i biologii mówili, grali i śpiewali świetni artyści.
– To prawda, od zawsze jest z nami Tomasz Organek, w spektaklach brali udział m.in. Stanisław Tym, L.U.C., Fisz/Emade, Kasia Groniec, Michał Urbaniak, Tomasz Stańko... Instytut B61 to jednak głównie inicjatywa oparta na współpracy osób wywodzących się z Torunia. Od samego początku współtworzą go Stefan Kornacki, Dominik Smużny i Mariusz Lubomski. A także duże grono przyjaciół – artystów, naukowców, aktorów i menedżerów kultury.

Od dłuższego już czasu nasze działania są jednak głównie międzynarodowe. Blisko 10 lat temu przemierzaliśmy Europę z Tallina do Lizbony w specjalnym pociągu towarowym Cosmic Underground, w którym zbudowaliśmy spektakl immersyjny o teorii względności. W 2017 r. byliśmy w Indiach, gdzie tworzyliśmy z lokalnymi artystami widowisko „Ewolucja gwiazd”, w 2019 r. ten sam projekt pokazywaliśmy na Azorach. Dopiero co wróciliśmy z Armenii, gdzie w podziemiach Opery Narodowej stworzyliśmy tajne laboratorium artystyczno-nauko-

li Ziemi i ludzkości PR-ową akcją „Jesteśmy wspaniali”. Nie zamierzaliśmy informować, że lubimy walczyć, niszczyć, nie wrzuciliśmy tam zdjęć pokazujących Holocaust, nie pokazaliśmy setek lat niewolnictwa, czyli w sumie nie wyposażyliśmy tej hipotetycznej cywilizacji w rzetelny, „naukowy” materiał, na podstawie którego mogłaby podjąć decyzję, czy w ogóle warto się z nami kontaktować.

Przylatuje UFO, ląduje w Auschwitz i już wiadomo, że nasza wiadomość to był profil na Tinderze.

– Otóż to, dlatego z Tomkiem Organkiem i Kamilem Paterem postanowiliśmy stworzyć coś, co byłoby bardziej prawdziwe. Co wysłalibyśmy w kosmos, gdybyśmy mieli taką możliwość?

Informacje o Hiroszynie, Wielkim Głodzie w Ukrainie i kolonializmie?

– A czemu nie? Przecież to część naszej historii, jakaś nauczka, tak jak ta część, która pokazuje naszą dobrą stronę. Doszliśmy do przekonania, że gdybyśmy chcieli w pełni przedstawić kulturę ludzkości, trzeba by nagrać dziesiątki płyt, żeby każdy miał głos. Ale i tak byłby problem, kto ma decydować, co w ogóle się na tych dyskach znajdzie. Czy znów zespół białych naukowców miałby zdecydować, że oto kraje rozwijające się

Sonda Voyager zaniósła w kosmos muzykę różnych kultur, pozdrowienia w 55 językach, diagramy naukowe, krajobrazy, architekturę, ale nie zdjęcia z Holocaustu, czyli nie wyposażyliśmy hipotetycznej obcej cywilizacji w rzetelny materiał do podjęcia decyzji, czy w ogóle warto się z nami kontaktować

we, podczas festiwalu Starmus, którego dyrektorem artystycznym jest Brian May, legendarny gitarzysta Queen, a udział wzięło kilkunastu noblistów.

Po tych wszystkich doświadczeniach wiem, że mówienie o nauce musi odpalić u odbiorcy wyobraźnię, obrazy. Nie wystarczy pokazać ludziom filmy o gorącym, suchym kraju w Afryce, żeby zrozumieli istotę katastrofy klimatycznej.

Kiedy o tym mówisz, wraca do mnie David Bowie i jego słynna „Space Oddity”. Ta piosenka wyraźniej niż cokolwiek innego uzmysłowiła mi samotność astronauty w stacji kosmicznej.

– Właśnie! Film dokumentalny, artykuł mogą być bardzo ciekawe, ale nie reagujesz na nie emocjonalnie, a jeśli chcemy, żeby ludzie zrozumieli naukę, potrzebujemy ich uczuciowego zaangażowania. Rozumne, logiczne decyzje to tylko część tego, co my, ludzie, robimy. Oprócz tego chcemy też przecież przeżywać, kochać, chcemy przegód. Nie po to żyjemy, żeby przeżyć algorytm, prawda?

Nie każdy musi dokładnie rozumieć, jak działa szczepionka, żeby przekonać ludzi do szczepień. Wystarczy, że ludzie będą mieli wobec tego odpowiednie emocje, że pokażemy im szczepionkę w szerszym kontekście. Nie wszyscy będą zrozumieli naukę, ale to nie znaczy, że muszą być przeciw niej.

Opowiedz o performansie na Expo, do którego zainspirowały cię płyty wystrzelone w kosmos.

– Kilkadziesiąt lat temu słynną sondą Voyager w kosmos wysłano tzw. złote płyty – dyski, na których nagrano opowieść o ludzkości: nagrano odgłosy zwierząt, muzykę z różnych kultur i epok, pozdrowienia w 55 językach, diagramy naukowe i różne obrazy ludzkiej codzienności: prozaiczne czynności, krajobrazy, architekturę. Zafrapowało mnie, że wysłaliśmy do jakiejś potencjalnej obcej cywilizacji tylko informację, która była w całości dobra, jakbyśmy zrobi-

mają 10 minut na płycie, więc niech nagrają pozdrowienia i trochę swojej muzyki?

Oczywiście nie chodzi mi o to, że taka płyta miałaby zawierać pseudonaukowe treści, chodzi mi bardziej o wartości, etykę i systemy społeczne. Czy nawet wręcz informacje o mechanizmach, które prowadzą nas do samozniszczenia, takich jak wyścig zbrojeń albo nadmierna eksploatacja zasobów naturalnych. Nie sądzisz, że to wartościowa wiedza, przydatna komuś, kto np. miałby zacząć cywilizację od nowa, niczym nauczka z gry, którą przegraliśmy na początkowym levelu?

Ostatecznie Tomkowi i Kamilowi wyszedł świetny performance „YOU//NIVERSE”, który kręcił się wokół myśli, że jeśli ludzkość wnosi coś nowego do Wszechświata, to pewne platońskie idee: miłość, przyjaźń, nienawiść, litość. Bez ludzi nie ma miłości tak rozumianej, jak my ją rozumiemy, nie ma tak rozumianego wybaczenia czy nienawiści – i to właśnie postanowiliśmy z Tomkiem i Kamilem wysłać w kosmos, bo to te nasze filozoficzne rozważania są lokalne, ziemskie i jakoś nas definiują. Widzisz, znowu nie mieliśmy odwagi wysłać całej prawdy...

A tak poważnie, udało nam się dojść do tego performance’u dlatego, że jestem naukowcem, a Tomek i Kamil artystami. Widzę ogromną potrzebę zasypania tego oświeceniowego podziału na humanistykę i nauki ścisłe. To bzdura, która niepotrzebnie utrudnia nam komunikację w sprawach dla nas najważniejszych. Całe nasze postrzeganie świata podzielone jest na dwa systemy: ścisły i humanistyczny – jak Windows i iOS: masz w pliku superpiosenkę czy film, ale nie możesz odtworzyć, bo sterownik nie działa. Potrzebujemy wspólnego stworzenia open source’owego Linuxa, który będzie obejmował oba sposoby poznania świata. Inaczej nauka odcięta od emocji nie ma szansy się przebić. ●

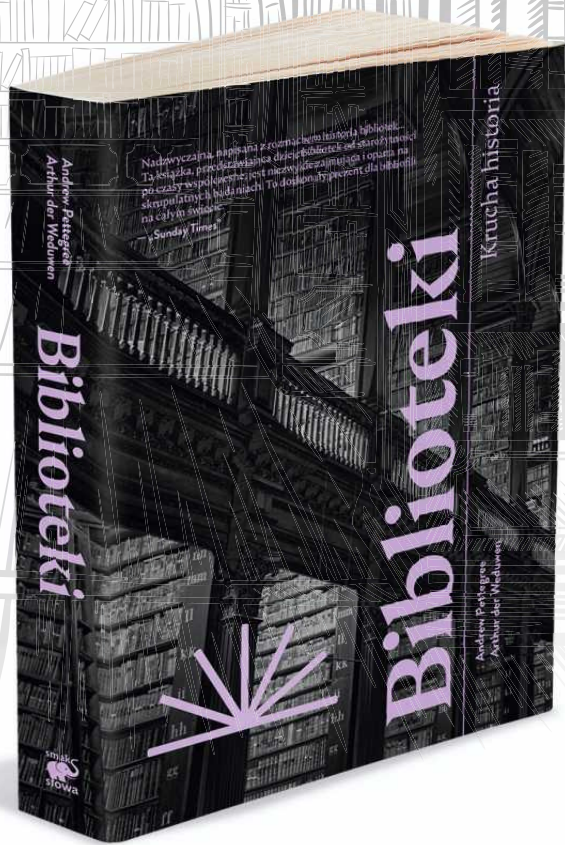
Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl na 3 dni (24-26.12)*

2.

Fragmentu książki „Biblioteki. Krucha historia” Andrew Pettegree’a i Arthura der Weduwena



Znane na całym świecie, zazdrośnie strzeżone przez prywatnych kolekcjonerów, budowane przez stulecia i niszczone w jeden dzień – historia bibliotek jest bogata, różnorodna i obfitująca w nieoczekiwane zdarzenia. Publikacja ta jest obowiązkową lekturą dla miłośników książek, kolekcjonerów i wszystkich tych, którzy choć raz z rozkoszą zagubili się między regałami.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Biblioteki. Krucha historia” Andrew Pettegree’a i Arthura der Weduwena oraz treści Wyborcza.pl na 3 dni (24-26.12):

APAW22

Aby skorzystać z kodu:

- ① Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- ② Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- ③ Podaj adres e-mail, na który przysyłamy dostęp
- ④ Aktywuj dostęp w dniach 24-26.12
- ⑤ Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

KOCHAMY ZAPACH NAPALMU O PORANKU

86 procent ludzi w skali globu określa siebie jako „raczej szczęśliwych” lub „bardzo szczęśliwych”

Z PAULEM BLOOMEM*
ROZMAWIA KASPER
KALINOWSKI

Naprawdę każdy z nas lubi jakiś rodzaj doświadczenia, które wiąże się z cierpieniem, a nam sprawia przyjemność?

– W książce „Złoty środek” zastosowałem szeroką definicję cierpienia – używam słowa „cierpienie” w odniesieniu do doświadczeń, co do których można by się spodziewać, że będziemy ich unikać – choć nie mam nic przeciwko, jeśli ludzie używają tego słowa w bardziej sprecyzowany sposób.

Sprecyzowany, czyli jako coś nie tylko nieprzyjemnego, ale też bolesnego w szerokim znaczeniu lub wręcz nie do zniesienia. Więc jak cierpienie może być źródłem przyjemności?

– Spójrzmy na ból. Jedną z odpowiedzi jest związana z kontrastem między dwoma stanami. Ból może sprawić, że doświadczenie, które następuje po nim, będzie po prostu lepsze. Z tego powodu jemy pikantne potrawy czy zanurzamy się w bardzo gorącej wodzie. Pojawia się ból, ale potem następuje ulga – po papryczce chili pijesz piwo, wyskakujesz z ukropu na ziąb i wycierasz się miękkim ręcznikiem – i ta ulga przekształca się w doświadczenie przyjemności.

Z tego samego powodu struktura fikcyjnych historii – dramatów jest taka, a nie inna: najpierw jest zło, a potem sytuacja staje się dobra. Pojawia się przeszkoda, ale razem z bohaterem ją pokonujemy i to wspaniałe uczucie. Bez trudów nie ma przyjemności – całe doświadczenie staje się nudne.

Na początku zafrapowały mnie paradoksalne przyjemności, jakich doświadczamy, kiedy odbywamy długi bieg, rozwiązujemy krzyżówki, oglądamy straszne filmy i ro-

bimy inne rzeczy, które wymagają pracy, wysiłku, walki i odrobiny bólu. Zdałem sobie jednak sprawę, że są rodzaje cierpienia, które nie pasują do tego paradygmatu: podejmowanie trudnej pracy, związki, długoterminowe przedsięwzięcia, które wymagają natrudzenia się, a efekt jest mocno odroczone lub niepewny. Robimy te rzeczy dobrowolnie, choć są męczące, nie dają przyjemności w prostym sensie. I zdałem sobie sprawę, że w cierpieniu nie chodzi wyłącznie o przyjemność; ono stanowi część sensownego i pełnego życia.

Jeśli miałbym dać ci jeden moral, to taki, że jesteśmy pluralistami motywacyjnymi. Nie chcemy wyłącznie jednej rzeczy. Chcemy być szczęśliwi, ale chcemy również przestrzegania moralności, nadawania znaczenia, chcemy różnorodności i transcendencji. A cierpienie jest częścią sposobu, w jaki je osiągamy.

Filozof Robert Nozick zaproponował hipotetyczną maszynę, która symulowałaby w naszych mózgach w pełni przyjemne życie. Ty byś się do niej podłączył?

– Nie.

Nozick zaproponował ją, żeby pokazać, na czym polega człowieczeństwo. On sam mówi, że nie podłączyłby się do maszyny. Chcemy żyć w prawdziwym świecie; podejmować działania, a nie tylko mieć doświadczenie robienia pewnych rzeczy. Nie chcemy myśleć, że weszliśmy na Mount Everest: chcemy wejść na Mount Everest. Nie chcemy myśleć, że ludzie nas kochają: chcemy, żeby ludzie nas kochali. Doświadczenia zyskują wartość tylko dlatego, że odzwierciedlają rzeczywistość.

Dobrym przykładem są dzieci. Ich posiadanie obniża szczęście, a mimo to zwykle nie żałujemy.

– To pytanie, które filozofia stawia sobie od dawna. Kognitywistka Laurie Paul we wspaniałym artykule „Czego nie możesz się spodziewać, gdy jesteś w ciąży” (What You Can't Expect When You Are Expecting) podsumowuje, że nie jest jasne, czy nauki społeczne – pomijając motyw nieuświadomione, czysto biologiczne – są w ogóle w stanie odpowiedzieć na pytanie, czy posiadanie dziecka jest dobrym pomysłem czy

nie. Oczywiście jako zwierzę przekazujesz geny, ale jako istota myśląca, mająca potrzeby wyższego rzędu niż tylko genetyczne przetrwanie, decydując się na dzieci, podejmujesz trudną decyzję, o czym mówią i zdrowy rozsądek, i dane empiryczne. Posiadanie dzieci, zwłaszcza małych, jest trudnym doświadczeniem. Zabiera ci sen, nasila konflikty małżeńskie, jest męczące, kosztowne i tak dalej.

Ale mimo tych niedogodności ludzie zazwyczaj uważają, że posiadanie dzieci jest bardzo satysfakcjonujące. Gdybyś poprosił mnie o określenie, kim jestem, w jakimś momencie mojego życia mógłbym powiedzieć, że mężczyzną, w innym, że profesorem. Ale moje dzieci mają teraz po 20 lat i odkład się urodziły, odpowiadam, że jestem ojcem. Posiadanie dzieci jest najważniejszą rzeczą w moim życiu i nie odczuwam ani odrobiny żalu. Jednak niekoniecznie mam na myśli to, że jako rodzic doświadczyłem więcej radości, niż gdybym pozostał singlem. Kto wie? Mam na myśli coś innego – nie radość z dobrej zabawy, ale to, że one nadały mojemu życiu sens i cel.

Mam wrażenie, że omijamy oczywiste pytanie: a co z cierpieniem, którego nie wybraliśmy? Chorobą, stratą kogoś bliskiego?

– Zgoda, że większość cierpień, których nie wybraliśmy, jest zła. Lepiej, żebyś nie zachorował na raka, żeby twoje dziecko nie umarło, żebyś nie poszedł do więzienia.

Te cierpienia życie rozdziela losowo. Ale innych z tej kategorii – jak zostanie ofiarą wojny, napaści – mamy sporą szansę unik-

nąć. Steven Pinker podkreśla, że żyjemy w najbezpieczniejszych czasach w historii.

– W książce „Nowe oświecenie. Argumenty za rozumem, nauką, humanizmem i postępem” Pinker zebrął bogaty zbiór danych, które pokazują, jak świat staje się lepszym miejscem. Aby sięgnąć tylko po kilka przykładów z setek: można zaobserwować wzrost średniej długości życia, spadek śmiertelności dzieci, wzrost dostępności żywności, umiejętności czytania i pisanie, edukacji, wzrost czasu wolnego. A do tego spadek ubóstwa, liczby wojen, przemocy, rasizmu, seksizmu i homofobii.

Byłoby dziwne, gdyby nie przekładało się to na nasze szczęście. Pinker zauważa, że istnieje trend w odczuwaniu szczęścia wraz z upływem lat najnowszej historii – stajemy się szczęśliwsi. W krajach, w których są dostępne dane z wielu lat i sondaży, ludzie są zwykle szczęśliwsi w tym najnowszym. A większość z obecnie żyjących określa siebie jako szczęśliwych.

Badacze z globalnego projektu World Values Survey udokumentowali, że 86 proc. ludzi określa siebie jako raczej szczęśliwych lub bardzo szczęśliwych. Kiedy eksperci różnych specjalności upierają się, że ich społeczeństwa są pełne nieszczęścia, nieświadomie ilustrują jeden z najważniejszych wniosków płynących z badań nad szczęściem, który mówi, że ludzie nie doceniają tego, jak szczęśliwi są inni ludzie – mamy tendencję do myślenia o sobie jako o szczęśliwych wyjątkach.

Większość naszego czasu pochłania zjawisko błędzenia

myślami (mind wandering). Ale wbrew przyjemnym skojarzeniom z „bujaniem w chmurach” to tam ujawnia się ciemna i lękliwa strona naszej natury. Sam niemal każdego dnia snuje jakieś czarne scenariusze.

– Również większość snów tak naprawdę ma negatywną treść. I lubimy nieprzyjemną sztukę, jak choćby przerażające filmy. Tak jakby coś nas przyciągało do tego, co negatywne, na każdy możliwy sposób. Przejawiamy coś, co psychologowie nazywają efektem negatywności. Czyli to, co brzydkie, szokujące i bolesne, nas pociąga.

Ciągnie nas do filmów czy powieści, które pokazują rzeczy, jakich nie chcielibyśmy dla siebie: rozpad związku, śmierć dziecka, zniszczenie planety, inwazję wroga. Nie chcę niczego takiego doświadczyć, ale coś mnie do nich przyciąga. Jednym z powodów – oczywiście nieświadomym – jest to, że fikcyjne zło rzeczy są dla umysłu czymś dobrym, bo to pomaga nam się przygotować na gorsze scenariusze.

Podobnie jest z wyobrażaniem sobie, wręcz szukaniem negatywnych scenariuszy rozwoju wydarzeń w przyszłości. Po co przenosimy naszą wyobraźnię w mroczne miejsca, skoro przeżywamy wtedy stres, jest nam nieprzyjemnie, można powiedzieć, że cierpimy? Paradoksalnie można to postrzegać jako formę zabawy. Przywykliśmy myśleć o zabawie jako o opartym na współpracy, przyjaznym oraz wesołym zajęciu, ale wiele z zabaw to przecież walka i agresja. Jak to możliwe? Jedno z wyjaśnień brzmi: zabawa jest sposobem na ćwiczenie w bezpiecznych warunkach trudnych umiejętności przydatnych w złych czasach. ●



FOT. GREG MARTIN

*Paul Bloom

• profesor psychologii i kognitywistyki na Yale. Współpracował ze „Science” i „Nature”

„Złoty środek. O przyjemnościach cierpienia i poszukiwaniu sensu”, Paul Bloom, przeł. Tadeusz Chawziuk, wyd. Copernicus Center Press



Nowy serwis



żyć lepiej
psychologia codziennie

Czytaj na:
wysokieobcasy.pl/zyclepiej



ZAPACH TRUPA PRZY OBIEDZIE

Nadal mam poczucie, że w byciu korespondentem wojennym jest coś fundamentalnie, moralnie niewłaściwego

Po tym, jak Rosja napadła na Ukrainę, zawód korespondenta wojennego przeżył renesans. Ludzie pracujący w strefie konfliktu, w strefie wojny, stali się znowu nie tylko potrzebni w każdej redakcji, ale też rozpoznawalni. Nadal nie zmieniło się to, że giną, jak ginęli w pozornie lepszych czasach, na mniej obchodzących świat wojnach. W tym roku śmierć poniosło 67 dziennikarzy, w tym 12 w Ukrainie. Dlatego postanowiłem porozmawiać z najlepszymi z najlepszych w tym zawodzie.

Z **JAGODĄ GRONDECKĄ**,
MILADĄ JĘDRYSIK,
KONSTANTYMBERTEM
I **MATEUSZEM LACHOWSKIM**
W KLUBIE „WYBORCZEJ”
ROZMAWIA **BARTOSZ T. WIELIŃSKI**

BARTOSZ T. WIELIŃSKI: Przypadek? Świadomy wybór? Jak to się stało, że pierwszy raz pojechaliście na wojnę?
KONSTANTY GEBERT: Ja nie planowałem być korespondentem wojennym, ale tak się złożyło, że Tadeusz Mazowiecki został mianowany specjalnym sprawozdawcą do spraw praw człowieka w byłej Jugosławii. I Helena Łuczywo [współzałożycielka „Wyborczej”, zastępczyni Adama Michnika] załatwiła, żebym mu towarzyszył. Siedziałem na obozie letnim z dziećmi, kiedy zadzwoniła: jutro wylatujesz do Zagrzebia, a dalej do Sarajewa.

I pamiętam, jak w Sarajewie z lotniska jechaliśmy do hotelu i nagle ludzie zaczęli uciekać. Ja na luziku pytam naszego kierowcę: „A co się dzieje?”. „No jak to: strzelają”. Pomyślałem: „Fatalnie, że do tych ludzi strzelają, jakie szczęście, że do nas nikt nie będzie strzelał, przecież to nie jest nasza historia”.

Ty jesteś tutaj na wycieczce.

K.G.: I bardzo szybko się odczyłem tego bycia na wycieczce. Nauczyłem się wstydić i to jest ta emocja, która mi najbardziej z rozmaitych wojennych wyjazdów została. Takie poczucie upokarzającej, hańbiącej bezsilności, a zarazem uprzywilejowania, bo ja w każdej chwili mogę stąd wyjechać. A w takim Sarajewie było ćwierć miliona ludzi, którzy wszyscy chcieli wyjechać, tyle że nie mogli. I nadal mam takie poczucie, że jest w tym coś fundamentalnie, moralnie niewłaściwego. I że trzeba zrobić wszystko, żeby jakoś ten przywilej usprawiedliwić.

MILADA JĘDRYSIK: Ja byłem supportem Kostka w dziale zagranicznym „Wyborczej”, on pojechał jako korespondent niewojenny do Sarajewa, a ja musiałam pisać te straszne notki, że Chorwaci tu, Bośniacy tu, a Serbowie tu, a tamci tu, nikt tego nie rozumiał. Sama zaczęłam rozumieć po dłuższym czasie. A potem samo wyszło, że jak Kostek nie mógł, to ja gdzieś jeździłam.

Po 11 września wysłali mnie do Nowego Jorku, próbowałam dostać się w okolice Ground Zero i jakiś chłopak pyta: „Have you ever been on war zone?”, a ponieważ tam był hałas, wozy strażackie, dzwigi, usłyszałam „Warsaw”. „No jasne, ja tam mieszkam”. Spojrzałam z takim podziwem...

JAGODA GRONDECKA: U mnie wyszło przypadkiem. Studiowałam iraniastykę, a afganologia jest gałęzią iraniastyki i w 2019 r. postanowiłam, że chciałabym pojechać do Afganistanu, bo ta wojna trwa już prawie dwie dekady i prawie się już o niej nie mówi. Jechałam przekonana, że wiem mniej więcej, o co chodzi, a na miejscu odkryłam, że w ogóle tego nie rozumiem. Postanowiłam więc przeprowadzić się do Kabulu.

Tyle że nie do końca identyfikuję się jako korespondentka wojenna, bo zdarzyło mi się być jedynie w pobliżu frontu. Mnie bardziej interesuje ten moment, kiedy kończy się wojna i dawni oprawcy muszą żyć pośród swoich ofiar i na odwrót, i jak się wtedy układają te stosunki społeczne.

MATEUSZ LACHOWSKI: Na Ukrainę pojechałem trzy lata temu zrobić film dokumentalny. A wzięło mi się stąd, że gdy studiowałem prawo na UJ, miałem kolegę, który w 2014 r. z jakiegoś powodu stwierdził, że jedzie na Ukrainę walczyć, i po paru miesiącach dowiedzieliśmy się, że zginął. To nie był jakiś mój przyjaciel ani nawet kumpel, kilka razy uściśnałem mu dłoń i grupowo poszliśmy na piwo. Ale zastanawiało mnie, co jest takiego wielkiego i ważnego w tej idei Ukrainy, skoro człowiek jest gotowy pojechać i zginąć.

Czego trzeba się odczyć, co przeszkadza, gdy trafia się ze spokojnego kraju gdzieś, gdzie cierpią, giną ludzie?

K.G.: Wszystko przeszkadza i do niczego nie można przywyknąć. Bardzo liczyłem, że jak mówili starsi, doświadczeni koledzy, w końcu się przywyka do zabijania. No może ktoś przywyka, ja nie przywykłem.

A czego nie wolno? Na pewno nie wolno się zajmować samym sobą. To prawie niemożliwe, bo się żyje w ciągłym strachu, ale jeśli zajmujesz się sobą, stajesz się całkowicie nieprzydatny, bo nie jesteś w stanie robić tego, po co przyjechałeś, czyli opowiadać rzeczowo i kompetentnie.

M.J.: Ja odczyłam się empatyzowania. Bo kiedy empatyzujesz, to wczuwasz się w tych ludzi, w ich dramat, wtedy zaczynasz płakać z nimi, współod-

czuwać – a to fałsz, bo przecież możesz w każdej chwili wyjechać.

M.L.: Nauczyłem się, jak się zachowywać na froncie. Tego, że trzeba ufać intuicji i że jeżeli się czujesz bezpiecznie, to za chwilę możesz się przestać czuć bezpiecznie. To coś, co trudno zdefiniować.

I trzeba pytać. Dlaczego wszyscy jeżdżą tędy, a nie tamtędy, żeby nie wjechać na minę, dlaczego dzieciaki bawią się w chowanego tu, a nie naście metrów dalej.

W tej pracy powinniśmy pokazywać prawdę niezależnie od tego, jaka jest. Ale jak zachować obiektywizm, gdy widzisz ranne dzieci albo rozpacz po nich?

M.L.: To wielka sztuka, żeby w takiej sytuacji powstrzymać się i nie nawoływać do nienawiści. Mimo wszystko staram się nie zapominać, że po drugiej stronie też są ludzie. Rozmawiałem z jeńcem wojennym, Rosjaninem, był kryminalistą, 24 lata siedział w więzieniu. Staralem się go nie oceniać, starałem się w nim zobaczyć człowieka. Nigdy nie mówię „faszyści”, nigdy nie mówię „raszyści”. Jako dziennikarze powinniśmy uważać na słowa, bo potem ktoś zrobi krzywdę jakiemuś Rosjaninowi i będę czuł, że się do tego przyczyniam.

O obiektywizm, o który pytasz, jest w miarę łatwo, bo mówimy o najeźdźcy, zbrodniarzu. Trudniej, gdy wkraczamy w strefę szarości, np. pisząc o tej słusznej stronie. Ostatnio np. mnie pytano, dlaczego piszę o tym, że wśród Rosjan walczących po ukraińskiej stronie są neofaszyści oraz homofobi, w domyśle – szkodzę wyższej sprawie. A przecież dziennikarz powinien służyć prawdzie. Jak służy czemuś innemu, nawet ze szlachetnych pobudek, to się zaczyna problem.

W Afganistanie też wszystko wydaje się czarno-białe, talibowie i biedni, uciskani cywile.

J.G.: Z przykrością obserwuję, że 90 proc. korespondencji z Afganistanu po przejęciu kraju przez talibów jest skrajnie stronnicze. Przez 20 lat oddawaliśmy głos elitom, które są skrajnie niereprezentatywne dla tego narodu, bo 70 proc. Afgańczyków mieszka na wsiach, większość jest niepiśmienna. Rozmawialiśmy z nie licznymi młodymi, wykształconymi z granicą mieszkańcami dużych miast, rozpisywaliśmy się o afgańskich siłach zbrojnych, a to często byli przestępcy w mundurach. Jakoś umykało to, że bojówki współpracujące z CIA dokonywały strasznych zbrodni na cywilach, a w dramatycznych relacjach z ewakuacji, gdy wkraczali talibowie, ci bojówkarze zostali w pierwszej kolejności ewakuowani do Stanów i jeszcze na lotnisku utrudniali ucieczkę zwykłym Afgańczykom, żądając łapówek.



Jagoda Grondecka
– niezależna reportarka, zastępną korespondencjami z Afganistanu podczas ofensywy talibów i wycofania się NATO; była jedyną polską dziennikarką w Kabulu



Miłada Jędrsyk – OKO Press, dawniej „Wyborcza”, reportarka wojenna z Bałkanów



Konstanty Gebert – dziennikarz, korespondent z wojny w byłej Jugosławii, relacjonował także konflikty na Bliskim Wschodzie. Związany z „Wyborczą”, ostatnio z „Kulturą Liberalną”. Autor książki „Ostateczne rozwiązanie. Ludobójcy”



Mateusz Lachowski
– Polsat, korespondent wojenny z Ukrainy, w tegorocznym plebiscycie na Dziennikarza Roku zajął trzecie miejsce

I w pewnym sensie rozumiem talibów, gdy mówią, że zachodni dziennikarze są stronniczy. Nie mogę czytać już o tym, jak talibowie zakazują ko-bietom edukacji. Oczywiście to prawda i to okropne, ale nikt nie dodaje do tego kontekstu, na przykład, że przez 20 lat „demokratycznych” rządów w bar-dzo wielu miejscach nie było szkoły dla dziewcząt, bo mieszkańcy nie chcieli. Dla bardzo wielu Afgańczyków pomysł wysyłania córki po 10. roku życia gdziekolwiek na zewnątrz jest absurdalny i hańbiący.

Już po tegorocznych trzęsieniach ziemi rozmawialiśmy w gronie znanych dziennikarzy, kilku pojechało w dotknięte żywiołem okolice i opowiadało, że mieszkańcy byli bardzo zadowoleni z tego, jak zareagował talibski rząd, jakiej udzielał pomocy. Albo media rozpisują się o ruchu oporu w Dolinie Pandższaru, a ja tam byłam i wiem, że zupełnie nie ma poparcia u miejscowej ludności, co ma tło etniczne i społeczne – organizują go miejscowe elity. Później pojechał tam mój kolega, napisał reportaż dla włoskiego magazynu i nie chcieli go opublikować.

Na początku wojny w Iraku w Polsce też panowała hurraatmosfera – mamy dowództwo w strefie okupacyjnej! – i czarno-białe schematy. Armia, która najechała na Irak, jest wyłącznie dobra, a rządy Saddama do cna złe.

M.J.: Tak, miałam problem, bo znakomita większość redaktorów uważała, że to dobry pomysł, żeby najechać na Irak i obalić Saddama, który grozi bronią chemiczną. A ja od początku uważałam – nie wiedząc, to jakaś intuicja – że on blefuje. I zdarzało się, że piszę korespondencję z Basry, a następnego dnia ona jest na czołówce, z dopisanym na końcu, że Saddam odpalił ładunek chemiczny. Czyli z dopisaną dezinformacją aliantów.

K.G.: Problem nie leży w dochowaniu obiektywizmu. Nawet jeżeli sytuacja jest na tyle klarowna, że wybiera się stronę, której się życzy zwycięstwa, to dość automatycznie przygląda się tej stronie również krytycznie. To rzemiosło i jeżeli tego nie umiemy, to w ogóle nie jesteśmy dziennikarzami.

Problem jest w neutralności. Neutralność to jest odmowa zajęcia stanowiska między snajperem i dzieckiem, które ten snajper właśnie zabił. Postawa, że dziecko miało jakieś swoje powody, żeby chcieć żyć, ale snajper miał swoje powody, żeby to dziecko nie żyło, a ja tutaj nie jestem od oceniania tych powodów, tylko od relacjonowania. I problem polega na tym, że z jednej strony komuś, kto tak argumentuje, nie jestem w stanie uwierzyć jako człowiekowi, a co dopiero jako dziennikarzowi, a z drugiej jest równie złe, kiedy słuszną odmową neutralności likwiduje nam niepostrzeżenie obiektywizm.



• Rok 1991, Jugosławia, słoweński posterunek graniczny FOT. KRZYSZTOF MILLER / AGENCJA WYBORCZA.PL

Przeczytałem wszystko, co napisałem z Sarajewa, Kosowa, Afganistanu, Ruandy i nie mam powodów się wstydić, ale mam powód się wstydić czegoś, czego nie napisałem. Mianowicie miałem w Sarajewie kumpla, który był snajperem w armii bośniackiej. Do głowy mi nie przyszło, żeby zrobić o nim reportaż.

Bo jak snajperzy, to tylko źli, podstępni Serbowie, tak?
K.G.: Teoretycznie on strzelał wyłącznie do celów wojskowych. Ale mogłem mu towarzyszyć kilka dni i wiedziałbym na pewno.

A co do czarno-białości i bzdurnych wyobrażeń, to zetknąłem się z tym w Afganistanie. Pojechałem tam, żeby na dobrą sprawę zebrać anegdoty na potwierdzenie mojej wiedzy, i się zdziwiłem, jak mi ludzie w Kabulu zaczęli mówić, że Rosjanie byli lepsi niż talibowie. Kurczę, no co może być gorszego od rosyjskiej okupacji? Dziwuję się, a mój kierowca mówi: „Chodź, pojedziemy do mojej wioski”. A tam wszyscy powtarzają: „Chyba na głowę upadłeś, żeby myśleć, że Rosjanie byli gorsi od talibów, talibowie u nas chcieli wszystkich rozwalić!”. I znowu nauczyłem się, że po prostu nic nie wiem.

Pamiętam rozmowę z dowódcą serbskiej czety. Zadawałem praktyczne pytania: „Jak wchodzisz do mieszanej wioski i do lasu uciekają zgodnie wszyscy, Serbowie i muzułmanie, bo nie wiedzą, co to za wojsko, to skąd wiesz, które chałupy palić?”. „A widzisz, szukam świni, tam gdzie świnię, tam chrześcijanie, tych chałup nie ruszam”.

Ale dostęp do strony serbskiej skończył mi się po tym, jak kilka razy dopisano mi różne zabawne rzeczy do felietonów. Bo prócz korespondencji, gdzie starałem się powstrzymać od ocen, pisałem komentarze, żeby czy-

telnik wiedział, co uważam i co popieram, a co potępiam. I na przykład ktoś dał mi tytuł „NATO, szykujcie bomby!”. W życiu bym nie pomyślał, że Serbowie czytają „Wyborczą”, ale zadzwoniłem do mamy Radovana Karadžicia, już wówczas zbrodniarza wojennego, przedstawiłem się i powiedziałem, że właśnie jestem w okolicy i że chętnie bym wpadł na kawę i porozmawiać o pani synu, ona na to: „Dobrze, proszę zadzwonić za kwadrans”, dzwonię za kwadrans i słyszę lodowaty ton: „Pana nie ma na liście dziennikarzy, z którymi rozmawiam”. A wtedy nie było internetu!

Ale to, że znalazłem się na czarnej liście pani Karadžić, i wykreślił mnie z listy uprawnionych do przejazdu z Sarajewa do Pale – które było nieformalną stolicą bośniackich Serbów – mnie nie zraziło. Wejść sobie na piechotę przez jakiś prowincjonalny posterunek graniczny, przecież oni nie są skomputeryzowani. Pojechałem więc do Chorwacji, przeszedłem przez most na Sawie, po drugiej stronie była już kontrolowana przez Serbów część Bośni. W serbskiej budce strażnik żąda paszportu: „A nasza wiza gdzie?”. „No przecież jeszcze nie macie placówek za granicą, to nie mogłem wziąć waszej wizeny, ale chętnie wezmę, gdzie?”. „No w Banjaluce”. „A to świetnie, bo ja i tak jadę do Banjaluki”. „Ale ja cię bez wizeny nie wpuszczę”.

Chwileczkę na siebie patrzymy. „Żeby cię dobrze zrozumiał, jedynym miejscem na świecie, gdzie mogą dostać wizę, jest Banjaluka, ale do Banjaluki mnie nie wpuszczasz, bo nie mam wizeny, tak?”. A on się rozpromienia: „Widzisz, ty jesteś nasz, Słowianin, ty rozumiesz. Słuchaj, ja tu wczoraj miałem dwóch idiotów z Holandii, dwie godziny tłumaczyłem, nic nie rozumieli”.

Wyciągnął butelkę śliwownicy, żeśmy się napili, ponarzekaliśmy na wojnę, na rząd, na pogodę, na kobiety, a potem mnie odprowadził z powrotem na chorwacką stronę. Przecież nie miałem wizy.

Skoro jesteś przy zbrodniarzach – pamiętam, gdy po ujawnieniu zbrodni w Buczy dałem na pierwszej stronie zdjęcie ulicy, na której leżała ciała, rozpętała się dyskusja, czy

Konstanty Gebert:
Ludobójca mi wytłumaczył, jak się nim stał.

„Proszę pana, ja jestem poważny człowiek, jak wszyscy idą do nieprzyjemnej pracy, to nie mogę się migać”

wolno publikować aż tak drastyczne zdjęcia, nawet jeśli intencja jest słuszną, pokazanie ogromu zbrodni.

M.L.: Gdy napisałem o Buczy tekst do „Newsweeka”, musiałem wyklócić się z fotoedycją o zdjęcie rozstrzelanych samochodów i zabitego rowerzysty, mimo że był przykryty brezentem. A gdy wróciłem trzy miesiące później, to ulice wyglądały, jakby nic się nie wydarzyło, totalnie odnowione. I dzięki takim zdjęciom mogę teraz napisać na Twitterze pod postem, że Bucza to mistyfikacja: są dowody, że tam były ciała.

J.G.: W Afganistanie problem ze zbrodniami polega na tym, że dziennikarzom często nie chciało się weryfikować informacji, pojechać z Kabulu na miejsce, więc jakąś wendetę, zabójstwo w sporze o wodę czy ziemię albo zwyczajne morderstwo przypisywali talibom.

I to się dzieje nadal. Teraz napływa wiele informacji o prześladowaniach Tadyżków i innych mniejszości przez talibów i generalnie przez Pasztunów. Po czym jak się pojedzie i pogrzebie, to się okazuje, że ci wypędzeni przez Pasztunów mieszkańcy dostali domy i wsie po 2001 roku, przegnanu talibów i wygranej Sojuszu Północnego, a ci przeganiający wracają po swoje.

K.G.: Kłopot ze zbrodniami jest taki, że w pewnym momencie się nudzą. Najpierw redakcja bardzo chce krew na pierwszą stronę, ale ile jej można? I wtedy rozmówcy często zaczynają opowiadać dużo bardziej dramatyczne historie niż wcześniej. Już nie tylko rąbnęli z mózdzierza w przedszkole, ale jeszcze torturowali te dzieci, które przeżyły. I to jest racjonalne z punktu widzenia opowiadających. Świadkowie nie są neutralnymi, bezstronnymi obserwatorami, tylko ofiarami liczącymi na ratunek. I na początku są ogromnie pomocni: tędy do zgwałconych kobiet, na tym oddziale masz dzieci z oberwanymi rączkami, a może chcesz rozmowa-

wę z naocznym świadkiem? Ale ta okropna prawda idzie w świat i świat nie interweniuje, to może nie była dość wstrząsająca? W Bośni kilka razy szedłem tropem opowieści o dzieciach wrzucanych do betoniarki. Zawsze mówił o tym ktoś, kto rozmawiał z naocznym świadkiem – tylko nigdy mi się nie zdarzyło znaleźć tego naocznego świadka.

Ale zbrodnie oprócz ofiar mają sprawców. W Ruandzie kilka razy odbyłem dłuższe rozmowy z bardzo miłymi ludobójcami, którzy mi opowiadali, jak to było ciężko. Jeden starszy pan tłumaczył, że człowiek to jest la gros animal, duże zwierzę, więc żeby go zaszlachtować maczetą, to się trzeba napracować. „To nie jest tak, proszę pana, że hop-siup i po wszystkim! To w ogóle nie jest przyjemne, ale proszę pana, ja jestem poważny człowiek, no jak wszyscy idą do pracy – bo tak to się nazywało – to przecież ja nie mogę stać z boku, a inni robią za mnie ciężką robotę!”.

M.L.: Wyjaśnię anegdotą. Do Donbasu zabrałem wielką kamizelkę z napisem „Press”, kamizelkę odblaskową, no i džinsy, zwykłą kurtkę, specjalnie nie ciuchy taktyczne czy mundurowe. Wychodzę z kwatery, podchodzi komandir, rzuca grubym słowem i mówi: „Masz tu mundur, zakładaj, bo jak wyjdiesz w tym, to od razu będą do ciebie walić i my też oberwiemy”. Bo to taka wojna, że specjalnie strzela się do dziennikarzy.

M.J.: Wojtek Jagielski [wieloletni korespondent wojenny „Wyborczej”, obecnie związany z PAP i „Tygodnikiem Powszechnym”, jeden z najsłynniejszych polskich reporterów] wybierał się do Afganistanu i strasznie marudził: „Po co ci amerykańscy żołnierze wszędzie lażą w kamizelkach kuloodpornych, przecież to przeszkadza, nie da się prowadzić wojny w kamizelce kuloodpornej!”. Bo Wojtek zjeżdżał chyba wszystkie wojny na Kaukazie, był na wojnach afgańskich, nie zdarzyła mu się nigdy wojna z udziałem zachodniej siły zbrojnej. A ja już byłam po Ju-

pierwszej wyprawy do Bośni w 1995 roku stała się Srebrenica [masakra kilku tysięcy muzułmańskich mężczyzn i chłopców przez wojska serbskie] i potem miesiącami mnie dręczyły sny ze zwłokami wrzucanymi na ciężarówkę. Po Iraku miałam flashbacki z zapachem trupa, na przykład przy obiedzie. Ale zawsze miałam w tyle głowy, że tam ludzie cierpią to na co dzień i nie mają gdzie od tego uciec, więc muszę łapać dystans do moich problemów.

K.G.: Jagoda ma rację, trzeba robić przerwy. W Bośni siedziałem najdłużej troszkę ponad dwa miesiące. I za każdym razem, jak wylatywałem z tego cholernego Sarajewa, to było takie olśniewające uczucie wychodzenia z oblędu. Dobra, nigdy więcej tam nie wracam, wracam do normalnego życia, nie będę oglądał trupów, nie będę się zastanawiał, w którą stronę idzie ostrzał.

Ten niezmiernie przyjemny stan trwał od tygodnia do dziesięciu dni. A potem zaczynałem rozpaczliwie szukać sposobu, że-

chodziło też o adrenalinę. I o takie poczucie ważności tego, co robię. Co z perspektywy czasu okazało się kompletnym nieporozumieniem, bo dokładnie nic się nie zmieniło od tego, że coś opisałem, a czegoś nie.

A miałem jeszcze ten wielki przywilej, że jak wracałem w złym stanie, to jechałem do Marka Edelmana do Łodzi, a on, będąc do brym lekarzem, stosował terapię wódczaną, która bardzo pomaga, i któregoś wieczoru powiedział coś, co mi zostało na całe życie. „Wiesz, to jest pierwszy eksperyment natury z rozumnym zwierzęciem. Jak na pierwszy i tak nie najgorzej wyszło. A następnym razem z nietoperzami albo z delfinami wyjdzie lepiej”. ●

W KLUBIE „WYBORCZEJ” GOŚCILIŚMY JUŻ M.IN.:

• Swiatłanę Cichanouską, Anne Applebaum, Timothy’ego Snydera, Donalda Tuska, Wacława Radziwiłowicza, Katarzynę Kłosińską i Michała Rusinka, Adama Bodnara, Adama Wajraka, Jacka Dukaja, ekipę dziennikarzy śledczych oraz reporterów sejmowych „Wyborczej”, himalaistę Nimsdaia Purję, a także opozycjonistów rosyjskich. Wszystkie spotkania możecie państwo obejrzeć lub przeczytać na Wyborcza.pl/klub.

• Jeśli chcecie Państwo czytać wszystkie teksty „Wyborczej” i brać udział w takich spotkaniach, zapraszamy do zakupu pakietu klubowego prenumeraty cyfrowej Wyborcza.pl

wyborcza.pl

Jagoda Grondecka: Przez 20 lat oddawaliśmy głos afgańskim elitom, nielicznym młodym z dużych miast, wykształconym na Zachodzie

A jeszcze trudniej jest, kiedy ludobójca jest kumpel funfel. Cały wieczór spędziłem z takim przemitym facetem przy dużej ilości piwa. „Wie pan, właśnie wyszedłem z więzienia, szesnaście lat za ludobójstwo, panu pewnie naopowiadano, że myśmy tych Tutsi tak strasznie różni, ale wie pan, ja panu szczerze powiem, ja byłem na froncie, ja tego nie widziałem, ale w więzieniu się słyszy różne rzeczy, inni mówili, że były masakry, mordowanie dzieci. No okropne. Ale proszę pana, pan jest dziennikarz, inteligentny człowiek, niech pan pomyśli, myśmy przegrali, a jak jest wojna i jedna strona wygrywa, a druga przegrywa, to jak pan myśli, kto zabił więcej? Ci, co wygrali, czy ci, co przegrali? Pan się sam domyśli. Pan wie zresztą, jak my na nich mówimy, na tych Tutsi, karaluchy. Okropne, ale pan myśli, że to się tak z niczego bierze, że się na ludzi karaluchy mówi? Widzi pan. A pan by chciał mieszkać z karaluchami? No widzi pan. To pan się dziwi, że my też nie chcemy?”. I w którychś momencie zaczynam patrzeć na świat jego oczami i to wszystko zaczyna mieć sens.

Mam ten jego monolog w sobie jak cystę, połknąłem go, nie dałem w mordę, nie wyszedłem. Niby powinienem, ale chciałem go wysłuchać, żeby lepiej zrozumieć to, o czym piszę.

KRYSTYNA KURCZAB-REDLICH: (reporterka, korespondentka w Rosji w latach 1990-2004, relacjonowała w polskich mediach obie wojny w Czeczenii, autorka wielu książek o Rosji i Putinie.) Miłada powiedziała, że wszystkie wojny są podobne, a potem się okazuje, że nie są. Otóż jest kategoria wojen, które zawsze są podobne. To wojny Putina. W pierwszych miesiącach wojny z Ukrainą pokazywałam swoje zdjęcia: miejscowość po użyciu bomb kasetowych, ludzie, na których spadły bomby termobaryczne, siwa trzydziestolatka, która prowadzi mnie do drzewa, pokazuje coś na tym drzewie i mówi: „A to jest moja córeczka”. Ludzie pytali: byłaś w Ukrainie? Nie, nie byłam. To było z Czeczenii.

Słyszałem od kogoś, kto jechał na wojnę we wczesnych latach 90., że nie wolno mu było mieć żadnego elementu wojskowego. Miał być jaskrawy, kolorowy jak amerykański turysta na Hawajach, żeby się wyraźnie odróżnić od wojskowych. A teraz dziennikarze wyglądają jak żołnierze, w kamizelkach kuloodpornych, hełmach.

gosławii i spojrzałam na niego jak na raroga.

K.G.: Miałem w Jugosławii kamizelkę dlatego, że mnie w telewizji zobaczyła jakaś pani mecenas z Kielc i przysłała do redakcji swoją kamizelkę. Takie cieniutkie, eleganckie coś, co się wkłada pod garnitur albo garsonkę. Mało przydatne pod ostrzałem albo na snajpera, ale dzięki niej ONZ mnie wzięło na pokład. Bez kamizelki nie zabierali.

A wiele lat później się dowiedziałem, że polisa ubezpieczeniowa, którą mi gazeta wykupiła na Jugosławię, nie obejmowała przywozu zwłok do kraju.

Radzenie sobie „tam” to jedno, drugie – radzenie sobie „tu”, po powrocie. Z tym, co widzieliście, przeżyliście, najogólniej – z psychiką?

M.L.: Zależy, skąd się wraca. Jak wracam z jakiegoś nefajnego miejsca, to muszę zrobić przystanek w Kijowie albo we Lwowie, żeby odetchnąć, zwłaszcza w Kijowie dobrze się czuję. A po powrocie spotykam się z bliskimi, przyjaciółmi, porozmawiać, zjeść, obejrzeć film. I chyba przydatne są małe rytuały, zawsze wysyłam mamie SMS-a z drogi, że nic nie chcę jeść, tylko pościel i wanna.

Może za parę lat się okaże, że to się jakoś osadzało i w końcu odbiło na psychice, ale na razie jakoś sobie radzę. Pierwszy dzień „tu” to jest szok, a potem wracasz do swojego życia. Wyjeżdżasz „tam”, chwilowy szok i też po jednym dniu wracasz do swego życia. I jeszcze jest ten przyjemny moment pomiędzy, kiedy się wyjeżdża z niebezpiecznego miejsca i pojawia się poczucie, że zrobiło się dobrą robotę i znowu się udało.

J.G.: Ja korzystam z terapii. I robię sobie przerwy. Po przeprowadzce do Kabulu nie było mnie stać, żeby polecieć do Polski na wakacje, i przesiedziałam tam dziewięć miesięcy non stop. Wróciłam w strasznym kryzysie psychicznym. Potem zorientowałam się, że większość znajomych dziennikarzy też stara się raz na trzy miesiące wyjechać poza Afganistan.

Bo kiedy jest się w jakiejś rzeczywistości, łatwo jest nie zauważyć, że ona odciska piętno, to wychodzi, kiedy wracamy – i ten ciężar muszą znosić nasi bliscy. Kiedy wracam, zaczynam być poirytowana, na przykład kiedy komuś coś we mnie przeszkadza: „Ja pierdolę, w Kabulu nikomu nie przeszkadza, nikt mi nie ma za złe”.

M.J.: Za Kostka i moich czasów nie było zwyczaju chodzenia na terapię, więc w ogóle nawet mi to do głowy nie przyszło. A problemy były. Akurat podczas mojej

by wrócić. Po części dlatego, że tam zostali przyjaciele. A jedyny sposób, żeby się dowiedzieć, kto jeszcze żyje, to przylecieć i pochodzić po domach, bo nie ma łączności telefonicznej. Ale skłamałbym, gdybym powiedział, że chodziło tylko o przyjaciół. Tak,



Prof. Marcin Matczak
**O POLSCE, BEZPRAWIU
I NIESPRAWIEDLIWOŚCI**

Nowa książka już w sprzedaży

znak znak
KSIĘGARNIA

REKLAMA 34222200

FOT. POLONA



224 lata temu, w Wigilię, urodził się Wieszcz

WYCHOWANY Z WILKIEM, LISEM I KRUKIEM

Rozdarty między Rzymem a powstaniem, między żoną i kochanką

JAROSŁAW MIKOŁAJEWSKI

Krasicki, Bohomolec, Naruszewicz... Poezja polska przed Mickiewiczem nijak nie tłumaczy narodzin arcymistrza, który przyszedł na świat w polsko-litewsko-białoruskim Zaosiu w Wigilię 1798 roku. Nie buduje lodygi, na której wyrósł kwiat Mickiewiczowskiej poezji.

Kochanowski, Sęp-Szarzyński, poeci lacińscy – pewnie. Ale mam poczucie, że językowe słowo- i obrazotwórstwo Adama, jego niesforne, nieobliczalnie wiązana mowa, ma źródło głównie w śpiewie pani Gąsiewskiej, gospodyni w domu Mickiewiczów, w opowieściach domowego dziada Błażeja, w „arcydzielach poezji”, jak sam poeta będzie określał pieśni ludowe, w tych wszystkich „Idzie żołnierz borem lasem” czy „Uciekla mi przepióreczka”, które autor „Ballad i romansów” będzie wyśpiewywał szóstce dzieci.

Jak rzeczy zasłyszane w dzieciństwie wpływają na własny język, dowiadujemy się wszyscy w chwili, kiedy coś nam się powie rytmem czy melodią kołysanki albo wylizanki, którą nas karmiono w dzieciństwie. I nie zawsze jest to zabieg świadomy – wypełnić zapamiętaną formę nową treścią. Często autorska gawęda sama wlewa się nam do wazonu po dawnych kwiatach. Lecz pieśni to nie wszystko. Jest w mowie Adama zaciągane bajanie służek, ale też domowe mówienie „Jeruzalem wyzwolonej” Torquata Tassa w przekładzie Piotra Kochanowskiego przez ojca Adasia, pana Mikołaja Mickiewicza, który kto wie, czy nie najskuteczniej ustawił głos przyszłego arcygawędziarza. Zatem wszystko naraz. Ale bardziej pieśni mówiona i śpiewana niż pisana, bardziej szum traw niż szelest papieru. Zamięć wigilii Bożego Narodzenia 1798 roku wywierała Adama z ziemi i z wiatru z tą jego nową i antyczną mową, zagarniając całą różnorodność pejzażu językowego, wyobraźniowego, emocjonalnego, z lękami, duchami, ożywającą naturą, z historiami animowanymi specyficzną pieśnią bardzo stąd, skądś i zewsząd.

Wyobraziłem sobie na własny użytek ten poród z zawieruchy, to zdumiewające przyjsście na świat Adama i jego języka.

WZRUSZANKA NA NARODZINY ADAMA MICKIEWICZA

*Cicho wszędzie, ciemno wszędzie,
Dziady chodzą po kołędzie...*

*Chodzą Dziady na paluszkach,
głucho dzwonią groszem w puszkach,
mruczą głodem w pustych brzuskach
i śpiewają o pastuszkach.
A gdy stają w Ostrej Bramie,
coś tam plotą o Adamie,
bredzą coś o królewiczu –
jakimś dziecku Mickiewiczów...*

*Na wystawie lśniące wiśnie,
zaraz gwiazdka w nich rozbłyśnie...*

*Chodzą Dziady na paluszkach,
kręci śniegiem zawieruszką,
a przed sklepem z łakociami
jest Dziewczynka z zapalkami,
wiele słyszy, choć nie słucha,
w imię Ojca, Syna, Ducha,
śmieje do niej się zapalka,
a po chwili cicho zalka...*

*Woła Dziad, że coś się stanie,
więc zaprzęgać trzeba sanie...*

*Co to będzie, co to będzie,
sanie płyną jak labędzie,
Dziad w marzeniu w niebo wzlata,
i z przyszłego wzywa świata
kogoś, kogo jeszcze nie ma,
wicher świszczy mu poema,
co już chodzi po kołędzie,
i jak nie ma go, tak będzie...*

*Wzywa Dziad wśród zawieruchy
dawne duchy, przyszłe duchy...*

*Mówi Dziad do służki-wróżki,
że wśród takiej zawieruszki
dziwna jest ta cisza wszędzie:
co to będzie, co to będzie...
Odpowiada wróżka-służka:
chodzi mi po sercu wrzuszka,
bo gdy cichą noc usłyszę,
zawsze wiem, że coś się pisze...*

*Chodzą Dziady po polszczyźnie,
po matczyźnie i ojczyźnie:*

*język krzepnie i truchleje,
to jaśniej, to ciemniej...
Polsko Kolsko i półdzika,
Słowo przyszło do języka,
by go obmyć niczym deszcz –
by go przeszyć niczym dreszcz...
Wrzeszczku wrzesz, trzasku trzeszcz,
Brzasku brzeszcz, wieszczu wieszcz...*

*Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
język hula po kołędzie...*

*Usiadł Dziad nad modrą Wilią,
świętą upił się Wigilią...
Śpiewa: ocknij się już, Zosiu,
ty też rodzisz się w Zaosiu...
I w podzięce za Adama
wrzasnął „Wiwat Ostra Brama!
Przyjmij, Święta Matko Bosko,
odchodzącą pieśń dziadowską:*

*Luli laj,
grajku graj,
wrzeszczku wrzeszcz,
trzasku trzeszcz...*

*Wrzeszczku wrzeszcz,
trzasku trzeszcz,
brzasku brzeszcz,
wieszczu wieszcz..."*

*A gdy własna pieśń mu zbrzydła,
o młodości i o skrzydłach
coś zabredził i zanucił,
i się więcej nie ocucił.
Przyjmij, Święta Matko Bosko,
odchodzącą pieśń dziadowską.
Nowa pieśń się wciela w ciało,
które w cichą noc zalkało...*

*Luli laj,
grajku graj,
wrzeszczku wrzeszcz,
trzasku trzeszcz...*

*Wrzeszczku wrzeszcz,
trzasku trzeszcz,
brzasku brzeszcz,
wieszczu wieszcz..."*

Albo nie tym językiem staromodnej, naiwnej gawędy pociągniemy tę skróconą, wyrывkową refleksję o Adamie Mickiewicz. Biograficzną kompletność niech dadzą ciekawym liczne książki, różnej ambicji i stylu: Tomasza Lubieńskiego, Marii Witkowskiej, do wyboru do koloru. Motorem tego bryka niech będzie raczej doświadczenie kogoś, kto co dzień mówi o autorze „Sonetów krymskich” i „Dziadów” grupom szkolnym na stałej wystawie mickiewiczowskiej w Muzeum Literatury na warszawskim Rynku Starego Miasta i opowiadając to zadziwiające, bogate, najeżone nieoczywistościami życie, nie może się nadziwić, dlaczego nie stało się jeszcze inspiracją do fascynującego filmu. Tyle jest w nich wątków, tyle nierozwikłanych tajemnic, tyle fatalizmu i trudnych wyborów, tyle aktów osobistej wolności. Zazdroszczę brytyjskiej kinematografii, która losy swoich wielkich twórców opowiedziała z tą specyficzną, rozpoznawalną klasą, która łączy rozmach i delikatność, rozmowę i obraz, a zamiast kierować się złudną ambicją opowiedzenia wszystkiego, idącą nieuchronnie ku powierzchowności, rozgrywa akcję i jej napięcia w uważnie wybranym punkcie i przez szczegół opowiada o wszystkim. „Cała prawda o Szekspirze” Branagha, „Pan Turner” Leigh, „Szczęśliwy książę” Everett, „Cienista dolina” Attenborough i wiele, wiele innych pomijają zgrzebną konieczność opowieści od dzieciństwa do śmierci.

Biografie Mickiewicza i Chopina dałyby szansę na wielką, intymną, dogłębną opowieść, analizę ich szczególności, melancholii, obsesji, których nie da się przecież opowiedzieć samymi faktami. Zdarzenia pisarskie i biograficzne muszą być zanurzone w liryzmie, w ich świecie wewnętrznym zasugerowanym kompozycjami, ciepłem i chłodem zdjęć... A skoro jednym tchem wymienilem już Chopina i Mickiewicza, rzecz mogłaby się skupić chociażby na spotkaniu czy serii spotkań obu geniuszów. Jest przecież świadectwo Juliusza Słowackiego, list do matki, w którym twórcza „Balladyna” wspomina o polskich wiecach w Poryżu, na których Mickiewicz improwizował, a Chopin grał. Są świadectwa wizyt Chopina u Mickiewiczów, podczas których kompozytor grał na cztery ręce z żoną poety Celiną. To wszystko daje przecież szansę na wgląd w potencjał przyjaźni dwóch ludzi, którzy zmienili język poezji i muzyki. A co można by zrobić z przypuszczeniem, że koncert Jankiela jest próbą zapisu recitali Chopina?...

*Ledwie słuchacze mieli czas wyjść z zadziwienia,
Znowu muzyka inna – znów, zrazu brzęczenia
Lekkie i ciche, kilka cienkich strónek jęczy,
Jak kilka much gdy s siatki wyrwą się pajęczęj.
Lecz strón coraz przybywa, już rozpierzchle tony
Łączą się i akordów wiążą legijony,
I już w takt postępują zgodzonymi dźwięki,
Tworząc nótę żalostną tej sławnej piosenki
O żołnierzu, tulaczu, który borem, lasem
Idzie, z biedy i z głodu przymierając czasem,
Na koniec pada u nóg konika wiernego,
A konik nogą grzebie mogiłę dla niego.
Piosenka stara, wojsku Polskiemu tak miła!
Poznali ją żołnierze, Wiara się skupiła
W koło mistrza; słuchają, wspominają sobie,
Ow czas okropny, kiedy na Ojczyzny grobie
Zanocili tę piosnkę i poszli w kraj świata;
Przywodzą na myśl długie swej wędrówki lata,
Po łądach, morzach, piaskach gorących i mrozie,
Pośrodku obcych ludów, gdzie często w obozie
Cieszył ich i rozrzewniał ten śpiew narodowy.
Tak rozmyślając smutnie pochylił głowy!
Ale je wnet podnieśli, bo mistrz tony wznosi,
Natęża, takty zmienia, coś innego głosi,
I znowu spójrzal z góry, okiem strony zmierzył,
Złączył ręce, oburącz w dwa drążki uderzył:
Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,
Że stróny zadzwoniły jak trąby mosiężne (...)*

Opowiedzieć językiem filmu muzykę opisaną językiem poezji, przymiarek rozmowy poezji z kompozycją muzyczną – co za fascynujące wyzwanie.

Jest w biografii Adama wiele materiału współczesnego do tego stopnia, że aż wydać się może naginany do przesłań. Choćby najgłębiej przeżyta świadomość wspólnoty losu wszystkich stworzeń, w tym zwierząt. Jak gdyby zorkiestrowana ze słowami św. Pawła z Listu do Rzymian (20-22): „Stworzenie bowiem zostało poddane marności – nie z własnej chęci, ale ze względu na Tego, który je poddał – w nadziei, że również i ono zostanie wyzwolone z niewoli zepsucia, by uczestniczyć w wolności i chwale dzieci Bożych. Wiemy przecież, że całe stworzenie aż dotąd jęczy i wzdycha w bólach rodzenia”. Słowami rzadko poddawany przez rówieśników Mickiewicza lekturze radykalnej, gdzie za stworzenia bierze się na równi ludzi i zwierzęta (dziś również rośliny). A przecież apostrofował Adam na paryskich wykładach:

...Otóż i wy, co chcecie odkryć tajemnicę życia zwierzęcego, miejcie odwagę wejść do lwiej jaskini, albo rzucić się między psy, rozdzierające jelenia, uratujcie go od śmierci, a potem utuliwszy z miłością, zaklnijcie w imię Boga żywego, że- by wam powiedział, dla czego jest zwierzęciem, za co cierpi, skąd macie prawo dręczyć go i zabijać, jakie wreszcie powinny by być stosunki między nim a człowiekiem?

Czytam w brewiarzu, że gdy święty Antoni umarł na pustyni, lwy wykopały w nocy dla niego jamę, w której go towarzysz pochował. Kiedy święty Antoni Padewski mówił, zwierzęty nastawiały uszy i ryby nawet przyplływały do niego. Nie dziwujemy się temu! Ta siła, co nasze duszy i zmysły otwiera na dźwięk głosu natchnionego, ten promień niewidomy, co przechodzi przez słowo dotykalne, daje się czuć i duchom niższym. Św. Franciszek Seraficki, ów wielki cudotwórca, z jakąż miłością mówił o zwierzętach: braciszkami, siostrzyczkami swemi ich nazywał! A was to gorszy, że uczyniono wzmiankę o duchu zwierząt!

Jakimi drogami do paryskiego wzburzenia wykluczeniem braci mniejszych z rozumianego po ludzku planu zbawienia doszedł poeta? Wiele jest świadectw otoczonej przyjaźnią obecności zwierząt u Mickiewiczów. Już o ojcu Adama wspominał poeta, że (za „Mickiewicz – Encyklopedia”) „nadzwyczaj wszystkie zwierzęta lubił i był u siebie utworzył rodzaj menażerii. Wiosną dzieci wydolać nie mogły dostarczaniu owadów i ziarna dla najrozmaitszych ptaków; był i wilk przyswojony i lis i kruk. Wilka natura pociągnęła do lasu. Lis długo się trzymał...”.

Był tajemniczy czarny pies, żywy wąż złowiony przez Adama do przeznaczeniem do gabinetu historii naturalnej Litwy, suczka, która kładła się na korektach „Konrada Wallenroda”, koty, pieski. Pasja ta musiała być dzieciczna, skoro pan Adam i jego przyjaciele znosili dla dzieci Mickiewiczów inne pieski, królika, wiewiórkę czy nawet orla... Rozmowa ze zwierzętami, samotna i w rodzinie – czyż nie mógłby to być wzruszający, potężny, filozoficzno-humanitarny wątek filmu o pocie-myślicielu, mędrцу szukającym jednego imienia dla wszystkiego, co stworzone, co budzi współczucie tym, że istnieje i cierpi?

Pamiętając „Amadeusza” Miloša Formana, należałoby się zastanowić, czy tym laboratorium życia i osobowości Mickiewicza nie mogłoby być powstawanie jednego dzieła. Na przykład III części „Dziadów”. To, jak w jednym z drezeńskich kościołów, po wysłuchaniu „Czarodziejskiego fletu”, niejako na mozartowskiej nucie po-

czuł, „jakby się nad nim bania z poezją rozbila”, i w miesiąc napisał dramat, którego czuł się nie autorem, lecz medium.

Na myśl, że któryś z wielkich reżyserów opowiedziałby historię powstawania „Dziadów” dreźnieńskich potęgą obrazu, intelektu, muzyki, wiedzy, czuję dreszcze. Wyrazić rozważania nad teodyceą, nad doświadczonym człowiekiem, który zwątpił w ideę sprawiedliwego Boga, przywołać indywidualne i zbiorowe doświadczenie, pokazać przemianę, wpleść w to mistykę „czterdziestu i czterech”, osądzić mesjanizm, który stawiając pytanie „po co?” zamiast „dlaczego?”, utrudnia społeczności zastanowienie się nad własnymi błędami, kierując je na próżną refleksję nad sensownością bólu... I dlategoż by nie powiązać, dla pełni opowieści o dojrzewaniu, tej części z poprzednimi?...

Tylko kto miałby zagrać Konrada w świecie bez Holoubka, Treli, z wielkim, lecz nie tak młodym już Radziwiłowiczem? Malajkat? Bonaszewski? Hyncar? Uczniowie, którzy oglądają w Muzeum Literatury młodzieńczy portret Mickiewicza, mówią, że to wypisz wymaluj Jan Wiczorkowski – to samo intensywne spojrzenie, ta sama przenikliwość... Na pewno? Boże, cóż to byłoby w końcu za wyzwanie dla wyobraźni uczestników upokorzonej kultury naszego czasu! Owszem, z gatunku „pop”, lecz czy – wstyd przyznać – nie tęsknimy za narodową dyskusją nad aktorem, który ma zagrać Kmicica, i aktorką pasującą do Izabeli Łęckiej? Czyż nie przydałby się spór o portret psychologiczny i fizyczny Konrada? O to, jak go widzimy, z jakich konstruujemy go elementów i przesłanek?

A kwestia patriotyzmu i jego (pozornej?) sprzeczności z wewnętrzną wolnością poety?

W Wilnie, za filomatów, filaretów, promienistych, Mickiewicz był w oczach przyjaciół poetą i przyszłym bojownikiem. Taka jest pułapka i cena fascynacji, jaką budzą wybitne osobowości – że towarzysze projektują ich przyszłość na podstawie własnej intuicji ich miary. Po Mickiewiczu, przez wzgląd dla jego geniuszu i intelektu, wyrazistości i płomienia, oczekiwano się bezkompromisowej walki, aż do zwycięstwa lub śmierci. Całe tamto studenckie pokolenie oczekiwało tego po sobie wzajemnie.

I oto Adam, zesłany do carskich metropolii, by nauczał dzieci rosyjskiej arystokracji, zamiast walczyć, robi salonową karierę. Poetycką, owszem, lecz temperowaną przez okoliczności, w tym przez autocenzurę. Jest ptakiem w złotej klatce. Jedzie na Krym w podejrzanym towarzystwie. W 1825 roku w Odessie – jak pisze Rymkiewicz

– „poeta, zamiast patriotycznie cierpieć, zabawiał się tam z kochanką, może nawet z kilkoma”. A kiedy wiadomość o wybuchu powstania listopadowego dociera do Mickiewicza w Rzymie, poeta nie wyjeżdża z Miasta, które jest Światem, żeby dołączyć do walczących przyjaciół, tylko trwa w nim jak w krainie rozkoszy.

Jak wnikliwie, z jakim smakiem można by pokazać rozdarcie poety. Piszę „rozdarcie” bez przekąsu – przecież Rzym był dla niego, jak sam pisał do córki, „największą rzeczą na ziemi”. Czymś, co porusza, a każda dusza – i brzmi to bardzo współcześnie, jak pierwowzór poematu Pasoliniego – „musi być poruszona”. Bo inaczej, uzupełni włoski poeta i reżyser, „nie rośnie”. A wędnięcie duszy jest stanem najgorszym dla twórcy i dla każdego człowieka. Jak szorstki, mówiąc za Dantem, dyktament można by postawić, pokazując rozdarcie patrioty i estety, poszukiwacza źródeł cywilizacji. Podróżnika wśród innych podróżujących w czasach Grand Tour, szlakiem Goethego, Shelleya, Keatsa.

Są w życiu i twórczości Mickiewicza sprawy szczególne i tylko własne, są też przynależne porządkowi i chaosowi uniwersalnemu. Sama opowieść o związku małżeńskim Mickiewiczów mogłaby się okazać jednym z najbardziej złożonych i fascynujących dramatów epoki.

Celina Szymanowska poznała pana Adama, starszego o 14 lat, jako przyjaciela matki, świetnej pianistki Marii. Kiedy poeta zaprosił ją do Paryża w 1834 roku, niedługo po ukończeniu „Pana Tadeusza”, ta po zawodzie miłosnym i po śmierci matki zaproszenie odważnie przyjęła. Pobrali się w atmosferze towarzyskiego co najmniej zaskoczenia, także ze względu na frankistowskie (żydowskie) pochodzenie panny młodej. Po urodzeniu drugiego dziecka Celina zaczęła przejawiać symptomy choroby psychicznej. W chwilach kryzysu uważa się za Matkę Boską, deklaruje chęć zbawiania Izraela i zwrócenia niepodległości Polsce. Urodzi jeszcze czworo dzieci. Adam opiekuje się nią, jak umie, pielęgnuje, zawozi do kliniki psychiatrycznej. Przestaje pisać aż do wspólnego pobytu w Lozannie (1839-40), gdzie powstają wiersze emigracyjne, m.in. „Nad wodą wielką i czystą”.

Czy jakieś szczególne światło rzuca na Adama to, że został kochankiem i ojcem nieślubnego dziecka kobiety, Ksawery Deybel, która stała się opiekunką jego żony? Ja sam tego nie wiem. A gdyby ktoś koniecznie chciał usłyszeć ode mnie odpowiedź, powiedziałbym, że tragicznie ciekawe.

Niepodlegające ocenie. Ludzkie. Wypływające z uwikłań, pragnień, z natury.

Oprowadzając młodzież po wystawie, mówię młodym, mądrym ludziom, że geniusz jest jak pies i zostaje nam dany w całości, od narodzin do śmierci, co sprawia, że możemy zobaczyć w nim własne życie. Adam Mickiewicz jest dany nam do bliskości. Do odkrywania w nim tego, co człowiek może mieć wspólnego z innym człowiekiem: pasji, doświadczeń, win. I jeszcze do tego, żebyśmy w jego słowach rozpoznali intensywność naszej biografii. Dlatego tak pragnę filmu o tym człowieku, w którym, jak w każdym z nas, wszystko było szczególne. O czym świadczy zapiszek z ostatniego spotkania sporządzony przez Cypriana Kamila Norwida:

To było jeszcze przed śmiercią małżonki Adama Mickiewicza, po której to śmierci i pogrzebie na jakie dwa tygodnie zaszedłem znów do pana Adama o godzinie może dziesiątej rano i zasiałem go w progu drzwi, wychodzącego właśnie, tak że drzwi kiedy otworzyłem, wpadłem nań – wrócił więc na jakie półtorej godziny jeszcze, przez które z nim mówiłem, a potem razem też wyszliśmy, bo miał być gdzieś iść jeszcze one półtorej godziny pierwszej. – Mówił mi o śmierci żony, szczegółowo, bardzo pogodnie, mało zboczenie robiąc: że nieświadomość prawdy tylko daje przerażenie zgonu i rzeczy śmierci dotyczących... aż kiedy przy jednej z ulic ja miałem inaczej obrócić drogę, a on gdzie indziej iść, ścisnął mię za rękę i mocnym głosem rzekł mi: „No... adieu!” – Że nigdy ani po francusku, ani tym tonem nie żegnał mię był, a tylec razy rozchodziliśmy się, przeszedłem potem nieledwie na drugi koniec miasta i, na schody do siebie wstępując, słyszałem jeszcze to słowo: „...Adieu!”.

Przypadek zrzędził, że nie mogłem widzieć odtąd pana Adama, ani pożegnać go, kiedy na Wschód wyjeżdżał – słowem, że to ostatnie było one dziwnie mi podówczas brzmiące pożegnanie... Co aby jaśniejszym było, dodać trzeba, że nieboszczyk pan Adam miał to do siebie, iż nie tylko, co mawiał, ale i: jak mawiał, zatrzymywało się w pamięci...

Takie jest więc przed nami wielkie wspólne zadanie: znaleźć aktora, który powie „żegnaj” tak, jak nikt inny by nie powiedział. ●

Europa musi się bronić

Co stałoby się z Polską, gdybyśmy nigdy nie przystąpili do NATO? Takie właśnie pytanie usłyszałem podczas niedawnego, ostatniego z tegorocznych MeetUp-ów, czyli spotkań polityków Koalicji Obywatelskiej z młodymi ludźmi.

Odpowiedziałem, że wówczas nie usłyszełibyśmy od prezydenta USA, że Stany Zjednoczone będą broniły każdego centymetra także naszego terytorium jako członka Sojuszu. Niewykluczone też, że swoje imperialne ambicje putinowska Rosja realizowałaby nie tylko kosztem Ukrainy, ale także państw Europy Środkowej.

Rosyjska agresja pokazała, że wbrew wypowiedziom niektórych polityków, NATO nie jest ani „przestarzałe”, ani nie cierpi na „śmierć mózgową”. Pozostaje jednak sojuszem, którego kondycja zależy od postawy jednego, dominującego członka – Stanów Zjednoczonych. Udział najpotężniejszego militarnie kraju świata jest jednocześnie źródłem siły NATO – gdy Waszyngton prowadzi aktywną, opartą na współpracy z sojusznikami politykę zagraniczną – jak i jego słabości – gdy w Ameryce do głosu dochodzą izolacjoniści. Niestety, mimo porażek Donalda Trumpa, wpływy izolacjonistów nie maleją. Jeśli zależy nam na własnym bezpieczeństwie i utrzymaniu potęgi Sojuszu,



musimy, jako Unia Europejska, zadbać o drugą, europejską polisę ubezpieczeniową.

Przez wiele dekad Europa zachodnia rozwijała się pod amerykańskim parasolem militarnym. Korzystamy z niego do dziś. Bez amerykańskiej pomocy – mimo wielkiej odwagi ukraińskich żołnierzy – rosyjskie wojska już dawno temu maszerowałyby ulicami Kijowa.

Musimy jednak zdawać sobie sprawę, że amerykańskie zaangażowanie jest w tym wypadku wynikiem zbiegu korzystnych okoliczności. Po pierwsze, Donald Trump nie mieszka już w Białym Domu. Po drugie, kilka miesięcy przed rosyjską inwazją Amerykanie po dwudziestoletniej wojnie w kilka tygodni stracili Afganistan. Administracja prezydenta Bidena prawdopodobnie uznała, że na drugą prestiżową porażkę w tak krótkim czasie nie może sobie pozwolić. Po trzecie, chiński przywódca Xi Jinping nie przystąpił jeszcze do próby

zajęcia Tajwanu. Nie mamy jednak złudzeń – prędzej czy później taką próbę podejmie. A jeśli przerodzi się ona w konflikt militarny, amerykańskie legiony pomaszerują na wschód. Europa musi więc robić więcej dla zabezpieczenia swoich obywateli.

Kroki, które podejmujemy w tym kierunku – jak stworzenie Europejskiego Funduszu Obronnego – są ważne, ale zbyt nieśmiałe. Niespełna 8 miliardów euro rozłożone na 7 lat wygląda zawstydzająco w porównaniu z budżetem Pentagonu liczącym ponad 800 mld dolarów rocznie. Nie mam złudzeń. Idea wspólnej europejskiej armii nie zostanie w najbliższym czasie zrealizowana. Możliwym krokiem naprzód byłoby powołanie instytucji europejskiego Komisarza ds. Obronności oraz stworzenie „Legionu europejskiego” – jednostki w sile co najmniej brygady złożonej z ochotników, opłacanej z budżetu UE i podlegającej kontroli instytucji europejskich.

Europa przez lata pozostawała gospodarczą potęgą i militarnym karłem. Ten model rozwoju się wyczerpał. Jeśli nie przekona nas o tym wojna toczona tuż za naszymi granicami, gorzko tego pożałujemy.

Radosław Sikorski
Poseł do Parlamentu Europejskiego



fb.com/GrupaEPL
twitter.com/GrupaEPL

Z PROF. **EWĄ ŁĘTOWSKĄ**
ROZMAWIA **EWA KALETA**

Kiedy umawialiśmy się na rozmowę, powiedziała pani, że bym przed panią nie dygała. Ani dosłownie, ani metaforycznie.

– Kiedy zaczynałam robić karierę w mojej specjalności, było mało kobiet, po habilitacji było ich dosłownie kilka. Nikt specjalnie nie rzucał kłód pod nogi, ale po prostu kobiet było mało. Życie mnie nauczyło, że należy unikać zachowań, które prowokują do nadmiernie opiekuńczego lub protekcyjnego zachowania.

Rozumiem.

– Kiedy jakaś pani dyga, wygłaszam przemowę.

Chętnie posłucham.

– „Jeśli pani ze swoim dorobkiem zawodowym chce być dobrze traktowana i jednocześnie pani dyga, to nawet jeśli spotyka pani mężczyznę świętego, to on siłą rzeczy, instynktownie nie będzie traktował jej poważnie, potraktuje jak dziewczyneczkę. Więc po co to robić?”. Sama nie lubię wdzięczenia się. Jeśli chodzi o komunikacyjne cnoty, cenię najwyżej ironię i sarkazm. A to nie idzie w parze z wdzięczeniem się, sama niech pani przyzna. Jednocześnie mam wielki szacunek dla panów wychowanych w porządku paternalistycznym, którzy w którymś momencie zorientowali się, że dłużej w oczywistym patriarchacie żyć nie można.

Obserwowała pani przemianę obyczajową.

– Można o tym anegdotycznie, gdy np. męskie grono profesorów oczekuje, że jedyna profesorka obsłuży dzbanek z kawą. Można i na poważniej, o tym dojrzewaniu świadomości: gdy dojrzała panowie pytają, czy ich język i żarty nie brzmią aby nazbyt paternalistycznie – a przeżyłam to kilka razy, gdy starsi profesorowie radzili się mnie w tej sprawie. To nawet było ujmujące. Jednocześnie uważam, że dzisiejsze czasy nie sprzyjają emancypacji.

Dlaczego pani tak uważa?

– Polska Ludowa oficjalnie głosiła równość, nikt nie śmiał pалnąć głupoty na temat równości płci. Jeżeli tak się zdarzyło – bohaterowie byli obiektem powszechnej środowiskowej krytyki. Druga przyczyna: rynek i prowokowana przezeń konkurencyjność, które skłaniają do zachowań nieuprzejmych czy utrudniających w ogólności, a to nie sprzyja też emancypacji, więc dziś kobietom jest trudniej.

Muszę pani powiedzieć, że raz w życiu widziałam działanie prawa. Prawo mnie dotyczyło i objawiło mi się jako...

– Ach, co pani mówi. Pani jest utopiona w prawie.

Utopiona?

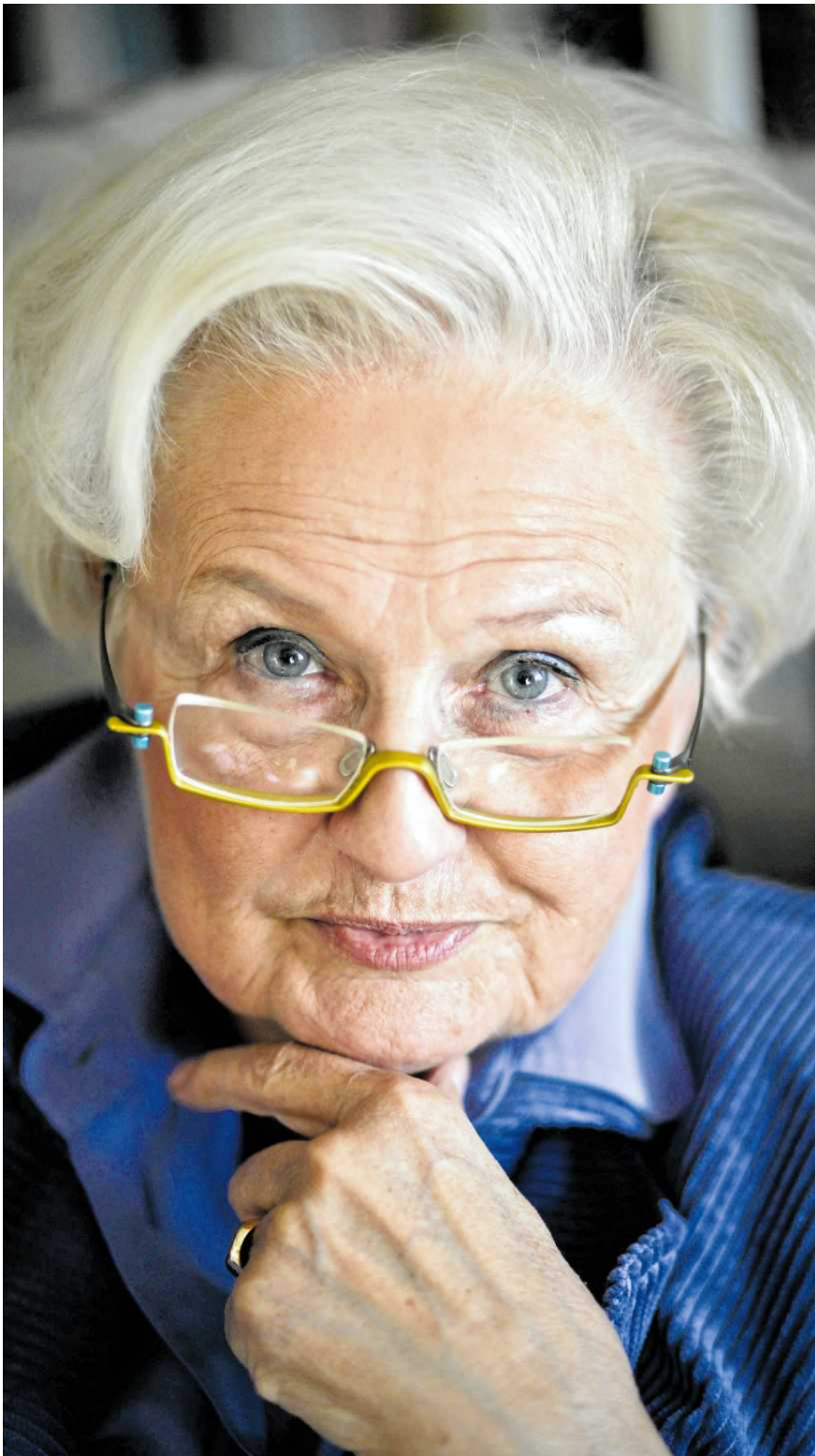
– Dojechała tu pani do mnie, dokonując czynności prawnej konsensualnej (umowa z taksówkarzem); jeśli panią dziś ochlapano na ulicy, doznała pani szkody deliktowej (art. 415 kodeksu cywilnego). Wiąże panią stosunek pracy z pracodawcą, podlega pani jako matka prawu rodzinnemu. Jest pani osobą fizyczną – taka osoba ma cały własny reżim prawny. Pani jest utopiona w prawie, bo prawo jest czymś w rodzaju nakładki, konwencji, w której funkcjonujemy wszyscy. Może więc pierwszy raz w życiu pani zobaczyła, jak bardzo panią dotyczy, ale dotyczyło pani od zawsze, od urodzenia.

Jest jakiś tragizm w tym ujęciu – utopieni w prawie.

– Dlaczego? Nawet kiedy pije pani kawę w kawiarni, jest pani uwikłana w kilka stosunków prawnych. Jesteśmy zanurzeni w prawie, tak jak jesteśmy zanurzeni w zjawiskach fizycznych czy w przyrodzie...

Chciałam powiedzieć o przerwaniu ciąży. O tym, jak prawo wpływa na człowieka, który żyje w takim zakazie prawnym, nie

Jeśli porządnie bronimy porządku prawnego, każdy na swoim odcinku, to prawo jako całość będzie funkcjonowało poprawnie



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

tylko na poziomie konkretnu, ale też na poziomie człowieczeństwa.

– Przepraszam, że wchodzę w słowo, ale już wiem, co pani chce mi opowiedzieć. Dla ludzi prawo jest jak miecz, jest czymś, czemu muszą się poddać, jeśli tego nie zrobią, stanie się im coś złego. To – tak nawiasem – typowo marksistowska definicja prawa. Natomiast liberalno-demokratyczna koncepcja mówi, że prawo to tarcza, która ma osłonić słabszego przed nagą siłą. Prawo, rzecz jasna, jest i jednym, i drugim.

Czego jest w prawie więcej?

– To zależy, o jakim segmencie regulacji przez prawo mówimy. I od epoki. Klóciłam się o to z profesorem Balcerowiczem, on twierdzi, że prawo to z zasady trucizna wolności.

A pani?

– A ja mówiłam, że prawo bywa eliksirem wolności. Np. dzięki prawu można przyspieszyć wymianę dóbr i usług (choćby poprzez obrót bezgotówkowy, przez papiery wartościowe, przez korzystanie z kredytu), a to otwiera nowe horyzonty wolności gospodarczej. Prawo jest bardzo złożoną strukturą. A bycie prawnikiem jest jak bycie diagnostą: ktoś chce kupić nieruchomości – ale boi się pułapek transakcji. Prawnik musi umieć dobrać stosowne instrumenty do jego interesów. A przecież ludzie spierają się o interpretację przepisów – więc trzeba wiedzieć, co się mieści w uznanych zasadach interpretacji. Jakie jest ryzyko, że prawo okaże się nie po naszej stronie. Teraz to ryzyko naprawdę rośnie, bo wzrosła znacznie ewidentnie stosowana, także przez władze, manipulacja prawem. Tego może się dopuścić nawet parlament – niedostatecznie świadomy lub zmanipulowany lobbystycznie albo politycznie przez jakiegoś politykiera populistę. Niestety, nie zawsze prawo znaczy to, co nam twórcy prawa deklarują w momencie jego uchwalania.

Zmierz pani do ciemnej strony prawa.

– Każde „prawo” (w sensie: uchwalona ustawa) ma swoją ciemną stronę, ma nieuchronne skutki uboczne, przegapione albo ustanowione interesownie. Bywa, że jest dobrze uchwalone, a źle wykonywane. Widać to w konflikcie, jaki mamy na tle praworządności z organami UE. Traktaty europejskie wymagają spójności systemu prawa: i wewnętrznego, i tego krajowego z traktatami europejskimi. Tymczasem teraz nasz własny system prawa jest pęknięty: konstytucja jest łamana, naginana, obchodzona, wydrążana przez ustawy zwykłe. Do tego przecież oficjalnie (wyrok Trybunału Konstytucyjnego, deklaracje polityków) zakwestionowano naszą podległość wyrokom Trybunału UE, a tym samym umowom międzynarodowym, jakie ratyfikowaliśmy. Doprowadzono celowo do głębokiego popękania systemu. Nie jesteśmy już państwem prawa; bywamy nim czasami i tylko w pewnych obszarach. Prawo traci swój największy walor: pewność. Przystaje być przewidywalnym narzędziem ograniczającym siłę polityczną, ekonomiczną czy fizyczną. A tam, gdzie rządzi siła, nie można być pewnym swego losu – czy to np. jako demonstrujący obywatel, czy to jako właściciel, czy to w końcu jako członek rodziny poddany przemocy – bo nie wiadomo, czy tarcza ochronna będzie uruchomiona.

Pozwoli pani, że będę kontynuować wątek dotyczący zakazu aborcji?

– Proszę, słucham.

Interesuje mnie, co prawo robi z człowiekiem, jak wpływa na jego codzienność, jakie są daleko idące konsekwencje w stosunkach społecznych przez to, jak wygląda prawo. Wracam więc do pytania: co zakaz aborcyjny zrobi z człowiekiem?

– Jeśli ktoś chce manipulować prawem, to tu ma pole do popisu. Wniosek do TK o stwierdzenie niekonstytucyjności aborcji z powodów eugenicznych kręgi obrońców

CZŁOWIEK
CHĘTNIEJ
HOŁDUJE
DOBRU
NIŻLI ZŁU

życia motywowały zamiarem ochrony płodów dotkniętych zespołem Downa. Tymczasem wyrok poszedł znacznie szerzej, za niekonstytucyjne uznając każde przerwanie ciąży patologicznej, nawet przy najcięższych wadach płodu. Tym sposobem zmuszono kobiety także do urodzenia dziecka, które jest straszliwie zniekształcone, które nieuchronnie umrze. Po takim wyroku (a można było go wydać w sposób bardziej wyważony i bliższy motywacjom wniosku) powinna nastąpić interwencja ustawodawcy, aby na nowo określić zakres wyjątku zezwalającego na aborcję z uwagi na wady płodu, skoro wyrok poszedł dalej niż intencje wniosku. Tego nie zrobiono. W rezultacie mamy dopuszczalność aborcji tylko w wypadku zagrożenia dla życia i zdrowia matki oraz gdy ciąża pochodzi z czynu zabronionego (gwałt, kazirodztwo). Ale – i to jest najgorsze – wyrok bez dalszego ciągu wyzwała najgorsze, oportunistyczne postawy u lekarzy. Z ich punktu widzenia najlepiej nie dotykać kobiety w patologicznej ciąży, bo grozi to zawsze co najmniej postępowaniem wyjaśniającym, a w grę wchodzi odpowiedzialność karna. A więc obrońcy życia chcieli wykorzystać efekt mrozący u lekarzy i tym samym rozszerzyć zakaz, a TK poszedł dalej poza granice tego, co we wniosku deklarowano. I udało się: kobiety umierają, bo lekarze boją się reagować. To jest po prostu żerowanie – przez ustawodawcę i Trybunał – na niskich i nawet społecznych instynktach w człowieku.

Można dawać i inne przykłady podobnie patologicznego posługiwania się prawem. Gdy np. sądy – zapchane sprawami, z osłabionym morale sędziów, których chce się straszać – przestaną być stabilizatorami stosunków w społeczeństwie, gdy będą orzekały „wygodnie” (dla władzy i siebie), to rynek będzie szedł w kierunku pozasądowych mediacji. Pół biedy, gdy chodzi o spory biznesowe, bo tu będzie istniał parytet siły. Ale słabsi – konsumenci, pracownicy, lokatorzy? Im sąd – niezawisły, przewidywalny – jest potrzebny. A jeśli nie możemy wierzyć sądom czy na nie liczyć (bo działają za długo, po lebkach lub oportunistycznie), stajemy się lupem silniejszego. Ochronna tarcza prawa nie działa. I takie np. rugi lokatorskie, samowola deweloperów czy wyzyskanie obaw lekarzy przed prokuratorem mają w tym sensie wspólny mianownik, wspólne jądro. Prawo musi działać, być stosowane w warunkach zaufania i niezależności sądów od władzy politycznej, od władzy wykonawczej – aby nie działało kontrproduktywnie.

Jak to przenika do życia społecznego?

– Dobrze funkcjonujące prawo powinno w ludziach wyzwać emocje prospołeczne. Skłaniać do kooperacji, rzetelności. Prawo może służyć budowaniu zaufania społecznego albo egoistycznym interesom i chęci dominacji. Dziś, 30 lat po transformacji, jest gorzej niż za PRL-u, bo w gospodarce rynkowej silniej działa przymus ekonomiczny, w PRL-u mniej widoczny. Mamy więc brutalizację na rynku konkurencyjnym. Co więcej, oficjalna polityka daje przyzwolenie na szyderstwo ze słabszych, których prawo i tak nie osłania. Weźmy uchodźców poddawanych naruszającym nasze międzynarodowe zobowiązania pushbackom na wschodniej granicy. Czy pamiętają państwo rechot z ludzi, którzy zawisli na płocie z drutu? Przecież ten filmik nagrali umundurowani funkcjonariusze państwa!

W tym momencie w głowach powinien świtać art. 30 konstytucji, odnoszący się do przyrodzonego prawa człowieka do godności.

Użyła pani kiedyś tego artykułu?

– Byłam kiedyś podmiotem stosującym prawo we władczy sposób – jako sędzia, a jako rzecznik praw obywatelskich wyrażałam poglądy w sposób oficjalny, co było bardziej autorytatywne niż teraz, gdy jestem tylko profesorem „z poglądami”. To było jeszcze w okresie przedkonstytucyjnym, nie było art. 30 konstytucji. Dwa ra-

zy powołałam się na przepis o godności zawarty w paktach praw człowieka, kiedy byłam rzecznikiem w latach 1988-92. W jakichś zakładach mięsnych pracownicy wynosili kielbasę, więc na bramce do wyjścia ustawiono psy, które obwąchiwały ludzi. Uznałam, że to praktyka uwłaczająca godności. Drugi raz w areszcie odbywał karę człowiek, który nie miał ręki, dano mu górną pryczę, padł i złamał drugą rękę. Jako RPO zapytałam, jak ten człowiek ma jeść i zalaćwiać potrzeby fizjologiczne.

Dziś te przykłady nie zrobiłyby wrażenia, bo słowa się zużywają, znaczą o wiele mniej. A mnie chodziło o to, że godność człowieka mogą naruszać także zachowania trywialne, a niekoniecznie wielkie.

W zakładach mięsnych pracownicy wynosili kielbasę, więc na bramce ustawiono psy, które obwąchiwały ludzi. Jako RPO uznałam, że to praktyka uwłaczająca godności

Myśli pani, że zakaz prawny może mieć wpływ na zaostczenie poglądów albo ich zmianę? Budzić w ludziach odwagę do szykan, wyzwolić coś takiego w pojedynczym człowieku?

– Prawo kształtuje postawy człowieka pośrednio – efekt bata i marchewki jest znany. „Człowiek chętniej holduje dobru niż złu, ale warunki nie sprzyjają mu”. To Brecht. Jeśli społeczeństwo ma niską tolerancję „na inność”, to obojętne, jaka będzie owa inność. Łatwo naszczuć na geja, Żyda, cudzoziemca, innowiercę, ciemnoskórego itd. Ale faktem jest, że prawo nie powinno wyzwać takich emocji. I nie powinno się tak manipulować prawem, aby to czyniło. Bo prawo powinno być kagańcem polityki – a nie giętym narzędziem w rękę polityka populisty, sprawnego w zarządzaniu strachem. Widzieliśmy to w USA u Trumpa, widać i u nas.

Dziś polityka umie manipulować prawem na każdym kroku. I trzeba umieć odróżniać atrapę prawa od tego, jakie ono być powinno – zgodnie z zasadami konstytucji, paktów praw człowieka. Często prawo oddziałuje społecznie poprzez własną karykaturę. Bo nam ukazuje się atrapa prawa interesownie zmanipulowanego, a mamy myśleć, że to prawo. Trzeba być naprawdę przenikliwym i umieć rozpoznać fałszerstwo. Tak jak trzeba umieć rozpoznać czekoladę i wyrób czekoladopodobny.

Ciekawe.

– To tylko fakty. Niemiecki socjolog Ernst Fraenkel w latach 40. opublikował książkę „Państwo podwójne”, ujawniając rozdźwięk między tym, co prawo deklaruje, a tym, „jaki jest”. Bo w latach 30. w Niemczech prawo będące „wołą narodu” miało mieć treść wypełnianą przez „Führerprinzip”, czyli to, co zadecyduje hierarchiczny mocodawca. Wiemy dziś, czym to było naprawdę. Oczywiście taka sytuacja maskowania siły pod etykietą prawa zdarza się i gdzie indziej. Tak bywa w różnych autokracjach. Wtedy aktualna polityka wypełnia poszczególne instytucje prawne, procedury, kryjąc siłę pod etykietami zaczerpniętymi z prawa, które staje się swoją karykaturą. Fraenkel uchwycił to, że inaczej się to coś nazywa, a czym innym jest. O elementach tego państwa podwójnego mówi pani w swoich pytaniach. A my te-

raz tej podwójności doświadczamy. W hitlerowskich Niemczech prawo odzwierciedlało to, co powiedział wódz, a nie to, czego chciało społeczeństwo. Państwo odwraca zależność, ale się do tego nie przyznaje i ubiera swoje fałszerstwo w szaty prawa.

Proszę mi o tym opowiedzieć.

– Jeżeli mamy wynik TK, który mówi, że traktat europejski jest sprzeczny z konstytucją, a jest to nieprawda, to w wyroku tworzy atrapę legitymizacji, bo „Trybunał orzekł”. Że nie miał kompetencji do oceny traktatu, a samo orzekanie oparto na ciągu nieprawdziwych przesłanek – to już nie dotrze.

Jaką moralność społeczną ukształtuje prawo wprowadzone przez PiS?

– Oczywiście, że to oznacza demoralizację, utratę wiary w prawo. Ale niech mnie pani nie pyta o ocenę moralną. To ks. Tischner pisał o tym w książce „Etyka solidarności oraz Homo sovieticus”. Chociaż w PRL-u przynajmniej nikt nie mówił, że mamy państwo prawa. W latach 60. Milovan Đilas, działacz opozycjonista w byłej Jugosławii, dokonał demaskacji takiej karykatury. Mówił, że rządy wbrew oficjalnym deklaracjom sprawuje nie lud pracujący, ale partia, która ulega biurokratyzacji, biuro polityczne, gromadka kilku osób, a koniec końców to dyktator jest demurgiem. Nic dobrego zresztą Dżilasa nie spotkało, ale to otworzyło niektórym oczy. Państwo prawa wymyślono, aby ludzi poddać władzy prawa, a nie dowolnie kształtowanej woli władcy. To koncept jeszcze z XVIII wieku, kiedy cofał się absolutyzm. Kształtowało się wtedy pojęcie obywatela, który miał własne prawa i mógł je przeciwstawić woli panującego. Parlament ograniczał wolę władcy, stanowiąc ogólne reguły, którym i władca powinien się podporządkować w przyszłości. Ale władza nie rezygnowała z szykan. Wtedy trzeba, aby prawo, choć kulawe, jednak dało się wykorzystać jako tarcza. Przecież w czasach germanizacji, gdy Polakom utrudniano budowanie domów czy teatrów. Drzymała osiadł w wozie i mieszał, chociaż obejmował go zakaz pobudowania się w domu z fundamentami. Z wozu go nie wyrugowano. Teatr w Poznaniu zbudowano w podwórzu, bo był zakaz budowy od frontu; kościoły pokoju na Śląsku luteranie pobudowali, pozwalając się na prawo, choć władza zamierzała sparaliżować inicjatywę innowierców i wprowadziła restrykcyjne warunki (nietrwałe materiały, krótkie terminy wznoszenia budowy). Utrudnianie jednostkom korzystania z rzeczy prawa to nic nowego. A uprzykrzanie życia zmierzające do wymuszenia zaniechania planowanej budowy domu, teatru, kościoła to klasyka działania mrozącego.

– Oczywiście, że to oznacza demoralizację, utratę wiary w prawo. Ale niech mnie pani nie pyta o ocenę moralną. To ks. Tischner pisał o tym w książce „Etyka solidarności oraz Homo sovieticus”. Chociaż w PRL-u przynajmniej nikt nie mówił, że mamy państwo prawa. W latach 60. Milovan Đilas, działacz opozycjonista w byłej Jugosławii, dokonał demaskacji takiej karykatury. Mówił, że rządy wbrew oficjalnym deklaracjom sprawuje nie lud pracujący, ale partia, która ulega biurokratyzacji, biuro polityczne, gromadka kilku osób, a koniec końców to dyktator jest demurgiem. Nic dobrego zresztą Dżilasa nie spotkało, ale to otworzyło niektórym oczy.

Państwo prawa wymyślono, aby ludzi poddać władzy prawa, a nie dowolnie kształtowanej woli władcy. To koncept jeszcze z XVIII wieku, kiedy cofał się absolutyzm. Kształtowało się wtedy pojęcie obywatela, który miał własne prawa i mógł je przeciwstawić woli panującego. Parlament ograniczał wolę władcy, stanowiąc ogólne reguły, którym i władca powinien się podporządkować w przyszłości. Ale władza nie rezygnowała z szykan. Wtedy trzeba, aby prawo, choć kulawe, jednak dało się wykorzystać jako tarcza. Przecież w czasach germanizacji, gdy Polakom utrudniano budowanie domów czy teatrów. Drzymała osiadł w wozie i mieszał, chociaż obejmował go zakaz pobudowania się w domu z fundamentami. Z wozu go nie wyrugowano. Teatr w Poznaniu zbudowano w podwórzu, bo był zakaz budowy od frontu; kościoły pokoju na Śląsku luteranie pobudowali, pozwalając się na prawo, choć władza zamierzała sparaliżować inicjatywę innowierców i wprowadziła restrykcyjne warunki (nietrwałe materiały, krótkie terminy wznoszenia budowy). Utrudnianie jednostkom korzystania z rzeczy prawa to nic nowego. A uprzykrzanie życia zmierzające do wymuszenia zaniechania planowanej budowy domu, teatru, kościoła to klasyka działania mrozącego.

Widzę tu pewne podobieństwa – wracając do tematu aborcji.

– ...tak samo jest, gdy ekscesywnemu zakazowi aborcji towarzyszy utrudnianie badań prenatalnych czy wprowadza się rejestr ciąży. Atmosferę wykonywania prawa kreuje się tu w taki sposób, aby – przy zachowaniu pozorów legalizmu – zrobić wszystko, aby nie do-

puścić do nawet legalnego przerwania ciąży, aby zniechęcić do badań.

Prawo dotyczy moralności.

– Prawo ma oczywiście element moralny. Ale ja nie jestem moralistką, mówię o mechanizmie posługiwania się prawem.

Czy prawo to te wszystkie „papiery”, które wychodzą z Sejmu?

– Rozumiem, że pani pyta o ustawy uchwalane w Sejmie? One teraz pojawiają się raczej w wersji elektronicznej, nie papierowej. Ale dobrze, że pani o to zapytała, bo współcześnie pojęcie prawa nie może być redukowane tylko do tego dokumentu, jaki uchwalił Sejm. To jest zaledwie byt abstrakcyjny i potencjalny. Natomiast prawo stosowane, wykonywane – to byt konkretny i sytuacyjny. Ten ostatni jest realizacją pierwszego. Skłonni jesteśmy myśleć, że gdy to, co „w potencji i abstrakcji”, jest w porządku, to i „prawo jako takie” jest w porządku. Otóż nie: dlatego m.in. mamy problem z praworządnością, bo nas oceniają jako członka Unii, członka Rady Europy nie po tym, jak jest u nas „w potencji i abstrakcyjnie”, ale także „sytuacyjnie i konkretnie”.

Interesowała panią anarchia? Zaprzeczanie pani wielkiej pasji.

– Nie bardzo. Podobnie jak nigdy nie uodziła mnie – kusząca dla niektórych prawników – perspektywa siły. W ogólności nie pociągają mnie ciągle u pani wracające w rozmowie rozważania o naturze człowieka i moralności. Ciągnie panią do transcendencji, a ja nie mam cienia zainteresowania tym tematem. Nie jestem transcendentna, raczej prospołeczna, bo demokracja wymaga zaangażowania.

Pani profesor, odwracam więc pytanie: co z kręgosłupem moralnym prawników?

– Posługiwanie się prawem oczywiście wymaga trzech czynników. Po pierwsze – aksjologii, aby wiedzieć, w jakim kierunku szukać rozwiązania. Tego uczą np. prawa człowieka i zasady konstytucyjne. Po drugie, warsztatu prawniczego – jak „obrabiać” kazus, jak się dokonuje wnioskowań i interpretacji, jak ocenia, czy prawo jest relewantne. Przecież muszę ocenić, czy mój kazus jest przykładem reguły, czy wyjątku. To wielki, mało znany powszechnie kompleks wiedzy prawoznawczej, tzw. dogmatyka prawa. Wreszcie, po trzecie, w byciu prawnikiem istotny jest kręgosłup, umiejętność przedstawienia i obrony swego zdania. I dodam: najtrudniej postawić się kolegom – ze składu sędziowskiego, z katedry, z biura czy partii. Decyzja prawna wymaga charakteru. Znałam znakomitych prawników, którzy koniec końców mówili: na cholere będę się szarpać.

Przychodzi mi do głowy film Kieślowskiego, w „Krótkim filmie o zabijaniu” występuje prawnik...

– Nie przepadam za filmami Kieślowskiego.

...pamięta pani, kiedy mówi, że nie zgadza się na karę śmierci swojego klienta, i trwa w tej niezgodzie mimo przegranej?

– Gdybym ja to opowiadała, byłoby w tym mniej emfazy. Ten prawnik powinien robić swoją robotę, nie upajać się swoim własnym stanowiskiem. Jeśli porządnie broniłby porządku prawnego, każdy na swoim odcinku, to wspólnie wykreowany przypływ będzie automatycznie unosił wszystkie łódki i prawo jako całość będzie funkcjonowało poprawnie. Niebezpieczeństwa czyhają na prawników z różnych stron: można mieć braki w aksjologii – wtedy mamy prawnika nieuczulego na prawa człowieka, na standardy wyznaczane przez zasady demokratycznego państwa prawa. Możemy tu mieć prawnika, który głosi oczywiste deklaracje, ale wywraca się na koniecie. Niebezpieczeństwo czyha, gdy dobrze chcemy, a nie potrafimy, bo jesteśmy kiepskimi prawnikami dogmatykami, niesprawnymi legislatorami, nieudolnymi sędziami lub płytkimi nauczycielami prawa. Wreszcie, możemy dobrze chcieć i potrafić, ale nie starcza nam charakteru – i odpuszczamy, bo po co się szarpać. No, ale ideałów nie ma. ●

N A S Z A E U R O P A

Energia przyszłości zmieni mapę geopolityczną

ŚWIATOWY PORZĄDEK
PO FUZJI JĄDROWEJ

Amerykańscy naukowcy ogłosili przełom w dziedzinie fuzji jądrowej. Ta technologia potencjalnie może rozwiązać problemy energetyczne ludzkości, ale ma również daleko idące konsekwencje dla układu sił na świecie.

Clemens Wergin

WELT

Departament Energii USA nazywa zakończony sukcesem eksperyment w kalifornijskim laboratorium „gamechangerem, który przejdzie do historii”, jak twierdzi jego szefowa Jennifer Granholm. Inni idą jeszcze dalej i już porównują go do wynależenia koła czy nawet maszyny parowej, która zapoczątkowała industrializację i przyniosła największy jak dotąd technologiczny skok rozwojowy ludzkości.

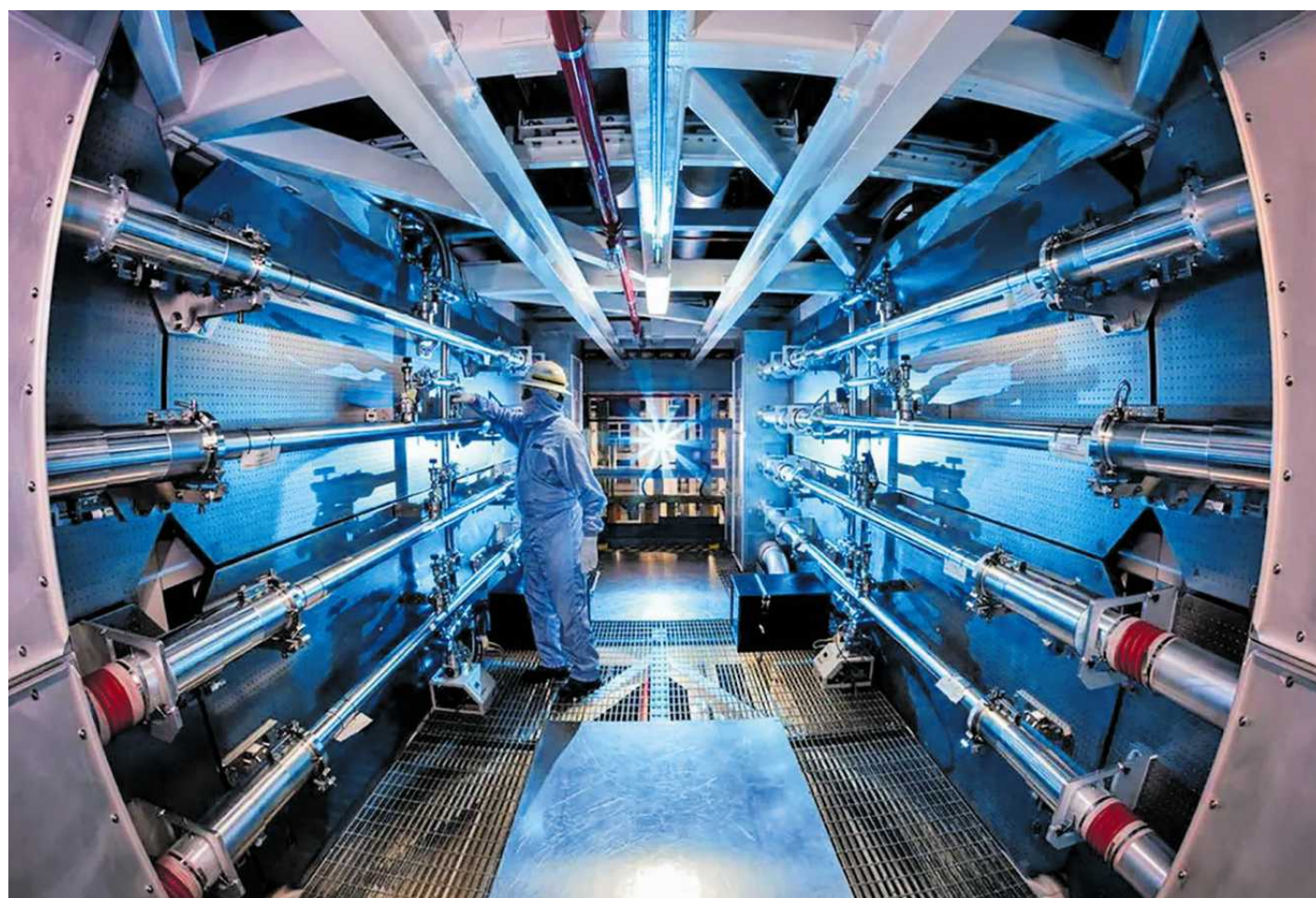
Faktycznie naukowcy z Kalifornii ogłosili w ubiegłym tygodniu przełom w dziedzinie fuzji jądrowej. Osiągnęli mianowicie „próg zapłonu” w instalacji NIF – po raz pierwszy w dziejach w kontrolowanej fuzji jądrowej uzyskano więcej energii, niż użyto jej do rozpalenia reakcji. To rozszczepienie jądra wodoru stanowi wielki przełom na drodze do ujarzmiania nowego źródła energii na Ziemi.

Udało się to osiągnąć po sześciu dekadach prób. Ludzkość zbliżyła się o krok do spełnienia marzenia: znalezienia czystej formy energii, do produkcji której surowce są dostępne w nieograniczonej ilości i która w przeciwieństwie do energii jądrowej nie stwarza problemu z napromienianymi, trudnymi do przechowywania odpadami.

„Fuzja tworzy jedynie niskoaktywne odpady, które nie stanowią zagrożenia” – mówi Sehila González de Vicente, fizyk z Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (IAEA).

REWOLUCJA? TAK,
ALE JESZCZE NIEPRĘDKO

Praktyczne zastosowanie tego osiągnięcia do produkcji energii jest jeszcze odległe. Budowa komercyjnych elektrowni to daleka przyszłość, jest możliwa za kilka dekad. Jednak dzięki udanemu eksperymentowi technologia fuzji jądrowej nie jest już tylko teoretyczną możliwością, ale realną opcją. Eksperci spodziewają się, że technologia ta może wywołać rewolucję w światowym przemyśle energetycznym. A to spowodowałoby istotne zmiany geopolityczne.



Wiadomość ta gruchnęła w czasie, gdy świat przeżywa kryzys energetyczny z powodu rosyjskiej agresji na Ukrainę. Pomimo podejmowanych w ostatnich latach, zwłaszcza na Zachodzie, wysiłków na rzecz przejścia na energię odnawialną ta wojna na wschodzie Europy po raz kolejny pokazała, jak bardzo nasze społeczeństwo i nasz przemysł są uzależnione od paliw kopalnych. I jaką władzę daje to wielkim krajom je eksportującym.

Przed atakiem Putina na Ukrainę Rosja, Indonezja, Australia, Arabia Saudyjska i USA należały do największych na świecie eksporterów gazu, ropy i węgla. To właśnie kraje takie jak Rosja czy Arabia Saudyjska, których narodowy model biznesowy opiera się przede wszystkim na eksporcie energii, uciarpiłyby najbardziej, gdyby w przyszłości powstały reaktory syntezy jądrowej. Bo w związku z tym siła i wpływy geopolityczne tych państw radykalnie by się zmniejszyły.

Z kolei Europa, która w przeciwieństwie do USA jest uzależniona od importu energii, mogłaby dzięki energii termojądrowej uwolnić się od niebezpiecznych zależności.

Coraz wyraźniej widać kontury nowego świata, w którym paliwa kopalne mogą stracić na znaczeniu nawet szybciej, niż dotychczas zakładano

Nie tylko od importu gazu z Rosji, ale też od jeszcze większego uzależnienia, które dopiero zaczyna się rysować w całej pełni: od Chin. Jak wynika z raportu European Council on Foreign Relations, UE otrzymuje od tego kontrolowanego przez partię komunistyczną kraju blisko 60 proc. surowców potrzebnych do skutecznego przejścia na zielone, odnawialne źródła energii.

Chiny są największym na świecie producentem litu. A surowiec ten jest obecnie niezastąpiony w produkcji technologii słonecznej i baterii potrzebnych do mobilności elektrycznej.

Według amerykańskiego naukowca Daniela Yergina, czołowego eksperta od geopolityki energetycznej, w Chinach produkuje się obecnie olbrzymią większość baterii i ogniw fotowoltaicznych, odpowiednio 80 proc. i 70 proc. „Chiny są już nastawione na objęcie roli lidera i zwycięzcy obecnych procesów transformacyjnych, podczas gdy Rosja i bliskowschodni eksporterzy ropy będą ich wielkimi przegranymi. Z kolei bilans dla USA wypadnie prawdopodobnie gdzieś pomiędzy” – tak Yergin podsumował dotychczasowe konsekwencje stopniowej rezygnacji z paliw kopalnych pod wpływem zmian klimatycznych, gdyby miała ona nastąpić bez reaktorów termojądrowych. Technologia fuzji jądrowej znacznie poprawiłaby perspektywy przede wszystkim dla Europy.

KTO SKORZYSTA
NAJBARDZIEJ

Jednak Chiny również skorzystałyby z tego przełomu. Choć kraj ten ma dominują-

• **Technik w instalacji laserowej NIF w Livermore w Kalifornii, gdzie po raz pierwszy osiągnięto w laboratorium dodatni bilans w reakcjach syntezy jądrowej**

FOT. LAWRENCE LIVERMORE NATIONAL LABORATORY

cą pozycję dla transformacji energetycznej pod względem surowcowym i produkcyjnym, to jego gospodarka krajowa i energetyka wciąż opierają się w przeważającej mierze na imporcie paliw kopalnych. Chiny muszą importować trzy czwarte swojego zapotrzebowania na ropę naftową, co sprawia, że są podatne na zagrożenia wynikające z niestabilności globalnych rynków.

Eksperci nazywają to chińskim „dylematem Malakki”, który od dawna nakłada ograniczenia na mocarstwową i agresywną politykę Pekinu. Cieśnina Malakka u wybrzeży Malezji i Singapuru to najkrótsza trasa morską między Bliskim Wschodem a Azją Wschodnią, pomagająca skrócić czas i koszt transportu. Pod względem wolumenu ładunków ta trasa ustępuje tylko cieśninie Ormuz łączącej Zatokę Perską z Oceanem Indyjskim.

Cały chiński przemysł mógłby łatwo zostać odcięty od głównego paliwa w przypadku rozpetanej przez siebie wojny w regionie, np. przez marynarkę wojenną USA. Technologia fuzji jądrowej radykalnie zmniejszyłaby wrażliwość Pekinu w tym zakresie.

Kluczowe jest pytanie, kto zdobędzie pozycję lidera w tej technologii przyszłości. Amerykanie dokonali zdecydowanego

NASZA EUROPA



NA CO TRZEBA BYĆ GOTOWYM

Kiedy skończy się wojna

Do tego potrzebne jest albo rozstrzygnięcie na polu bitwy, albo zmniejszenie oczekiwań podparte wiarą, że druga strona dotrzyma warunków rozejmu. Dlatego wygląda na to, że okopy na długo wrosną w ukraiński krajobraz.

Robert Stefanicki

Niedługo minie rok od rosyjskiej inwazji, a realnego scenariusza zakończenia wojny nie widać. Rosja nie wygrywa, ale wciąż jest za silna i zbyt uparta, żeby się wycofać. Ukraina nie przegrywa, ale wygrać też nie może i choć jest coraz silniejsza militarnie i moralnie, to gospodarczo pogrąża się w nędzę.

Scenariuszy można szukać w przeszłości, chociaż trudno powiedzieć, który z minionych konfliktów najbardziej przypomina ukraiński.

Analogie gołębi i jastrzębi

Ostatnio pojawia się porównanie z I wojną światową. Przywoływane przez gołębi, którzy – ostrzegając przed rozlaniem konfliktu na inne kraje kontynentu – namawiają do rozmów z Putinem i do nieprzesadzania ze zbrojeniem Ukrainy.

Pozornie analogia uprawniona: linie okopów i całkowicie zniszczone miejscowości w pobliżu frontu przypominają tamten tragiczny okres. Na Kremlu liczono na blitzkrieg, a mantrą z wielkiej wojny było, że wszystko „zakończy się przed Bożym Narodzeniem”.

Ale tu podobieństwa się kończą. Do wybuchu w 1914 r. doprowadziła gra w ramach skomplikowanego układu sił i sojuszy, natomiast w 2014 i 2022 r. sprawa była prosta: pokój naruszyło jedno mocarstwo. Europa nie jest podzielona na bloki, Rosja ma do pomocy tylko Białoruś i Iran.

Nieadekwatne są też porównania między obecną sytuacją geopolityczną a tą w przededniu II wojny światowej, stosowane z kolei przez jastrzębi, którzy przestrzegają przed „monachijskimi” ustępstwami wobec Moskwy. Wojna w Ukrainie wciąż ma bardzo ograniczony zasięg, Zachód jest zaangażowany tylko pośrednio i prawdopodobnie tak pozostanie.

Analogia z wojną w Korei jest ciekawa z geopolitycznego punktu widzenia – wtedy i teraz przyspieszył rozłam między Zachodem a osią rosyjsko-chińską. Rozwiązanie koreańskie byłoby wymarzone przez Putina: podział Ukrainy na prozachodni zachód i kontrolowany przez Moskwę wschód.

Sojusznicy Kijowa wskazaliby raczej na przykład wietnamski – scalenia kraju po odparciu okupanta.

Ukraina jak Izrael

W samym Kijowie snują zaś marzenia, żeby być drugim Tel Awiwem – nie tylko dlatego, że Izrael do tej pory wygrał wszystkie swoje wojny.

W marcu prezydent Wołodymyr Zełenski powiedział do Knesetu: „Jesteśmy w zupełnie innych warunkach. Ale zagrożenie jest to samo dla nas i dla was: całkowite zniszczenie narodu, państwa, kultury. A nawet wymazanie z mapy nazw Ukraina i Izrael”.

Przywódcom ukraińskim spodobała się narracja, która zapewnia Izraelowi pomoc Zachodu: że jest przedmurzem europejskiej cywilizacji przed zakusami totalitarnego Wschodu, lecz paralela wyszła niezręcznie, ponieważ Izrael zajmuje ziemie arabskie. Palestyński politolog Asad Gha-

nem stwierdził, że Zełenski haniebnie „odwrócił role okupanta i okupowanego”.

Jest zrozumiałe, że Ukraina nie chce być Palestyną, choć istotnie taki los jej groził. Pewnie i sama Palestyna, gdyby mogła, chętnie zamieniłaby się z Izraelem na miejsce.

Ale pod jednym względem porównanie z Izraelem jest zasadne. Ukraina jako sąsiad Rosji jest skazana na życie w ciągłym zagrożeniu. Jak państwo żydowskie, które ostatecznie byłoby bezpieczniejsze na Madagaskarze lub w Ugandzie, bo i taką lokalizację rozważał Theodor Herzl.

W tym kontekście Zełenski chciałby, aby Ukraina była „dużym Izraelem”: z wysokimi wydatkami na armię i długą, obowiązkową służbą wojskową. „We wszystkich instytucjach będą ludzie z bronią”, mówił wiosną.

I jeśli Zachód chce utrzymać swoje europejskie przedmurze, będzie musiał je długo wspierać, tak jak USA wspierają Izrael. We wrześniu były sekretarz generalny NATO Anders Fogh Rasmussen i Andrzej Jermak, szef sztabu Zełenskiego, zaproponowali „kijowski pakt bezpieczeństwa”, który zmieniłby obecne wsparcie ad hoc dla armii ukraińskiej w systematyczne, długoterminowe zobowiązanie z inwestycjami w przemysł obronny kraju, masowymi transferami uzbrojenia, szkoleniami, wspólnymi ćwiczeniami i wsparciem wywiadowczym Sojuszu.

Problem ze słabymi autokratami

Ta wizja zakłada, że wojna będzie trwała latami. Żeby zrozumieć dlaczego, warto sięgnąć po książkę amerykańskiego politologa Dana Reitera „Jak kończą się wojny” (2014).

Jednym z powodów, dla których nie kończą się szybko, jest brak zaufania. Reiter posłużył się przykładem Wielkiej Brytanii późną wiosną 1940 r., po upadku Francji. Brytyjczycy przegrywali wojnę i nie mieli pewności, czy USA wkroczą na czas, by ich uratować, ale walczyli dalej, ponieważ wiedzieli, że nie można ufać żadnemu układowi z nazistowskimi Niemcami.

Podobnie teraz. Rosja zaatakowała, twierdząc, że nie może ufać, że Ukraina nie zostanie członkiem NATO. A Kijów nie ma żadnego powodu ufać Putinowi.

W II wojnie ten problem został rozwiązany poprzez zniszczenie reżimu nazistowskiego i podział Niemiec. Ale niewiele wojen ma tak bezwzględny skutek. Zwykle kończą się, kiedy jedna lub obie strony rozumieją, że bardziej opłacalne jest ustępstwo.

My uważamy, że Putin się myli, ale ważniejsze jest to, co uważa sam Putin. Analiza przeszłych konfliktów wskazuje, że przywódcy demokratyczni są najbardziej skłonni reagować na sytuację i zmienić kurs, jeśli widzą, że ich okręt wpływa na rafę. Ryzykują najwyższą utratą urzędu. Choć i dla nich zaakceptowanie porażki jest trudne – Amerykanie w Afganistanie wiedzieli, że nie pokonają talibów, na długo zanim zdecydowali się wycofać.

Władcy absolutni, którzy całkowicie kontrolują swój kraj, jeszcze mniej się przejmują opinią publiczną i są gotowi ustąpić, jeśli nie zagrazi to ich władzy. Problem jest ze słabymi autokratami, którzy będą kontynuować wojnę do upadłego, ponieważ przegrana może oznaczać ich śmierć lub wygnanie.

Cztery miesiące po rozpoczęciu I wojny światowej cesarz Wilhelm II spotkał się ze swoim gabinetem wojennym i doszedł do wniosku, że wojny nie da się wygrać. Mimo

to Niemcy walczyły przez kolejne cztery lata, bo monarcha wiedział, że jeśli przegra, zostanie obalony.

Dan Reiter w rozmowie z „New Yorkerem” ocenił, że wojna może się zakończyć bez jednoznacznego wyniku, w rodzaju upadku Federacji Rosyjskiej, ponieważ „całkowite usunięcie zagrożenia bywa zbyt kosztowne”.

Wylanie się wojny poza terytorium Ukrainy lub użycie przez Putina broni jądrowej mogłoby przyspieszyć koniec. Raczej na jego niekorzyść.

W 1917 r. Niemcy, pozbawione nadziei na zwycięstwo, postanowiły wcisnąć pedał gazu: wysłały U-Booty, aby zatapiały okręty wroga. Doprowadziło to do przystąpienia USA do wojny i klęski Niemiec.

Japonia w 1942 r. w obliczu niepowodzeń, chcąc przekonać USA do zaakceptowania układu pokojowego, przyjęła strategię powodowania jak największej liczby ofiar. Ale amerykańska opinia publiczna była gotowa ponieść straty, widząc sukcesy swojej armii.

Trzy dekady później Ameryka wycofała się z Wietnamu, bo straty narastały, a sukcesów nie było i cierpliwość społeczeństwa się wyczerpała.

Ukraińcy udowodnili, że są gotowi ponieść wysokie koszty w obronie ojczyzny. Ale Putin wciąż może – zapewne błędnie – obstawiać słabość Zachodu, bez którego pomocy Ukraina nie przetrwa. Wojna na wyniszczenie ma dla niego tę zaletę, że odracza niekorzystne rozstrzygnięcie i pozwala dalej snuć mrzonki o zwycięstwie.

Systemy mają naturalną zdolność adaptacji: Zachód dostosuje się do odcięcia od rosyjskich surowców, a Rosjanie dostosują się do sankcji. Putin nie upadnie z powodu braku czipów. Dyktatorzy mogą sobie pozwolić na długą grę – a przynajmniej myślał, że mogą. Nie wróży to rychłego zakończenia wojny.

Czym jest zwycięstwo

Aby porozumienie pokojowe było możliwe, przynajmniej jedna ze stron musi ograniczyć swoje żądania. W Ukrainie raczej prędko to nie nastąpi, dynamika na froncie jest zimą niska. Dopiero gdy równowaga się zachwieje, przyda się jakiś listek figowy, na tyle mały, by Ukraina go zaakceptowała, ale wystarczający, by Putin mógł go przedstawić jako zwycięstwo.

Finowie w 1940 r. zrezygnowali z terytorium przygranicznego i małych wysp, aby zakończyć wojnę z ZSRR. W ten sposób – historycy są zgodni – zwyciężyli.

Amerykanie w 1945 r. obiecali, że nie postawią japońskiego cesarza przed sądem, żeby Japonia łatwiej przelknęła przegraną. Po czym Japończycy w trzy dekady zbudowali wielką, innowacyjną gospodarkę.

Zdecydowana większość wojen we współczesnej historii kończyła się nie całkowitym zwycięstwem jednej ze stron, lecz jakąś formą kompromisu. A kapitulacja nader często nie oznaczała końca konfliktu. Złożenie broni przez Konfederację po wojnie secesyjnej w Ameryce nie zasypało różnic politycznych i uprzedzeń rasowych. Rozejm kończący pierwszą wojnę światową doprowadził do drugiej. Pokonanie Hitlera było zaś prologiem zimnej wojny.

Trzeba się przygotować na to, że w wojnę w Ukrainie będzie jak z pandemią COVID-19. Nauczmy się z nią żyć. ●

JAK AMORTYZOWAĆ SKUTKI NOWEJ TECHNOLOGII

Dwa lata temu znani badacze Elias Carayannis, John Draper i Balwant Bhaneja napisali w „Journal of the Knowledge Economy”, że w przypadku udanego eksperymentu fuzji jądrowej miałby on podobne epokowe znaczenie jak pierwszy wybuch bomby atomowej w 1945 r.

Jest to „punkt krytyczny” nie tylko ze względu na możliwe zastosowanie militar-



Chiny są już nastawione na objęcie roli lidera i zwycięzcy obecnych procesów transformacyjnych, podczas gdy Rosja i bliskowschodni eksporterzy ropy będą ich wielkimi przegranymi

ne, ale także dlatego, że technologia ta może mieć potencjalnie „rewolucyjne konsekwencje dla zaopatrzenia w istniejące źródła energii pierwotnej” – napisali.

Komercjalizacja fuzji jądrowej musiałaby przynieść znaczne wstrząsy społeczne i gospodarcze w krajach produkujących węgiel, takich jak Indonezja, najludniejszy kraj muzułmański na świecie, a także w państwach naftowych na Bliskim Wschodzie, które będą musiały całkowicie zmienić model funkcjonowania. Zdaniem badaczy konieczna byłaby międzynarodowa komisja, która amortyzowałaby i regulowała skutki działania tej technologii.

Jeszcze 10 dni temu te możliwości i problemy wydawały się odległe. Ale wraz z ogłoszonym przez kalifornijski zespół z National Ignition Facility przełomem coraz wyraźniej widać kontury nowego świata, w którym paliwa kopalne mogą stracić na znaczeniu nawet szybciej, niż dotychczas zakładano. ●



LENA LEADING — EUROPEAN NEWSPAPER — ALLIANCE

Na oficjalnej stronie wydawnictwa ministerstwa obrony narodowej Rosji Krasnaja Zwiezda pojawiła się broszura „Żyję, walczę, zwyciężam! Reguły życia na froncie”. To zbiór rekomendacji dla żołnierzy biorących udział w „specjalnej operacji wojskowej w Ukrainie” albo będących na razie na tyłach. Przygotowali ją ludzie z doświadczeniem bojowym zdobytym w Afganistanie, na Kaukazie Północnym, a teraz w Ukrainie.

Franc Klineciewicz, lider szerzej nieznanego Rosyjskiego Związku Weteranów Afgani-stanu i Specjalnych Operacji Wojskowych, pisze we wstępie, że „każda wojna jest niepowtarzalna, gdy chodzi o metody jej prowadzenia, charakter teatru działań wojennych, determinację walczących stron”. I dlatego „być nie może jednego kompendium o wszelkich przypadkach działań bojowych”. Niemniej życie codzienne żołnierza, czyli aż 80 proc. jego obecności na wojnie, też wymaga ścisłej regulacji. „Nieznajomość podstawowych reguł niszczy zdrowie bojownika i prowadzi do strat”.

Broszura składa się z 66 krótkich porad – praktycznych, ale i metafizycznych! Oto przykładowe tytułiki:

1. „Co to jest specjalna operacja wojskowa”; 2. „Wielka Ojczyzniana 2.0”; 3. „W Ukrainie bronimy Rosji”; 6. „Ukraińska taktyka – strzelaj i uciekaj”; 8. „Gdzie ponosimy straty i jak samemu taką stratą się nie stać”; 12. „Przeżycia zasada numer 1 – nie wyróżniaj się”; 18. „Fotka w sieciach społecznościach – gratka dla wroga”. I jeszcze: 55. „Sam sobie Ojboli...”.

Ojboli z broszury wojennej to rosyjski doktor z wiersza dla dzieci Kornieja Czulkowskiego (1929):

„Na strapienie, na chorobę,/ na wszystko, co boli,/ znajdzie radę i lekarstwo/ zuch »doktor Ojboli«./ (...) Nad wszystkimi, co chorują,/ rozciąga swą pieczę;/ tysiąc ziólek i kropelek/ ma w swojej aptece” (w trawestacji Mieczysława Siemienińskiego).

Autorzy zalecają żołnierzom Putina zabranie na wojnę jedynie pakietów opatrunkowych czy waty oraz ewentualnie lekarstw antyalergicznym, gdyż w Ukrainie „od środka lata do pierwszych przymrozków kwitnie aktywnie bardzo silny alergen – ambrozja pełnolistna”. Optymizm zaś w serca wszystkich walczących ma wlać akapit:

„Organizm ludzki to system samoorganizujący się, więc im wyższe jest napięcie, tym więcej wewnętrznych rezerw podłącza on do naszej obrony. Nawet w najcięższych warunkach wojny okopowej – podczas chłodu, w przemokniętej i zamarzającej na ciele odzieży, żołnierze praktycznie nie chorują. Dlatego trzymanie przy sobie składu medykamentów nie ma żadnego sensu”.

Mnie zaś, gdy słyszę o „wojnie okopowej”, zaraz przychodzi na myśl czytana od młodości po dziś dzień powieść Remarque’a „Na Zachodzie bez zmian” (1929), ostatnio bardzo adekwatnie sfilmowana:

„Przez dziesięć tygodni ćwiczone nas w rzemiośle wojskowym i w tym czasie przeobrażono nas gruntowniej niż przez dziesięć lat szkoły. Przyuczono nas, że oczyszczony guzik ważniejszy jest od czterech tomów Schopenhauera. Zdumieni na-przód, potem rozjątrzeni i zacięci, a wreszcie zubożeni, poznaliśmy, iż najważniejszy wydaje się nie duch, lecz szczotka do butów, nie myśl, lecz system, nie swoboda, lecz rygor. Po upływie trzech tygodni nie było już dla nas niepojęte, że listonosz opatrzonej w naszywki ma więcej władzy nad nami niż wszystkie bez wyjątku kręgi kultury od Platona po Goethego włącznie” (przekład Stefana Napierskiego).

Wątpię, by wśród żołnierzy Putina znalazł się w przyszłości jakiś Remarque.

Jednak wiele z tego, co czytamy w niemieckiej powieści, da się zastosować i do



Adam Michnik poleca

CZY ZNAJDZIE SIĘ ROSYJSKI REMARQUE

**„Wychodząc od bezgranicznej wolności,
kończę bezgranicznym despotyzmem”.**

Putin interpretuje Dostojewskiego

Grzegorz Przebinda*

obecnej wojny. Zabija bowiem nie kultura, ale antykultura. Oto Putin podczas ostatniego, z 27 października, skrajnie antyzachodniego przemówienia na Forum Wajdajskim znów powoływał się na Dostojewskiego. Te jego odwołania do „Biesów” i „Braci Karamazow”, a nawet do przemówienia harwardzkiego (1978) Solżenicyna to oczywiste jawne zafalszowanie świata idei i wartości obu tych pisarzy-proroków. Dostojewskiego przenicował tak:

„Wszystko to jeszcze w XXI wieku pro-roczno przepowiedział Fiodor Michajłowicz Dostojewski. Jeden z bohaterów jego powieści »Biesy« – nihilista Szygalow, tak opisał wymyśloną przez siebie świetlaną przyszłość – »wychodząc od bezgranicznej wolności, kończę bezgranicznym despotyzmem«. I do tego notabene doszli właśnie nasi zachodni oponenci...”

Szygalowowi wtóruje inny bohater powieści – Piotr Wierchowieniecki, twierdząc, że konieczna będzie teraz powszechna zdrada, donosicielstwo, szpiegostwo, gdyż społeczeństwo nie potrzebuje ani talentów, ani jakichś wyższych zdolności: »Cyceronowi trzeba uciąć język, Kopernikowi wykluć oczy, Szekspira ukamienować«. Oto do czego dochodzą nasi zachodni oponenci. Byli ongiś wielcy myśliciele, a ja – uczciwie to powiem – wdzięczny je-

stem moim pomocnikom, że wyszukali dla mnie te cytaty”.

Putin ma nade mną przewagę, bo Dostojewskiego nigdy tak naprawdę nie przeczytał. A gdyby to teraz jakimś cudem zrobił, może dostrzegłby w lustrze, iż Szygalow to wszak XIX-wieczny kagiebiista, który dziś bardzo by się radował pojętym uczniem. Ten co prawda nigdy od bezgranicznej wolności nie wychodził, ale na drodze do powszechnego zniewolenia – z cenzurą, donosicielstwem i szpiegostwem – poczynił niemałe postępy. Przebił zresztą Wierchowienieckiego, bo ten przynajmniej walił prosto z mostu. Putin tymczasem na pytanie prowadzącego, czy w ciągu ostatniego roku dowiedział się choć trochę o swym państwie, wykręcił kota ogonem:

„Oczywiście są pewne ubytki, mam na myśli straty związane z przeprowadzaniem specjalnej operacji wojskowej, są też straty ekonomiczne. Ale są też ogromne zyski”; w sumie „będzie to ogromna korzyść dla Rosji i dla jej przyszłości”. Tu by chyba nawet Szygalow z Wierchowienieckim rozdziałili usta z przerażeniem.

Remarque w późnej książce „Noc w Lizbonie” (1962) wspomina, że jedną z ulubionych lektur Hitlera był „Winnetou” Maya. W powieści mówi to jeden

z bohaterów, ale naukowo potwierdza ów fakt Timothy W. Ryback w pracy „Prywatna biblioteka Hitlera”. I włącza do katalogu książek, które Hitler czytał z wypiekami na twarzy, także „Don Kichota”, „Podróż Guliwera”, „Chatę wuja Toma” i „Robinsona Crusoe”.

Trudno jednak zgodzić się z tym autorem, gdy nadaje swej pracy podtytuł „Książki, które go ukształtowały”. Wszyscy wszak czytaliśmy kiedyś tych autorów, ale co z tego miałyby dziś wynikać? Różnica zaś między Hitlerem a Putinem – na korzyść tego pierwszego! – jest taka, że obecny führer Rosji w ogóle nie czyta autorów, których cytuje, żeruje tylko na wyimkach podsuwanych mu przez akolitów.

Już 10 października 2006 r. Putin przybył jako prezydent do znanego sobie z czasów kagiebowski-szpiegowskich Drezna, aby odsłaniać wraz z Angelą Merkel pomnik Dostojewskiego. Wygłosił przemowę, którą z dzisiejszej perspektywy śmiało możemy nazwać kolejnym etapem fundamentalnego zafalszowywania etycznych pojęć. Powiedział, że odsłonięcie pomnika Dostojewskiego w Dreźnie dobitnie świadczy, iż „żyjemy we wspólnej przestrzeni europejskiej”.

Gdyby jednak ktoś znowu zapragnął dowodzić, że skoro Dostojewskiego chwalił sam Putin, to pisarz ten odpowiada za zbrodnie w Buczy, Irpinu czy Mariupolu, zgłaszam sprzeciw. Powołać się mogą na cytaty z „Ogrodu nauk” Miłosza: „Ten i ów z nas myśli czasem o Feliksie Dzierżyńskim, który potrafił recytować z pamięci całe strofy z »Króla-Ducha«”. Czyżby za straszne zbrodnie w Rosji naszego ziomka odpowiedzialny był także Juliusz Słowacki?

11 listopada 2021 r. Putin przybył na otwarcie Muzeum Dostojewskiego w Moskwie, założonego w budynku dawnego szpitala dla biednych, gdzie pisarz – syn lekarza tegoż szpitala – spędził dzieciństwo i wczesną młodość. 24 stycznia 2018 r. prezydent Rosji odwiedził na Tagance Muzeum Władimira Wysockiego, z okazji 80. rocznicy jego urodzin, w listopadzie 2018 r. brał udział w odsłonięciu pierwszego w Moskwie pomnika Iwana Turgieniewa. We wrześniu 2016 r. przybył do Muzeum Lwa Tolstoja w Jasnej Polanie, a 11 grudnia 2018 r. – co widziałem z bliska – przemawiał na odsłonięciu pomnika Solżenicyna w Moskwie.

Jeżeli dodamy do tego jeszcze prezydencki dekret z listopada 2021 r. o świętowaniu we wrześniu 2022 r. stulecia urodzin pisarza i myśliciela emigracyjnego Aleksandra Zinowiewa (1922-2006), to dojdziemy do wniosku, że obecny prezydent Rosji traktuje podobne rocznice jako fragment swej wielkiej wojny o historyczną pamięć, będącej z kolei – jak to opisał badacz Siergiej Mied-



wiediew – jedną z czterech wojen duchowych toczonych przez Putina z Zachodem.

Zinowjew notabene, w ostatnich 20 latach życia doktrynerski stalinista, może być Putinowi najbardziej użyteczny.

Jednym z „doradców kulturalnych” Putina jest niegdysiejszy wzięty reżyser Nikita Michalkow (ur. w 1945 r), dziś wysoko opłacany antyeuropejski propagandysta. Za Jelcyna podlizywał się, jak mógł, pierwszemu prezydentowi Rosji, popierając go np. bezwstydnie z trybuny – w jego obecności – podczas kampanii prezydenckiej w 1996 r.: „Borys Nikołajewicz jest Rosjaninem [tu Michalkow strzela oczkami po słuchaczach i prezentuje antysemicki uśmieszek], jest on także, przepraszam, chłopem. A Rosja to rzeczownik rodzaju żeńskiego i chłop jest jej niezbędny. Ha, ha, ha”.

Dzierżyński recytował z pamięci całe strofy z „Króla-Ducha”.

Czy za jego zbrodnie odpowiada Słowacki?

Teraz nawołuje publicznie do zamknięcia bardzo potrzebnego historycznego Centrum Jelcyna w Jekaterynburgu. Bo dziś Michalkow potępia w czambuł jelcynowskie lata 90.

Gdy chodzi o Putina, to eksreżyser jest nie tylko jego zajadłym apologetą, ale też jednym ze ścisłego grona „ojców duchowych”. Uczy prezydenta „właściwej historii” kraju i poleca mu do lektury, wybiórczej!, niektóre dziełka emigracyjnego monarchisty Iwana Iljina (1883-1954).

Putin zatem w mowie na Kremlu – podczas aktu podpisywania nielegalnej aneksji czterech obwodów Ukrainy – powołał się na Iljina. Tym razem podsunęto mu dosyć banalny fragment: „Jeśli uważam za swą Ojczyznę – Rosję, znaczy to, iż po rosyjsku kocham, myślę i kontempluję, po rosyjsku śpiewam, mówię. Wierzę w siły duchowe narodu rosyjskiego. Jego duch – to mój duch, a jego los – to mój los, jego cierpienia – to moja rozpacz, a jego rozkwit – to moja radość”.

To wyimek z broszury „O narodową Rosję. Manifest ruchu rosyjskiego” (1937). Ponieważ jednak znam Iljina na pewno lepiej

niż Putin, bo czytałem go w Monachium jeszcze w czasach, gdy jego obecny miłośnik był w Dreźnie szpiegiem, przywołam inny wyimek:

„Agresor winien zawsze pamiętać, że zajęcie przez wojska i ogłoszenie »aneksji« często bywa dopiero POCZĄTKIEM walki, że przyłączenie siłą terytoriów i narodów stać się może dla samego podbijającego wewnętrznym nieszczęściem, historycznym przekleństwem i początkiem końca”.

A niedawna – 11 listopada, czyli dokładnie na urodziny Dostojewskiego! – utrata przez Rosję Chersonia i ogromna radość pozostałych tam Ukraińców, heroicznym mieszkańców tego okupowanego od początku marca 2022 r. miasta, dowodzą prawdziwości akurat tego konkretnego przekonania Iljina.

religii – bez przymusu, a podług głosu sumienia – stanęło w żołnierskim szeregu, aby walczyć ze złem. Tak w historii było tylko raz – podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, gdy nasi dziadowie walczyli z szatańskim faszyzmem. A dzisiaj my – prawosławni, muzułmanie, buddyści i szamaniści – walczyliśmy w jednym szeregu przeciwko ukraińskiemu nacjonalizmowi i stojącemu za nim światowemu satanizmowi. I może nie żartował nasz Prezydent, gdy mówił, że »my jako męczennicy trafimy do raj, a oni po prostu zdechną«”.

Tę słynną dziś na cały świat frazę wyrzucił z siebie Putin cztery lata temu, też na Władaju, gdy groził Zachodowi, potencjalnemu – w jego oczach – agresorowi, broniąją drową. Salka zareagowała na to wtedy beztrojskim rechotem, a Putin zdołał dorzucić: „Dlatego że nie zdążą nawet się pokajać...”.

Prowadzący obecne spotkanie na Władaju zapytał Putina o tamtą „rajską szarżę” z 2018 r., sugerując: „Niespieszno nam do raj, prawda?”. Putin zmarszczył teatralnie czoło i odpowiedział wymownym milczeniem. Prowadzący ostrożnie nalegał: „Zamyślił się pan, a to już niepokoi”. Na co Putin z lotrzykowskim uśmieszkiem: „A specjalnie się zamyśliłem, żebyście się niepokoiili”.

To kolejny dowód, że ten dożywotni prezydent FR jest figurą na miarę Smierdakowa z „Braci Karamazow”, niemniej jednak śmiertelnie groźną dla całego normalnego świata. Ten ma się zresztą w przewidywaniach putinowców nieodwołalnie kurczyć, bo autorzy broszury na pytanie, co będzie, gdy książeczka wpadnie w ręce wroga, odpowiadają: „Niech czytają. Wcześniej czy później Ukraińcy znowu staną się Rosjanami, dlatego że Rosjanami zawsze byli. Specjalna operacja wojskowa skończy się, a dzisiejsi ukraińscy wojskowi znowu będą ramie w ramie z rosyjskimi wojownikami stawiać opór Zachodowi, który sprowokował tę bratobójczą wojnę”.

W broszurze „Żyję, walczę, zwyciężam!” jest jeszcze paragraf 60 „Nie używaj alkoholu, bo będziesz nieboszczykiem”. Autorzy odrzucają tu popu-

• Sierpień 2008 r., premier Putin na pogrzebie Sołżenicyna

FOT. MISHA JAPARIDZE/AP

larny w armii rosyjskiej, i nie tylko zresztą, pogląd, że „sto gramów” dodaje żołnierzowi animuszu: „Hałas pijacki przyciągnie uwagę przeciwnika, który nawrzuca wam do okopów min...”; „Jedynie, do czego nadaje się na froncie wódka, to do higieny ciała, gdy nie ma możliwości kąpieli”, a także „do zmiękczenia skóry w butach z cholewami”: „Namaczaj je obficie od wewnątrz wódką i noś na nogach, aż wyschną”...

Zasłużony dla walki z putinizmem Władimir Osieczkin (rocznik 1981) informuje na youtubowym kanale „Chodorkowski Life”, że za nieprzestrzeganie pkt 17 broszury „Idiota z komórką sam sobie wrogiem” oraz tego o szkodliwości „stu gramów” czeka ją w najemnych oddziałach Prigożyna konkretne kary. Pewien zwербowany przez prigożynowski CZWK Wagner niedawny więzień, który się z Osieczkinem potajemnie skontaktował, mówił, że pokazano im puszkę z dwoma odciętymi jakimś innemu więźniowi palcami. Kara była zastosowana za kupno telefonu komórkowego od ludności miejscowej w Donbasie, bo dowódcy wymagają, by wszelka łączność ze światem zewnętrznym dokonywała się tylko ich kanałami.

Wszelkie wyobrażenie ludzkie przekroczyła pokazana w sieci przez wykonawców straszna egzekucja zbiegłego z armii Prigożyna, zwербowanego na wojnę z Ukrainą więźnia o nazwisku Nużyn. Został wydany w łapy wagnerowców tegoż Prigożyna, w ramach wymiany jeńców, przez Ukraińców i stracił niedawno życie w jakichś mrocznych podziemnych kazamatach uderzony w głowę „kuwałdą”, czyli młotem kowalskim.

Tu oniemieli by ze zgrozy Dostojewski, Sołżenicyn, Szalamow. Przywołam jeszcze cytaty ze „Wspomnień z martwego domu” Dostojewskiego: „Tu otwierał się inny, odrębny świat, do niczego niepodobny; tu panowały inne, odrębne prawa, inne obyczaje, inne nawyki i odruchy”; tu trwali „ludzie niezwykli”.

Niezwykli do tego stopnia, że trudno byłoby – gdyby nie te odcięte palce i głowa rozbita młotem kowalskim, a także stosy walających się po ukraińskich stepach i równinach niepochowanych trupów – w ogóle uwierzyć w ich istnienie. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Grzegorz Przebinda

• ur. w 1959 r., rusycysta i historyk idei, profesor UJ. Ostatnio wydał „From Chaadayev to Solovoyov. Russian Modern Thinkers Between East and West”, seria „Eastern European Culture, Politics and Societies”, wyd. Irena Grudzińska-Gross, vol. 20, Peter Lang 2022

Więcej: [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA:
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipek, Tomasz Lebiada, Krzysztof Pietrasik

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Z JERZYM KRYSZAKIEM
– AKTOREM I SATYRYKIEM –
ROZMAWIA **AGATA CAŁKOWSKA**

W kawiarni, niedaleko Teatru Ateneum, z którym Jerzy Kryszak związany był przez dziesięć lat zawodowego życia, pokazuje mi w laptopie zdjęcia rosy, którą uchwycił w swoim ogrodzie. Od kilku lat fotografuje przyrodę, ale rozmowę zaczyna od internetu.

– Uwielbiam internet, bo to wynalazek, o którym nikt z mojego pokolenia nie myślał, że może się pojawić. To taka rzeka pełna wspaniałości, ale i śmieci, z najgorszymi ludzkimi myślami i pragnieniami. Poczuli się ci ludzie jak ryba w wodzie, zwłaszcza gdy piszą anonimowo, a wtedy potwornie uderzają, obrzydliwie nawet. Nawet politycy zapomnieli, że słowo „parlament” pochodzi od słów parlamentarnych i na Twitterach posługują się językiem podobnym do spotkań pod budkami z piwem. Może pani nie pamięta, ale stały w miastach i do godziny 10 serwowano w nich piwo. No i stali panowie, toi toiów nie znano, po jednej stronie pili, po drugiej się odlewali, a pośrodku ławeczka, na pewno nie patriotyczna. Do 10 picie, potem trzeźwienie, a potem nerwy, że już nie ma tego piwa. I to jest obecnie język rządowy w odpowiedziach na pytania opozycji, która siłą rzeczy odpowiada tak samo, bo gdyby skuliła uszy, to pewnie dostałaby mocniej. Coś obrzydliwego.

A te zdjęcia rosy, przyrody to ucieczka od tego „knapianego” otoczenia?

– Pokażę pani krople wody na pajęczynie, którymi się zachwyciłem, o, na tych woskowanych liściach krople się pięknie zatrzymały, w takim zawieszeniu, i ten kolor... Mam w tym moim ogrodzie taką stałą ekipę roślin i zwierząt, którą fotografuję. Kiedyś usuwałem pajęczyny, ale przestałem, gdy doceniłem ich urodę.

Ale skąd to?

– Samo przyszło i nigdy sam nie nazwę siebie artystą fotografii, bo obraziłbym genialnych twórców. Dla mnie to szukanie innego świata, a z podglądania przyrody moglibyśmy się dużo nauczyć, ale nie nauczymy, bo nie chcemy. Człowiecza duma nam nie pozwala.

A jak myśli pan o swoim życiu, to czuje pan spełnienie?

– Spełniony to chyba tylko ten, co za chwilę już nie wstanie i się z nim pożegnamy albo nie zdążymy. Póki żyjemy, nie będziemy spełnieni, bo zawsze jest coś do zrobienia albo czegoś szukamy. Najpierw jako dzieci myślimy, że poznamy świat jak swoją ulicę, sąsiadów, szkołę, potem przyswajamy kolejne informacje, a potem widzimy, że ten świat jest zbyt bogaty w wiadomości, by go ogarnąć, poznać, ale szukamy dalej, bo chcemy widzieć więcej i więcej.

Czego pan się dowiedział?

– Że historia niczego nas nie uczy. To, co robi teraz Putin, to przecież tak straszna powtórka, że aż kpina. Czy on nie wie, jak to się kończy? Jak kończyli mu podobni?

Według sondaży na PiS głosują osoby w wieku powyżej 55 lat. Powinni mieć lepszą pamięć historyczną.

– Ale zamiast tego mają tęsknotę za kimś, na kogo mogą liczyć. Żyli w czasach, gdy nie było nie tylko wyborów politycznych, ale także życiowych było mniej, i tak im zostało. Mają przewodnika, który nie daje wyboru, tylko mówi: idziemy tam, więc idą, bo zdejmuję z nich odpowiedzialność za decyzje, a to, co zostanie, zwałą na Boga. A że



Kropła

ŻARTU NA PAJĘCZYNIE

Może by ktoś Kaczyńskiemu zrobił te teczki na ludzi w wersji cyfrowej, bo jak się spalą, to będzie dramat.



• Rok 1983,
Jerzy Kryszak
z Ewą Telegą
w „Kasztelance”
Marka
Nowickiego
FOT. INPLUS/EAST NEWS

poszliśmy, wstaliśmy z kolan i uderzyliśmy w sufit? Tak musiało być. Bóg tak chciał, tylko że ten sufit nie dla wszystkich jest równie wysoko, wystarczy spojrzeć po przedstawicielach partii.

A Kaczyński? Jest 30 lat w polityce, nie jest głupi przecież. Czy on nie wie, jak takie systemy kończą?
– A może tego się od środka nie widzi?

Pan widzi z zewnątrz tak bardzo, że nawet dochodzi do spojrzenia satyrycznego. Ale czy to znaczy, że pan to musi godzinami oglądać, by się potem pośmiać?
– Próbuję się trochę odseparowywać, bo był taki moment, że myślałem, że zwariuję. Czekać na konferencje, potem na riposty, a potem na komentarze. Nie do przeżycia. No i jeszcze informacje o 19, ale od kilku lat nie jest to pozycja obowiązkowa. Pomaga internet.

A ten ostatni popis Kaczyńskiego z piciem młodych kobiet to woda na młyn dla kabareciarzy czy już tak śmieszne, że nie ma jak obśmiać?
– No tak, nie wiadomo, co ten pan powiedział, czy mu przeinaczyli, czy wyrwali z kontekstu, i nie wiadomo, czy ta 12-latka to pije, czy ona chce być

chłopcem? A ta 25-latka, jak już zacznie pić, to dwa lata i koniec, i właściwie to gdzie ją można spotkać? Gdzieś chodzi pod domami, może poza miastem można ją spotkać? Na dworcu, w noclegowni? Można z tego drwić bez końca. To jest trochę tak, jakbym chciał skarykaturować karykaturę.

Od lat żartuje pan z polityków, ale czy żartuje też z ich elektoratu?
– No więc walczę z sobą, bo nie mogę stawać przed mikrofonem i krzywdzić ludzi, zarzucając im głupotę, krótkowzroczność, że są bezmyślni, bo nie skończyli szkoły. Trzeba dać tym ludziom szansę, może zrozumieją, że są zmanipulowani.

Czyli odwiedzając twardy elektorat, łagodzi pan program?

ma być? Ale zaraz... W ogóle nie lubię słowa „żona”... Już w nim jest jakaś segregacja, jak ten drugi sort, mówiąc językiem prezesa. Mąż to brzmi dumnie, samiec, przewodnik, mąż stanu...

Brał pan udział w Strajkach Kobiet?
– Nie, bo od lat nie uczestniczę w imprezach masowych. Żadnych. Nie nadaję się, bardzo źle czuję się w tłumie, przeszkadza mi też rozpoznawalność. Ostatni raz na przykład na meczu piłkarskim byłem jako dziesięciolatek w Kaliszu, gdy jedyne przekleństwo to było „sędzia kalosz!”.

Kiedy pan pierwszy raz zauważył tę nierówność wobec kobiet?
– Od szkoły podstawowej przyjaźniłem się z dwiema dziewczynami i jednym chłopakiem, tworzyliśmy paczkę.

lincz, jak mogłeś?”. A to było w czasach, gdy JP2 był w Watykanie może jakieś dziesięć lat, więc temat jeszcze gorący. A jeszcze mój występ był w sali pod wezwaniem jakiegoś świętego, no więc zażartowałem i doszedłem do Kwaśniewskiego, który się na papierze powoływał, i anegdota jego dotyczyła. Ale z czego się dzisiaj śmiać, skoro mamy wysyp pomników JP2 i Lecha Kaczyńskiego, a co skłania mnie tylko do zadania pytania: czy ktoś te pomniki widział z bliska, zanim je postavili? To są przecież karykatury, jak kasztanka Pilsudskiego w Miechowie, który wygląda jak kopnieta w zadek sarenka. A co do Pilsudskiego, to miał odwagę powiedzieć o nas, że „naród wspaniała, ale ludzie kurwy”, no i jakoś nikt nie protestuje, nie obraża się, nikt nie zarzuca mu braku patriotyzmu, więc

Z Kaczyńskiego można drwić bez końca. To trochę tak, jakbym chciał skarykaturować karykaturę

– Kilka dni temu podszedł akustyk z miejscowości, w której odbywała się próba, i tak cicho mówi: „Panie Jurku, Jezu, czy wie pan, gdzie pan jest?”. Trzy razy mi biedak zadał to pytanie. Odpowiadam, że się mniej więcej orientuję, ale z tejże miejscowości nie poczułem wrogości, można było dojrzeć kilka spiętych twarzy, ale przyjęcie było wspaniałe, jeden z fajniejszych wieczorów.

Ale polityków bez litości pan traktował. Ktoś się obraził?
– Przez lata robiłem głupie żarty z Aleksandra Kwaśniewskiego i były sygnały, że to źle widziane. Ale to był mój protest przeciwko tej sprzedaży wizerunku, że odchudzamy się trzy miesiące, opalamy, zakładamy niebieską koszulę i krawat, tańczymy z każdym, kto podejdzie. Wiem, że z jakiegoś powodu ludzie wybierają nie tego rozsądnie mówiącego, tylko tańczącego, a jednak ciągle mnie to dziwi, że to wciąga, że przyjechał do nas, wziął od nas ogórka, chleba i powiedział, że dobry smalec. No nasz chłop, bo zjadł, nie wypłuł, tańczył, selfie zrobił. Muszę to obśmiewać. Zaraz znowu Trump będzie jeździł po Ameryce i się przeczesywał. No i ludzie to nawet naśladują, chcą być tak kolorowi albo piękni i żyć jak piłkarz, który zarabia 40 milionów, i mieć taką jak on dziewczynę. To jest też cudowne, że ten świat futbolowy jest w jakiś sposób groteskowy, że kategoria tych żon w całym świecie piłki jest taka sama.

Patrząc na te żony piłkarzy przy meczach, określane jako dodatek, to czy pan wierzy w emancypację kobiet?
– Dotyka pani tematu, którego nie rozumiem. Dlaczego kobiety pozwoliły, żeby im ci faceci siedli na głowę? W którym momencie to nastąpiło? Obwiniam religię, ponieważ tam faceci poczuli władzę, kasę i własność. Byli samcami alfa. Ale my walczymy o równouprawnienie w 2022 roku! Chryste Panie! Ile to lat trwa, to męskie trzymanie władzy, czyli przywileju, czyli łatwość męskiego życia, w którym kobieta ma zapieprzać, rodzić i siedzieć w kącie, a czasami ją ubiorę i się pochwalę. To niesamowite, że nasz gatunek traktuje kobietę jako podgatunek. Jeśli moja żona ma nie być moją partnerką, to kim

Potem w liceum, a byłem w męskim, one w żeńskim. Ale spotykaliśmy się po domach, graliśmy w brydża i nie było gradacji, że to chłopiec, a to dziewczynka. Nigdy też w domu rodzinnym nie widziałem przesuwania na drugi plan mamy czy siostry. Teraz słyszę, że przy prezydencie powstaje kolejna rada ds. szkolnictwa i na 25 osób nie ma w niej żadnej kobiety. No to przepraszam bardzo...

Skoro pani Agata Duda ani razu nie zabrała publicznie głosu?
– No gdyby знаła pani tak dobrze niemiecki, to też by się pani w obecnej Polsce nie odzywała. A jeszcze przy prezisie wymyslnie się: „ja, ja”? Germanistka? Po niemiecku? Przy patriotcie? Przy kocie?

A jak pan obserwuje młodych kabareciarzy, stand-uperów, to co pan widzi?
– Raczej nie obserwuję, nie znam, jednego poznałem w podróży. Bardzo fajny chłopak. Miał kilka dobrych żartów, na przykład taki, że ma apartament na Złotej w Warszawie, kasę jak lodu, no i fajnie się ubrał, podjechał windą do drzwi, otworzył mu Lewandowski, a on, trzymając szklankę, zapytał: „Nie masz przypadkiem trochę glutenu”? Mnie bardzo rozbawił.
Ale też to młodsze pokolenie inaczej podchodzi do spraw wizerunku, na przykład ścianki dla nich to część życia zawodowego, a na tych ściankach już nie ma ubrań, są wystylizowani. Genialne. A ile można mieć stylizacji jednego dnia, to nawet nie wiedziałem. Bo ja, jak się dowiedziałem, mam codzienną stylizację chodakowo-szalikową? Rewelacyjne.

A dlaczego pan ich nie ogląda?
– Aż tak za kabaretem nie przepadam. Życie pod tym względem jest niedościgłe, natomiast często chłopcy poruszają tematy, których nie lubię dotykać, a nawet oglądać, jak opisy seksu czy wchodzenie w ocenę cudzej wiary.

Z Jana Pawła II pan nie żartował?
– Raz zażartowałem w Kanadzie, kolega usłyszał i mówi: „Jezu, zaraz będzie

wszyscy myślą chyba, że widocznie tak jest.

Z tą wiarą to u pana chyba głębiej, bo urodził się pan i wychowywał w Kaliszu, w rodzinie katolickiej.
– Powiem szczerze, że rodzice chodzili na msze, ale na godzinę 13, bo wtedy trwała tylko pół godziny, a ja na 10, bo to było dla nas miejsce spotkań. Nikt nie wchodził do środka, wszyscy stali przed kościołem i zrywało się na spacer.

A potem prosto z tego Kalisza na krakowską Akademię Teatralną?
– Z musu, bo Łódź mnie nie chciała. Pani profesor nie podobał się mój matowy głos i na moje miejsce wszedł Krzysztof Stroiński. Miałem jeszcze próbować, ale zrezygnowałem i wyjechałem do ciotki, do Francji, miałem tam zostać, ale posłuchałem Chopina w radiu, popłakałem się i mówię sobie: wracam.

To żart z tym Chopinem?
– Nie, poważnie, pamiętam, że pierwszy raz płakałem, słuchając Chopina, gdy miałem dziesięć lat. Martha Argerich. Jak ona grała! W ogóle w dzieciństwie byłem lekki wrażliwiec, czytałem wiersze, siostra grała na pianinie, sam się uczyłem grać, ale wracając do tematu... jak mnie nie przyjęli do Łodzi, to kolega powiedział, żebym zdawał do Krakowa. Było 16 miejsc, byłem 17, ale byłem spokojny, bo były cztery tzw. miejsca rektorskie. Tudne studia, ale fantastyczne.

A dzisiaj mówi się, że trudno na studiach teatralnych, bo przemoc.
– Pamiętam fuksówkę, ale byliśmy takim rocznikiem, że niektórzy byli starsi niż ci starsi, co przyszli po nas, miałem nawet kolegę, który dostał się do szkoły za piątym razem. A skoro byliśmy starsi od tych starszych, no to ta fuksówka nie bardzo im wyszła, bo jak mieli do nas podskoczyć? Taki lekko głupkowaty zwyczaj jak fala w wojsku, całe szczęście zanikająca. Szkoła była świetna i całymi dniami siedzieliśmy w niej, bo to jest proste – jak czegoś nie lubisz, to nie polubisz, nie ma cudów. Mnie się udało.

Szybko trafił pan do teatru?

– Pod koniec studiów już czułem, że podpiszę umowę z Teatrem Słowackiego w Krakowie i tak się stało, chciał mnie dyrektor artystyczny Jerzy Krasowski. Reżyserował mój dyplom „Thermidor”. Zagrałem we wszystkich sztukach Stanisławy Przybyszewskiej, które dziś mówią prawdę o współczesnych politykach nawet gęściej niż Szekspir.

Pamiętam, jak przyjechaliśmy ze spektaklem dyplomowym do Warszawy i do garderoby wszedł Adam Hanuszkiewicz z pytaniem, czybym u niego nie zagrał, ale Krasowski odpowiedział: „On już jest u mnie”. Adam już był postacią w teatrze, mówiło się, że jeśli ktoś w teatrze zaistniał, to dzięki niemu, i miałem taki przeblysł, że może się pospieszyłem z podpisaniem tej umowy ze Słowackim.

Wiem, że wielu ludziom nie udaje się złapać swojej drogi, po której fajnie się idzie. Ja miałem szczęście. Ładnie mi się szło...

Po czterech latach w Krakowie przenosi się pan na warszawskie deski, bo...?

– ...Bo pokłóciłem się z żoną dyrektora. On mnie chciał, ale nie miał czasu reżyserować, ona miała czas, ale mnie nie chciała, wolała swoich ulubieńców. Pojechałem gościnnie do Rzeszowa grać księcia Konstantego. Chciałem go wykreować na faceta, który zamierza być Polakiem, bohaterem romantycznym, ale ta żona dawała mi odczuć, że jej się to nie podoba. Wtedy kolega, który miał etat w Ateneum w Warszawie, szepnął o mnie Januszowi Warmińskiemu, mojemu guru, pierwszemu i ostatniemu. Zauważyli mnie na tym spektaklu. Kiedy do stałem telefon z Ateneum, to mi tchu zabrakło. To był wtedy dla mnie teatr pierwszy, jedyny i ostatni. Warmiński, wspaniały człowiek, z ogromną klasą, z niespotykaną miłością do teatru, niezwykle czuły przy pozorach dystansu. Uwielbiałem go rozbawiać, śmiał się całym sobą.

A poza teatrem gra pan wtedy w filmach Falka, Holland. Dlaczego porzucił pan zawód aktora na rzecz kariery estradowej?

– W zasadzie to wołałem telewizję, bo mogłem zobaczyć dubel i jeszcze coś poprawić. Proszę pamiętać, że grałem w filmach, kiedy zarejestrowane sceny przychodziły wydane po tygodniu, po dwóch, z laboratorium. Puszka wracała, był pokaz dubli i już nic nie można było poprawić, tylko przyciąć wcześniej lub później. Nie wiedziałem, co zagrałem, a co widziała kamera. Nie lubiłem też powtarzać bez przerwy tego same-

go. Duple to nuda, a jeszcze nudniejsze na planie to wyczekiwanie na światło, na kamerę, na wszystko... W teatrze uwielbiałem zaskakiwać kolegów, wprowadzać zmiany. Wiedziałem, że oko ożywa, że nagle scena dostaje kolorów. Podziwiam Krystynę Jandę, która potrafi tak uczciwie i z taką pasją grać „Białą bluzkę” tyle lat, byłem niedawno na spektaklu i emocje są takie same. A gdy byłem dwa razy w tych modnych, warszawskich teatrach, to nie mogłem wysiedzieć, bo czułem fałsz. Uważam, że film czy teatr powinien powstawać po coś, nie można robić sztuki tylko dla rozrywki, i ja też mam nadzieję, że nadal wychodzę na scenę po coś.

Pamięta pan moment decyzji? Że opowiadanie dowcipów może być rolą życia?

– W 1988 roku trochę jeździłem z kabaretem po Polsce i mówiłem żarciki między piosenkami, ale najważniejsze, że w Polsce działa się coś ważnego, co warto było skomentować. W teatrze tej temperatury nie było, teatr mówił o czymś innym i wydawało mi się, że ten nasz teatr już nie interesuje widza. Dostałem propozycję, by zagrać „Mizantropa” w tłumaczeniu Jana Kotta, fatalne, gomulkowsko-socjalistyczne. Pewnie mnie wielbiciele Kotta teraz skrytykują, ale ja tam widziałem mnóstwo niedomówień, uproszczeń i raczej nie słyszałem tam Moliere’a, bardziej język towarzysza Wiesława. Pomyślałem, Jezu, jak ja mam z tym wyjść na scenę. Nie byłem w stanie tym tekstem dać swoich uczuciowych emocji. Poszedłem do szefa: „Błagam, nie”, bo reżyser pojedzie, a my będziemy na scenie się tłukli jak za karę.

I co na to Warmiński?

– Kochał teatr i szanował aktorów jak nikt. Jeśli kogoś zatrudniał z nadzieją na granie, to im stwarzał takie możliwości, że im się chciało grać. Roman Wilhelm, Andrzej Seweryn, Janda, Kamas. Szukał dla nich możliwości, żeby mogli się spełnić. Dzięki niemu w 1982 roku zagrałem „Hamleta” – teatr w stanie wojennym to było miejsce, gdzie ludzie szukali wolności, czekali na krytykę władzy... I wtedy, w 1988 roku, Warmiński poprosił nas, żebyśmy przez miesiąc pracowali nad tym Moliere’em i potem podejmie decyzję. Dał szansę młodemu reżyserowi. Po próbie generalnej wziął go na stronę i... spektakl się skończył, nim się zaczął. Miał szacunek do siebie i ludzi. Wie pani, że jak wracał z teatru i trzech gnojków chciało go okraść, pobili go strasznie, to nie poszedł na policję? On, oficer AK, po prostu czuł się poniżony. Ktoś tak wielki został tak zniszczony,

Walczę z sobą, bo nie mogę stawiać przed mikrofonem i krzywdzić ludzi, zarzucając im głupotę

w ciągu 15 minut. Wstydził się, że banda lo-buzów go rzuciła na chodnik i skopała...

A pan odszedł z teatru...

– ...w stronę parateatralną, bo było mi za ciasno ze względów ideologicznych. Teatr zawsze reaguje z opóźnieniem. Ktoś musi napisać, wyreżyserować... Mnie sprawiało frajdę, że w piątek słucham czegoś w radiu, a w sobotę mówię o tym do ludzi.

Dlaczego zaczął pan mówić o polityce?

– Bo podchodziła do gardła. Ta kawiarnia, ten parking – ktoś bierze pieniądze za ten parking, trafiają do miasta, a prezydent, którego wybraliśmy, i jego urzędnicy decydują, co dalej się z nimi stanie. Jesteśmy w polityce po uszy, dlatego trzeba mieć tego świadomość. Od kilku lat się zastanawiam, jak ma wyglądać Polska Kaczyńskiego, i nie wiem. Jak ma wyglądać, o, ten dom? Ma być czysto polski bez jednego Niemca? Będziemy się zbroić? Będziemy sami? My nie musimy do trzymywać umów, ale inni mają ten obowiązek? Że jak tu przyjedzie Niemiec, postawi ileś tych patriotów, to już stąd nie wyjedzie, tylko postawi drugi Malbork? No nie wiem, jaką on widzi Polskę. Mściwą? Zamkniętą? Średniowieczną?

Jak dziś robić kabaret zaangażowany?

– Długo miałem poczucie, że jestem już ostatni, ale dwa, trzy lata temu zauważyłem, że młodszy się zainteresowali polityką. Dobrze, im więcej nas do pieczenia chleba, tym więcej chleba.

W „Ucho Prezesa” zobaczyliśmy z jednej strony prezesa, jako taką pierdółkę, co sobie rządzi z przypadku, a najważniejszy jest kot, ale też ludzie mogli zobaczyć, że może jednak lepiej, jeśli krajem rządziłby ktoś z większym autorytetem i wiedzą, bo jaką ma Kaczyński? Na czym się zna? Na rozsadach. Przetawia, usuwa, ma te dwa pokoje teczek z hakami, i tak myślę, że może by mu ktoś zrobił te papiery w wersji cyfrowej, bo jak się spala, to będzie dramat.

Idą święta, a pan za nimi nie przepada.

– Nienawidzę tego klimatu. Listopad, grudzień, styczeń, luty... Nie cierpię chłodu, wilgotności, krótkiego dnia. 15.30 i już ciem-

no. Uciekam, a odkąd dzieci wyrosły, to nie kultywuję tradycji. Mam zupełną grzybową ugotować? Zrobię ją sobie w październiku, barszcz w listopadzie. Ostatnio się spotkaliśmy z synami, siedzieliśmy w ósemkę i mówię, że dzisiaj robimy wigilię, drugi dzień świąt i sylwestra od razu. Ale jak byli mali, to też często wyjeżdżaliśmy. Mikołaj może i tam był ze dwa razy, ale te święta się zrobiły tak potwornie sprzedane już od początku listopada. To święto handlowe, jako dzieci patrzymy na nie inaczej, a skoro małych dzieci już nie ma? Wszyscy wyładowali tam, gdzie ich poniosło.

A jakim pan był ojcem?

– Nigdy nie oceniałem ich wyborów i dałem sobie nawet zupełnie spokój. Pamiętam, jak jeden z synów chodził na skrzypce, stałem pod drzwiami na egzaminach, nasłuchiwałem i myślałem, że mi serce wyskoczy i padnę jak mucha. Otrząsałem się wtedy i powiedziałem sobie, że nie będę więcej umierał. Owszem, były wobec nich jakieś wymagania, ale nie stałem nad nimi.

Jeden z moich synów pisał tak, że wyraz szedł przez całą kartkę, no to staliśmy nad nim, ale bez rezultatów, w końcu powiedzieliśmy mu: rób sam. Albo: nie będziemy po tobie sprzątać, masz, jak chcesz. Wszystko, co mogło leżeć na podłodze, to leżało, no i w końcu sam zaczął być odpowiedzialny za siebie. Sam sobie załatwił najlepsze liceum w Warszawie, rzucił Politechnikę, wyjechał na studia do Holandii, magisterkę robi w Anglii, pracuje. Nie wiem, może to właśnie jest partnerstwo, że dajemy żyć dzieciom po swojemu, z jakimś opiekuńczym spojrzeniem z dystansu.

No dobra, nie będzie wigilii, ale może jakieś życzenia dla Polaków?

– Z tym też mam trudności, bo się nie spełniają. Ale spróbuję. Tym, którzy się mają dobrze – niech to trwa. Tym, którzy mają źle – niech wydobrzeją. Ale nie, może inaczej, może taka prośba, żeby coś zrobili, żeby nie czekali na jeźdźca na białym koniu, w Mikołaja, bo zjawić się może Dziad Mróz.

No i gdzie pan teraz leci na święta?

– To nieważne, ważne z kim. Od pół wieku czytam wiersze Romana Śliwonika. Nigdy się już od niego nie uwolnię, bo mnie dotykają bezpośrednio. „Sami stwarzamy sobie Boga, bo sami nim zostać nie potrafiliśmy”. Przecież to jest wszystko o człowieku, nic więcej, o samotności, więc nie bądźmy sami. I jak o tym myślę, to wiem, że nie chciałbym nigdy zostawić mojej żony. Samej. Bój się tego. Dlatego jeśli gdzieś lećmy, to zawsze razem. ●



Na Święta i w Nowym Roku
życzymy Wam
spokoju wśród bliskich,
wyłchnienia od trosk i serdeczności
dla siebie nawzajem.



Wydawnictwo
Agora
dla dzieci



Wydawnictwo
Agora

HISTORIA WIERSZA

Pamięć to wdowa po zdarzeniach

Geniusz i władza są zawsze w opozycji do siebie. O poetach Linie Kostenko i Borysie Pasternaku.

Józefina Piątkowska*

Wiersz urodzonej w 1930 r. ukraińskiej poetki Liny Kostenko „Gałązka smutku na mogile Pasternaka” po raz pierwszy ukazał się w 1989 r. w tomie „Zebrane” (oficyna Dnipro). Powstał jednak wcześniej jak większość wierszy cyklu „Siluety” („Postaci”), pisanych, gdy jej utwory były objęte cenzurą. Tomiki czwarty i piąty (1963, 1972) wycofano z druku, a następny wydała dopiero po 16 latach.

Bohaterami „Postaci” oprócz Pasternaka są m.in. Dante, Joanna d’Arc, Edgar Degas, Vincent van Gogh, Aleksander Puszkina, Lew Tolstoj i uznawany za największego poetę Ukrainy Taras Szewczenko. Wszystkie te postaci, które w istotny sposób przyczyniły się do rozwoju kultury europejskiej, łączy konsekwentne podążanie za powołaniem, bez względu na prześladowanie ze strony władzy czy odrzucenie przez ludzi. Wiersze Kostenko układają się w wyjątkowy cykl, połączony linią uniwersalnych analogii między przeciwnościami, którym stawiali czoła w różnych czasach, krajach i kontekstach historycznych.

Kiedy powstają „Siluety”, Kostenko ma nieco ponad 30 lat. Jest związana z ukraińskimi dysydentami – aktywistami politycznymi i działaczami oraz artystami walczącymi o odrodzenie narodowej kultury. Przeciwno jednemu są wytaczane procesy ze z góry wyznaczonym finałem. Ktoś ginie w niewyjaśnionych okolicznościach. Wszyscy są poddawani presji tworzenia pod dyktando cenzora.

Dla Kostenko konsekwentne milczenie staje się sposobem zabrania głosu. W głębokiej kontemplacji losów bohaterów cyklu „Siluety”, tworzonego do szuflady, odnajdywała potwierdzenie słuszności własnych decyzji.

Wiersz poświęcony Pasternakowi był napisany po jego śmierci (zmarł w 1960 r.). Przyspieszyła ją okrutna kampania, którą władze ZSRR wytoczyły po publikacji „Doktora Żywego” na Zachodzie (po tym, jak cenzura postawiła pieczęć zakazu na rękopisie). Pasternak chodził po ostrzu noża już wcześniej: za wypowiedzi na zjazdach pisarzy, za wiersze nie w duchu socrealizmu, za przyjaźnię z „wrogami ludu”. Na wiele lat „odszedł w tłumaczenia”, które stały się głównym źródłem utrzymania rodziny i pomocy znajdującym się w potrzebie przyjaciółom.

Nagonka na poetę ogarnęła cały kraj. Osamotniony, osaczony przez wrogie głosy, przez ostatnie trzy lata życia prawie już nie opuszczał domu w miejscowości Pieriedielkino. Odmówił przyjęcia Nagrody No-

bla, wiedząc, że będzie miał zakaz powrotu do kraju. Nigdy jednak nie żałował decyzji o ukazaniu się powieści. W jednym z ostatnich wierszy napisał:

„Jest w każdym triumfie osiągniętym/ I gra, i męka –/ Cięciwa łuku naciągnięta./ Że niemal pęka”. („Szron”, przeł. Józefina Piątkowska)

„Gałązkę smutku...” Lina Kostenko pisze w pierwszej osobie. Przybierając głos poety, utożsamia się z nim jako z twórcą, który zerwał „wszystkie z ogniw sławy”, aby w czasach zniewolenia zrealizować swoją wolę. „Tak wybrałem” – oznajmia Pasternak w jej wierszu.

W wizji poetki Pasternaka odwołują się duchy Mariny Cwietajewej i Włodzimierza Majakowskiego, z którym w młodości połączyła go silna więź. Oboje – ona, wieczna buntownicza wobec systemu komunistycznego, i on, pierwszy poeta rewolucji – przyciśnięci przez władzę do muru popełnili samobójstwo. Pasternak zawsze wybierał życie. Śmierć dla niego niczego nie rozwiązywała, a nawet – nie istniała. Jak mówi w wierszu: jego „spór z imperium oraz z czasem, toczyłby się poza grobem”.

Lagiernik Arkadij Dobrowolski dostawał wiersze Pasternaka. Pozwalały mu przetrwać najtrudniejszy czas. Czytał je na głos współwięźniom

„Geniusz i władza – napisze po latach Kostenko – są zawsze w opozycji do siebie”. „Geniusz i zbrodnia – dopowie, cytując Puszkina – są nie do połączenia”. I są to zjawiska ponadczasowe. To część – wspomnianego w utworze – „trwającego ponad barierami” (wyrażenie zaczerpnięte z tytułu tomu wierszy Pasternaka) cudu świata.

W odróżnieniu od innych bohaterów cyklu Pasternaka poetka miała okazję spotkać, a także – chociaż przez krótki czas – przyszło jej tworzyć w tej samej epoce. Nie jest więc dla niej postacią wyłącznie z wymiaru literatury. Co prawda wątpliwe, by mogła poznać Pasternaka osobiście, raczej tylko obserwowała go z daleka, gdy podczas studiów w Moskwie mieszkała z międzynarodową grupą studentów w Pieriedielkinie. W wierszu „Podmoskiewska etiuda” opowiada, jak z przyjaciółmi sunęli po miejscowych ścieżkach na nartach biegówkach, wypatrując światła w oknach Ołeksandra Dowżenki, Nazima Hikmeta, Kornieja Czukowskiego i Pasternaka.

Wtedy też spotkała przyszłego męża Jerzego Jana Pachlowskiego (polski pisarz, 1930-2012). Wśród jej wspomnień zachowała się opowieść o wspólnych spacerach, podczas których ukochany zrywał jej gałązki kwiecica bzu przechylające się przez płot daczki poety.

Złosem Pasternaka łączy poetkę jeszcze jedna, bardziej złożona historia.

Po studiach wróciła do ukochanej ojczyzny i znalazła zatrudnienie w Wytwórni Filmowej im. Dowżenki. Jednym z najważniejszych etapów stała się dla niej praca nad dużym scenariuszem o splocie losów trzech ukraińskich poetów. Pisała go wspólnie z Arkadijem Dobrowolskim – utalentowanym scenarzystą o tragicznej biografii, który przyjechał do Kijowa po 20-letnim pobycie w łagrach na Kółmie.

Istnieje wersja wydarzeń, według której Dobrowolski został uwolniony dzięki wstawiennictwu właśnie Pasternaka u Mykoły Bażana, przewodniczącego Związku Pisarzy Ukraińskich. Sam Pasternak o losach Dobrowolskiego dowiedział się od Warłama Szalamowa, autora „Opowiadań kółmskich”, najgłośniejszych literackich świadectw okrucieństwa sowieckich kolonii. Rosyjski pisarz i ukraiński scenarzysta odbywali wyrok w tym samym piekle.

Zachowała się ich korespondencja, w której Szalamow dołączał do swoich listów wiersze Pasternaka. Dobrowolski odpowiadał, jak pozwalają mu one przetrwać, jak czyta je na głos współwięźniom. Być może dzielił się tym wspomnieniem z Liną Kostenko w czasie wielu długich rozmów.

Wybierając ukraiński jako język twórczości, mimo że w ZSRR jej liryka dotarłaby do większej liczby czytelników po rosyjsku, wybierając głośnie milczenie zamiast pisanie w zgodzie z linią partii – Lina Kostenko robiła to w przekonaniu, że samolubstwo i wygodnictwo artysty zawsze w przyszłości „z bólem odżywa się w duszy narodu”. Przejmowała od wybranych przez siebie bohaterów, także od Pasternaka, pałeczkę w sztafecie, o której pisała:

„Różne bywają sztafety./ Poeci przekazują poetom/ Z duszy w duszę/ Z mowy w mowę/ Swobodę ducha i prawdę słowa”. ●

(„Sztafety”, przeł. Kazimierz Andrzej Jaworski)

***Józefina Piątkowska** – doktor nauk humanistycznych, pracuje w Instytucie Lingwistyki Stosowanej UW. Tłumaczy m.in. poezję rosyjską. Autorka książki „Poetyka sugestii Mariny Cwietajewej”

WIERSZ POLECA
ANDRZEJ ZAGOZDA

Lina Kostenko

Gałązka smutku na mogile Pasternaka

*Ten płot jest szczelny niczym pismo
jak, kiedy papier ci się kończy.
I białych brzoź się chwieją widma,
które mój dom tu chcą otoczyć.*

*I ciesz! – jak z pejzaży mistrzów.
Brak samochodów, szos i spalin.
A na werandzie dziś się pyszni
kwiatów czeremchy mleczna piana.*

*Podziwiam kształt różnych obłoków,
I sam otaczam sad opieką.
Z każdą poprawką tracę spokój,
a przecież piszę już pół wieku.*

*I w smutku bladych horyzontów,
zerwawszy każde z ogniw sławy,
nie jestem pustelnikiem – skądże! –
tylko poetą. Tak wybrałem.*

*Pracując z ziemią – widzę czystość.
I żaden ze mnie wilk stepowy.
Mam wokół dobre towarzystwo –
Szekspira, Błoka, Lermontowa.*

*Sam palę w piecu każdej zimy.
Pamięć – to wdowa po zdarzeniach.
Dawno odeszła już Marina,
lecz dla mnie żyje, bez wątpienia.*

*To jest na zawsze – ten cud świata,
trwający ponad barierami.
Czasami Majakowski upada,
siadamy wtedy ramię w ramię.*

*I co, Jowiszu gromowładny?
Spierałiśmy się naleźycie,
a teraz już arbitrow mamy:
twoim jest śmierć, a moim życie.*

*Ból dręcząc duszę nie da zasnąć.
Gdybym wyruszył w ślad za tobą,
mój spór z imperium oraz czasem
toczyłby się poza moim grobem.*

*Lepiej już zginę z rąk oprawców.
Dokoła drzewa, drzewa, drzewa...
Tylko z dalekiej małej stacji
odgłos pociągów niech rozbrzmiewa.*

*Polana z niekoszoną trawą,
I krzyżujące się promienie.
Cmentarz, na którym spoczywając,
Obejmę białych brzoź korzenie...*

Przeł. Józefina Piątkowska



Autorem wielu haseł jest **Mikołaj Chrzan**

WEEKENDÓWKA NA WIGILIĘ

To przedostatnia „Weekendówka” w tym roku, na pewno wyjątkowa, bo trafi do Państwa rąk 24 grudnia, w wigilię Bożego Narodzenia, dzień szczególny, upragniony i, zwłaszcza przez dzieci, ulubiony.

Pamiętam, że dawno, dawno temu (serio dawno, jakieś 40) wyglądałem zwykle przez okno, niecierpliwie wypatrując pierwszej gwiazdki. Według tego, co mówiła mama, to był zawsze znak, że można już zasiąść do wigilijnego stołu. Z nosem przylepionym do szyby świdrował więc człowiek niebo, wytężając wzrok, i kiedy wreszcie coś błysnęło, „pokazało: jestem” – nawiązując do modnej ostatnio mundialowej retoryki, radosny okrzyk (mój, też pokazywałem, że jestem) był sygnałem, że oto możemy zaczynać. Rzecz jasna najistotniejszą kwestią było skrócenie czasu do rozpoczęcia rozpakowywania prezentów.

Owa „pierwsza gwiazdka” jest nawiązaniem do Gwiazdy Betlejemskiej zwiastującej narodzenie Jezusa. To ona oznajmiła też tę nowinę Mędrcom ze Wschodu i wskazała im drogę do stajenki w Betlejem.

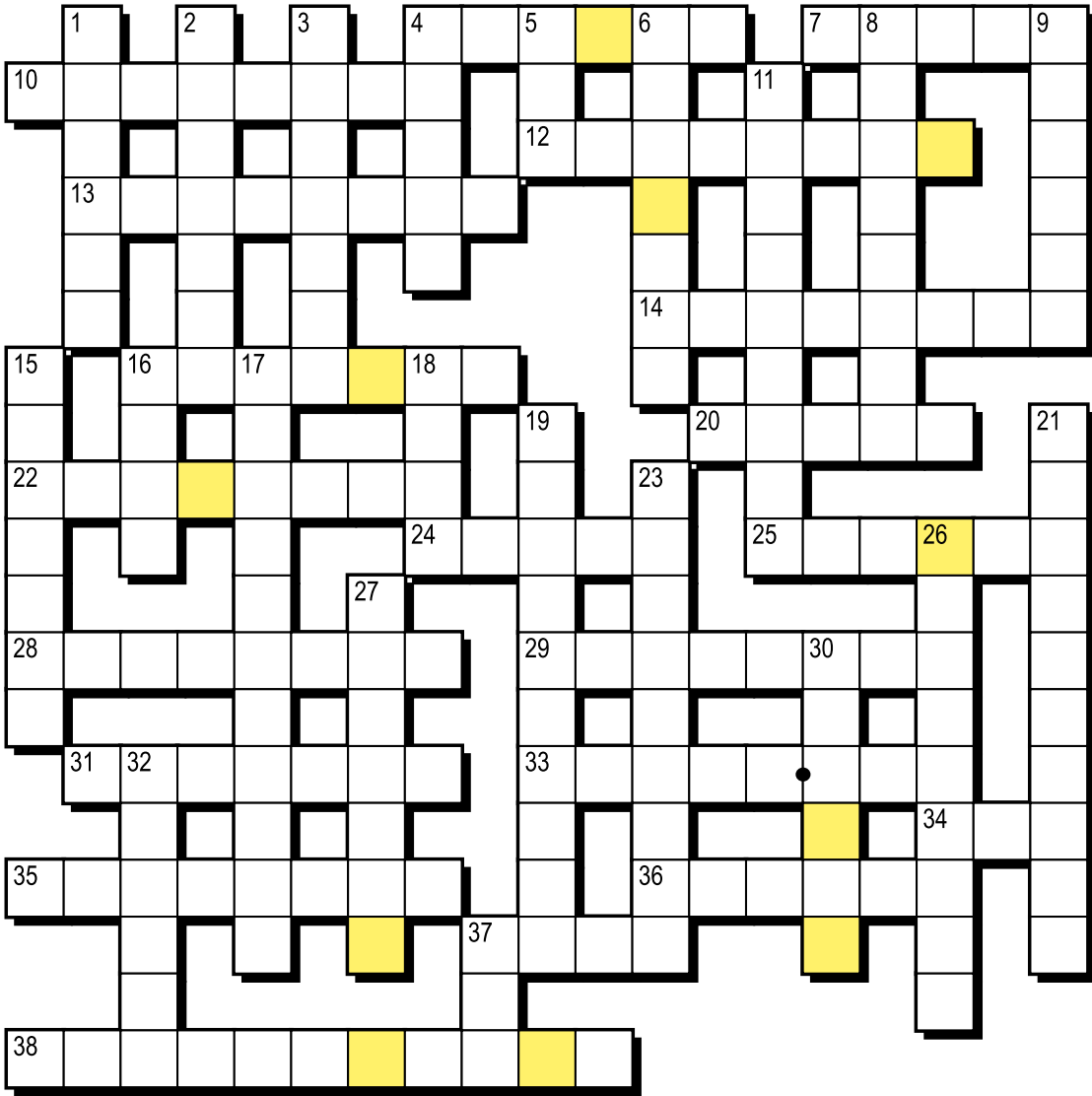
Co ciekawe, pierwsza gwiazdka wigilijna wcale gwiazdą być nie musi. Sygnałem może być pierwszy obiekt, który pojawi się na niebie, na przykład planeta. W roku ubiegłym mogła to być Wenus, która świeci dużo jaśniej niż gwiazdy. Podobnie rzecz ma się z Jowiszem.

W tym roku, jak pisze „National Geographic”, pierwszej gwiazdki powinniśmy wypatrywać między 15:30 a 16 (w Polsce Słońce najwcześniej zajdzie w Suwałkach, o 15:08:8, a najpóźniej w Jeleniej Górze – o 15:55:03). Jeśli chodzi o gwiazdy, to wg „NG” pierwsze na niebie pojawiają się Wega (najjaśniejsza gwiazda w gwiazdozbiorze Lutni) i Kapella (najjaśniejsza gwiazda w konstelacji Woźnicy), ale być może, że wcześniej zobaczymy właśnie planety lub, niestety, nie dostrzeżemy niczego, jeśli niebo będzie bardzo zachmurzone. Ale zakładamy optymistycznie, że jakaś gwiazda do nas mrugnie!

Ale zanim zaświeci, zanim zasiądziecie Państwo do wigilijnego stołu, podzielcie się opłatkiem i zerkniecie pod choinkę, co też przyniósł Wam Święty Mikołaj, zapraszamy do spędzenia trochę czasu z „Weekendówką”. A żeby tradycji stało się zadość, dziś w „Weekendówce” pomoże nam Mikołaj. Mikołaj Chrzan, zastępca redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej”.

Radosnych, dobrych Świąt dla Wszystkich! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 31 z 17.12:

Poziomo:

- 8) Kate Moss 10) Heidi 11) Styl
12) modele 13) Spice Girls
14) Lagerfeld 16) Crawford 18) Mediolan
20) Karl 21) Dawid 22) kolekcja
23) Claudia 25) Jagaciak 28) Lima
29) Versace 30) aniołki 31) Mario
32) kosmetyki 35) Lauren 36) Anja Rubik

Pionowo:

- 1) Madonna 2) Depeche Mode
3) Jones 4) Chanel 5) bielizna 6) Gisele
7) Bella Hadid 9) serial 15) Francja
16) Cara 17) obwód 19) Dior 20) Kasia
21) diabeł 24) Armani 25) jurorka
26) Glamour 27) Kenzo 28) Lily
33) sen 34) Eva

HASŁO: **CARLA BRUNI**

WIGILIA I ŚWIĘTA

Hasła Mikołaja Chrzana oznaczono inicjałami (M.C.). Litera w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 4) „sensacyjka” na choince
7) zaskakuje drogowców, dodaje magii świętom (M.C.)
10) odprawiana w noc wigilijną
12) słodycze na choince
13) „Nad uśpioną Galileą” Jacka Kaczmarskiego
14) „Jak miła ta nowina, mów, gdzie jest ta ...”
16) zwycięstwo ludu, z tych dwóch słów w języku greckim powstało to znane imię (M.C.)

- 20) „Jest taki ..., bardzo ciepły, choć grudniowy”
22) ... Narodzenia Pańskiego w Betlejem (świętynia)
24) urodziła Jezusa
25) bardzo podróżowały w tym roku, bywają błotniste (M.C.)
28) Trzej ...
29) nie bardzo podłe miasto
31) „Zima dachy zamienia w ...” (w piosence Starego Dobrego Matżeństwa)
33) kolęda znana na całym świecie, wpisana na listę niematerialnego dziedzictwa UNESCO (M.C.)
34) czerwony u jednego z reniferów oświetla drogę św. Mikołajowi (M.C.)
35) oświetlił dzieciom drogę na roraty

- 36) ... z makiem, wigilijna potrawa
37) imituje śnieg na gałązkach choinki
38) śliczne ..., w kolędzie „Gdy śliczna Panna”
Pionowo:
1) ..., Melchior, Baltazar
2) wykonywane ze świerkowych gałązek
3) choinka
4) „Pada Shrek”
5) „Bóg się rodzi, ... truchleje”
6) „motylek” na prezencie
8) dodatkowe, dla niespodziewanego gościa – na wigilijnym stole
9) „... in excelsis Deo”
11) ciasto ze zmielonym twarogiem (zdrobniale)

- 15) dzieci uwielbiają znajdować je pod choinką
16) pasterka
17) tournée z turoniem
18) wigilijny solenizant
19) na prezencik (ale nie pudełeczko)
21) Krzysztof, reżyser filmu „Dekalog III” (z akcją w bożonarodzeniowej scenerii)
23) książka ze zbiorem kolęd i pastorałek
26) elfy – ... Świętego Mikołaja
27) nazwisko autora „Opowieści wigilijnej”
30) rola Daniela Olbrychskiego w filmie z określenia 21 pionowo
32) kulka przy zimowej czapce
37) „Skrzypi ..., wielki mróz” (kolęda)

Leszek Rydz

Byle do **Weekendówki**

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ